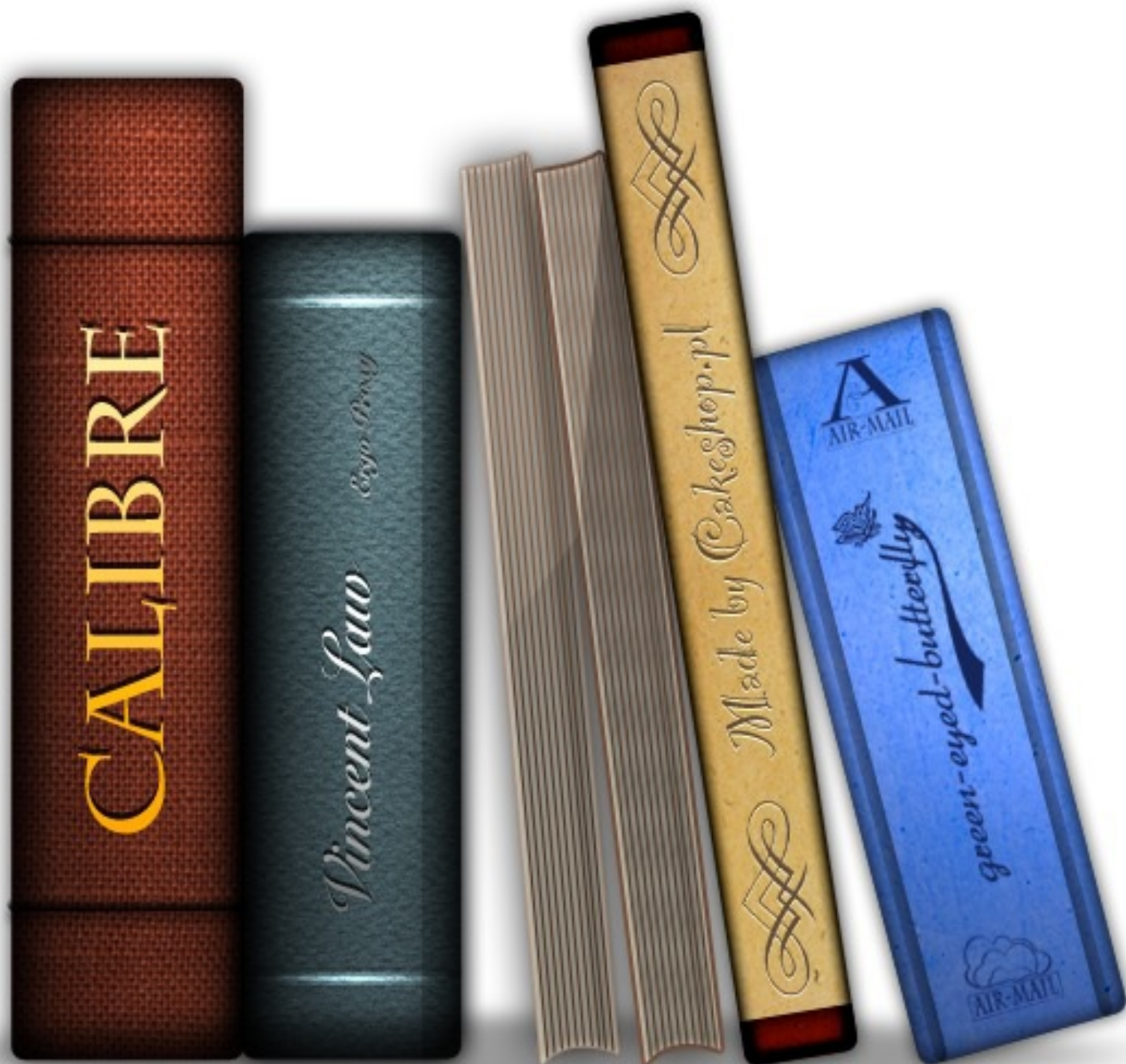


Wyspa Robinsona

Fiedler Arkady



calibre 0.7.3

Arkady Fiedler

Wyspa Robinsona

Jednym z najstarszych miast w Ameryce jest Cumana, położona u wybrzeży Wenezueli, mniej więcej trzysta kilometrów na zachód od ujścia wielkiej rzeki Orinoko. Miasto, założone przez Hiszpanów w 1520 roku u wylotu głębokiej zatoki, chronionej od północno-wschodnich pasatów długim półwyspem, było od samego zarania ożywionym centrum handlowym i kulturalnym oraz ośrodkiem ekspansji konkwistadorskiej. Szły stąd wyprawy groźnych konkwistadorów w głąb kraju, aż hen, po rzekę Orinoko, by ujarzmić plemiona indiańskie i odbierać im ziemię, i również szli stąd liczni misjonarze, by ujarzmić lub jak kto woli, ratować dusze Indian i zakładać bogate misje.

W Cumanie istnieje oczywiście wiele kościołów i klasztorów, które w swych murach gromadziły zbiory kronik, dokumentów, traktatów. Do dnia dzisiejszego zachował się niejeden cenny rękopis rzucający światło na dzieje ludzi i kraju i na wypadki minionych dni.

O kilkadziesiąt kilometrów na północ od Cumany wylania się z Morza Karaibskiego rozległa wyspa Margarita, odkryta przez Kolumba, słynna z połowów pereł i buntu ostatniego szaleńczego konkwistadora, okrutnego Aguirre. Między Margaritą a stałym lądem leży inna wyspa, znacznie mniejsza, Isla Cocha, bezludna przez długie wieki, na której pierwsi mieszkańcy osiedlili się dopiero w połowie XVII wieku, i to tylko na krótki czas.

Z owego okresu znajduje się w jednej z bibliotek kumańskich sprawozdanie franciszkanina, który przebywając na wyspie Cocha opisał, jak mieszkańcy jej odkryli w jaskini wielką łódź, schowaną tam niezawodnie przed kilkadziesiątu laty. Na tej łodzi widniał zagadkowy napis, wyryty w drzewie: JOHN BOBER POLONUS, a pod nim rok: 1726. Franciszkanin starał się odsłonić tajemnicę odkrytej łodzi i dziwnego napisu, ale daremnie, pomimo że sprawę łodzi kojarzył – słusznie zresztą – z głośną swego czasu wyprawą kilkunastu Hiszpanów z Margarity, którzy w po-

goni za zbiegłymi niewolnikami w tymże roku 1726 wyruszyli na morze i przepadli bez wieści razem ze statkiem.

Tyle raport franciszkanina.

Inne ówczesne dokumenty, znajdujące się w księgozbiorach kumańskich, podają o jakimś niezwykle białym człowieku, który krótko po roku 1726 pojawił się wśród niezależnych Indian, Arawaków, żyjących w lasach na południe od ujścia rzeki Orinoko, i uzyskał u nich przemożne wpływy. Jako słynny wódz Juan – imię odpowiadające angielskiemu John – umiał skupić wiele okolicznych szczepów pod swym przewodnictwem. Posiadając pewną ilość broni palnej skutecznie bronił przez wiele lat ich niezawisłości przed zakusami hiszpańskich najeźdźców. Dopiero po jego śmierci zdołano złamać opór Indian i ujarzmić ich.

Na podstawie ocalonych zapisków, dokonanych przez owego niezwyklego w istocie człowieka, pana Bobera, warto może pokusić się o odtworzenie jego ciekawych przygód, jakich doznał na bezludnej wyspie Morza Karaibskiego. Posłuchajmy jego własnej relacji.

1. U ujścia James River

A wiosłować potrafisz, prawda? – zapytał mnie ściszym głosem marynarz William, mój przyjaciel.

–Potrafię – odszepnąłem.

–No, to jazda!

Namacawszy w ciemności krawędź szalupy skoczyłem na jej pokład i tłumok z całym moim dobytkiem postawiłem przy nogach. Chwyciłem za wiosła. William tęgim rozmachem odepchnął łódź od brzegu i zajął miejsce przy sterze. Czując pod sobą wodę westchnąłem z ulgą: byłem jak ścigany zwierz wymykający się pogoni.

Zaledwieśmy wypłynęli kilka sążni na rzekę, porwał nas bystry nurt, był bowiem odpływ morza i prąd ze spotęgowaną wart-kością toczył się w dół, ku ujściu James River.

Minęła właśnie północ. Drobnym deszczem nasiąknięta pomro-ka pokrywała rzekę i przybrzeżne spichrze Jamestown. Nie było żadnego odgłosu prócz stłumionego plusku wiosel i bulgotania wody za burtą łodzi. Zięb styczniowej nocy wirginijskiej przenikał do kości.

Nagle Williama zaczął dusić kaszel. Marynarz daremnie go tłumił. Był rozgrzany kilkoma szklanicami grogu, jakimi go uraczyłem w portowym szynku, więc teraz na zimnym powietrzu dławiło go okrutnie. Między jednym wybuchem a drugim przeklinał swe gardło na czym świat stoi i zatykał usta połą kubraka, ale to niewiele pomagało. Obawialiśmy się, że hałas ściągnie na nasze karki strażników rzecznych i udaremni ucieczkę. Na szczęście towarzysz przestał kaszeć w sam czas.

Przed nami na brzegu pojawiło się światelko: wartownia celna. Przestałem wiosłować. Prąd i bez tego unosił nas we właściwym kierunku, ku ujściu rzeki, gdzie na kotwicy stał okręt, cel naszej nocnej wycieczki.

Kędyś od brzegu rozległy się nawoływania, ale nie tyczyły nas. Nie zauważeni przepłynęliśmy mimo wartowni, a gdy za skrzętem rzeki zniknęły jej światła, można było odetchnąć swobodniej. Za nami pozostawało niebezpieczeństwo, przed nami był zbawczy okręt.

Później William, mój towarzysz, chrząknął i przerywając milczenie stwierdził:

–Weil, tośmy najgorsze przebyli... Jeszcze dwie godziny wiosłowania...

Pochylił się nade mną i z niezwykłą u wilka morskiego troskliwością, jakiej nie spostrzegłem u niego w ciągu naszej dwudniowej przyjaźni, zapytał:

–Jonny, brachu, a dusza nie weszła ci w piętę?

–Dlaczegoż by miała mi wleźć? – zachnąłem się urażony.

–Do pioruna, idziesz na kaperski statek, John! Mówiłem ci już, tam nie przelewki! Będziemy wojowali i grabili! Jak Hiszpanie nas złapią, powieszą jak amen, a może przedtem porozkręcą nam ładnie cielska.

Przestałem wiosłować.

–Nie boję się wojowania! A ty, Willy, miły tryku, nie napędzaj mi stracha daremnie.

–Głupiś, John! Ja ci daremnie stracha nie napędzam... Nasz stary – co za łotr i szubienicznik! Takiej kanalii kapitana nie ma na całym Morzu Karaibskim! Życie na naszym pudle to piekło, trudno wytrzymać!

–A ty wytrzymujesz? Inni wytrzymują?

–Phi, my to co innego! My od dzieciństwa przywykli do słonej wody... Ty natomiast lądowy szczur...

Żywo się obruszyłem:

–Ej, Willy, nie urągaj mi od szczura... Dostyc jam natłukł się w lasach Wirginii i niejedną raz zajrzał śmierci w ślepią. Wiesz przecież, dlaczego uciekam!

–Wiem, wiem...

Uciekałem przed zemstą wirginijskich obszarników, angielskich lordów.

Przed blisko trzydziestu laty ojciec mój, pionier w poszukiwaniu nowej ziemi, wywędrował z rodziną na zachodnie rubieże Wirginii i tam, wśród głuchej puszczy u stóp Gór Alleghańskich, postawił sobie chatę. Karczując las, stale pod groźbą napaści Indian, zmagając się z dzikim zwierzem i wrogą przyrodą, przeżywał mozolne lata, aż na koniec przewyciężył trudy i zaczął zbierać zasłużone swej pracy owoce. Z biegiem czasu insi przybywali jego śladem i zakładali w pobliżu swe sadyby. Szczęśliwa dolina rosła w dostatek i zaczynała tętnić życiem gromadnym. Wtedy – a było to akurat przed rokiem – grom uderzył z całkiem nieoczekiwanej strony. Zjawili się agenci lorda Dunbury, ażeby odebrać nam ziemię. Opierali się na jakimś królewskim dekrete sprzed kilkudziesięciu lat, rzekomo nadającym te obszary rodzinie Dunbury. Na to jawne bezprawie wnieśliśmy skargę do władz kolonii w Jamestown, ale rządy sprawowali wielmoże i panowie, poplecznicy lorda Dunbury, i sprawiedliwości nam nie oddano. Kiedy siepacze chciwego lorda najechali dolinę, by wyrzucać osadników, zebraliśmy nas kilkudziesięciu kresowców i stawiliśmy zbrojny opór. Byłem jednym z przywódców.

Panowie w obawie, ażeby bunt nie rozszerzył się w kraju, jak pół wieku temu za czasów

Bacona, natychmiast rzucili przeciw nam przeważające siły. Szybko nas rozgromili, tępiąc z niebywałym okrucieństwem. Nie oszczędzali stryczka. Żagiew zduszono w samym początku. Na moją głowę wyznaczono nagrodę. Ścigany zajadle, miałem drogę otwartą tylko w kierunku stolicy, Jamestown. Tam też zbiegłem i ukryłem się w karczmie nad brzegiem rzeki.

Uczynni ludzie mi pomogli, sprowadzili marynarza Williama z okrętu kaperskiego, stojącego u ujścia James River. Okręt zawsze potrzebował marynarzy, a William mnie polubił i chętnie zgodził się przemycić na pokład. Tak oto dżdżystej nocy styczniowej znaleźliśmy się na łódce dążąc cichaczem w dół rzeki.

Upłynęło więcej niż dwie godziny, gdy głos Williama wyrwał mnie z zadumy:

–Coś tam majaczy przed nami!...

Był to nasz okręt. Okrzykiem daliśmy znać o przybyciu. Z góry zrzucano nam linowy trap, po którym wdrapaliśmy się na pokład. William zaprowadził mnie do marynarskiego kubryku i kazał się przespać. O świcie zbudził mnie i przedstawił bosmanowi. Bosman, do kudłatej bestii raczej podobny niż do ludzkiej istoty, obrzucił mnie ponurym spojrzeniem, dokładnie obmacał mi mięśnie na całym ciele, po czym splunął z pogardą do rzeki i mamrocząc kazał mi iść za sobą.

–Jak ci? – zapytał mnie przez ramię. Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

–Jak ci na imię, ścierwo?! – huknął.

–Jan – odpowiedziałem z polska, gdyż tak mnie nazywano w rodzinie i wśród leśnych sąsiadów.

–Jak? – skrzywił się bosman.

–John – odrzekłem poprawnie, angielskim imieniem.

–No, to zaraz mów po ludzku! – warknął.

Zaprowadził mnie do kajuty kapitana i wepchnął do środka.

Kapitan, otyły jegomość o wypukłych, przenikliwych ślepiach,

siedział przy stole, na którym zastawiono śniadanie, lecz nie jadł. Przed nim stało dwóch młodych Indian, jego niewolników, jak się później dowiedziałem. Starszego z nich, około dwudziestoletniego młodzieńca, kapitan z całą pasją smagał biczem po głowie. Gdyśmy weszli, ustał, ale ręki nie spuszczał i tylko spojrzął na nas spode łba.

–Nowy „marynarz” John – zawołał bosman z ironią w głosie.

Kapitan gniewnie kiwnął głową i kazał nam wynosić się do wszystkich diabłów. Bosman szarpnawszy wyciągnął mnie szorstko na pokład i drzwi kajuty zamknął szybko za sobą.

–Miałeś szczęście, draniu!-zgrzytnął. – Stary był łaskawy...

Cisnęło mi się na usta pytanie, na czym polegało moje szczęście

i łaskawość kapitana i co znaczyła ta scena znęcania się nad Indianinem w kajucie – ale opryskliwy bosman nie dopuścił mnie do słowa wetknął mi do rąk wiadro i szczotkę ze ścierką i kazał szorować pokład.

Takem to zaczął służbę na kaperskim okręcie – rad nade wszystko, że za sobą pozostawił ziemię amerykańską i uszedł pogoni.

2. Okręt piracki

Okręt nosił miano „Dobrej Nadziei” i był trzymasztową brygantyna. Stał na kotwicy jeszcze przez kilka dni. Lękałem się, że władze wirginijskie wywęszą moją obecność na pokładzie, ale William, doświadczony wyga, uspokoił mnie.

–Skoroś tu wlaźł – powiedział – toś niby umarły za życia...

Przepadłeś dla nich...

Jakoż nikt mnie nie szukał, a wkrótce podnieśliśmy kotwicę i wyruszyli na morze.

Rygor na okręcie panował straszliwy; za najłżejsze przewinienia stosowano kary. Była tam zbieranina zabijaków, ale wszyscy bali się kapitana jak diabła. Jako świeżo upieczonego marynarza, zapędzano mnie do najgorszej roboty. Nie miałem wytchnienia od świtu aż do późnej nieraz nocy. Gdyby nie przyjazna dłoń i ludzkie słowo Williama, nie wiem, jak przetrwałbym ten pierwszy, ciężki okres mego pływania. William miał szczere, acz szorstkie serce i lubo o przeszło dwadzieścia lat starszy, darzył mnie prawdziwą przyjaźnią. Codziennie, na chwilę przed pójściem na spoczynek, miewaliśmy miłe gawędy.

Gdy rozniosło się na okręcie, że w ciągu ćwierćwiecza mego życia przebywałem w lasach i byłem tam zawołanym myśliwym, marynarze nieco złagodnieli wobec mnie i już tak nie poszturchiwali. Bosman przydzielił mnie od armaty Williama i kazał wyćwiczyć na tęgiego działowego. Tych armat było wiele na pokładzie.

–To jakaś pływająca forteca czy co? – wyraziłem przyjacielowi swe zdumienie.

–Do diabła, a coś ty myślał? Że płyniemy na bal?

W głębi okrętu były rozległe luki przypominające więzienne lochy, tym bardziej że pełno w nich leżało łańcuchów.

–Do czego tyle łańcuchów? – spytałem kiedyś Williama.

–Do wiązania ludzi, których złapiemy – odrzekł prosto z mostu.

–Ludzi złapiemy? Czy kpisz sobie?

–Ani mi się śni!

–Jakich to ludzi?

–Jakichkolwiek: Murzynów, Indian, Metysów, Duńczyków, Francuzów, Holendrów, Portugalów, Hiszpanów – wszystkich, co nam się nawiną pod łapy, tylko nie Anglików.

–A co z tymi jeńcami zrobimy?

–Co? Murzynów i tych innych kolorowych sprzedamy jako niewolników do naszych plantacji, a od schwytanych Europejczyków pobierzemy tłusty okup za ich zwolnienie.

–Toż to rozbój!

–Co ty powiadasz?

Skorom dokładniej poznał cel naszej wyprawy, łuski zaczęły spadać mi z oczu: dostałem się nie na zwykły okręt kaperski, lecz na statek piracki.

Po wyjściu na pełne morze wzięliśmy kurs południowy na Małe Antyle i północne wybrzeże Ameryki Południowej. Myszkując między wyspami zamierzaliśmy napadać na pomniejsze osiedla i rabować ile się da. Zaczajeni w kryjówkach morskich na przepływające statki, spodziewaliśmy się bogatego łupu korsarskiego, mając szczególnie na oku transporty niewolników z Afryki.

Taki to był zacny okręt, na który mnie los zapędził. Będąc już raz na jego pokładzie, nie miałem możliwości wycofania się. Furtka za mną się zatrzasnęła. Wpadłszy między wrony – jak mówi przysłowie – należało krakać jak i one.

Gdym czynił wymówki Williamowi, że zawczasu mnie nie przestrzegł, w jego niebieskich oczach odbijał się cały ogrom zdziwienia.

–Hej, Jonny, do pioruna, czego ty ode mnie chcesz? – mówił z wyrzutem w głosie.– Przecieżem nie ukrywał, że to okręt kaperski i że będziemy wojowali i grabili. Czy ukrywałem?

–Nie, ale...

–Ale nie to najważniejsze... Czy nie żyłeś w tych lasach na zachodzie i nie wyprawiałeś tam ciężkich burd? Czy nie buntowałeś się przeciw władzom kolonii i nie byłeś zabijaką? Byłeś, byłeś, Jonny! Dlatego chcieli ciebie powiesić i tak za tobą szczuli! Byłeś zuchwały i odważny, chłopcze. Byłeś taki?

–Byłem, tylko...

–A jeśliś był zuchwały i odważny tam, w twoich lasach, będziesz tak samo odważny na morzu. Serce ci tu nie zwiędnie.

Chciałem z całą dobitnością wyłożyć mu różnicę między podniesieniem broni w słusznej sprawie w lasach Wirginii a użyciem tej broni dla celów rabunkowych i pirackich na morzu, ale powstrzymałem się widząc jego mętne, prawie dobroduszne spojrzenie: nie przekonałbym go tak łatwo o różnicy moralnych pobudek. Przyjaciel sam nie miał czystego sumienia, bo starał się skierować rozmowę na inny temat. Poczęstował mnie kubkiem rumu i zapytał, dlaczego mnie w

lasach nazywali Jan, a nie John, co brzmiałoby naturalniej.

–Bom matkę miał Polkę, a ojciec, lubo Anglik, był pochodzenia polskiego – odparłem.

–Polacy – to tam niedaleko Turków i Wiednia! – pochwalił się William swą znajomością geografii i historii.

–Daleko i niedaleko – machnąłem ręką, śmiejąc się.

Prosił, żebym mu opowiedział coś niecoś o swej rodzinie. Powiedziałem, com wiedział:

Trzy angielskie statki, które w roku 1607 pierwsze zawinęły; do wirginijskiej zatoki Chesapeake, przywiozły na ziemię amerykańską nie tylko samych darmozjadów, awanturników i pieczeniarzy, jak o tym wiadomo z kronik historycznych. Było między nimi kilku rzemieślników-smolarzy, Polaków, wziętych w służbę przez kompanię wirginijską, ażeby stworzyli w kolonii przemysł smolarski. Między nimi znajdował się mój pradziadek, Jan Bober.

Rzemieślnicy ci skrzętnie zabrali się do pracy i niebawem wytwarzali dla kolonii smołę, dziegieć, potaż i węgiel drzewny. Sprawowali się tak dzielnie, że w następnych latach kompania sprowadzała jeszcze więcej smolarzy z Polski, przodujących owymi czasy w swej dziedzinie na całym świecie.

Z tego okresu zachowało się w naszej rodzinie wspomnienie niezwykłego wypadku. Mianowicie, w jakieś dziesięć czy ileś tam lat po utworzeniu kolonii angielscy osadnicy wywalczyli sobie pewne, nikłe co prawda, swobody polityczne, polegające na tym, że mieli prawo wybierania spośród siebie posłów na sejmik kolonialny, zbierający się w stolicy, Jamestown. Gdy polskich smolarzy, jako cudzoziemców, nie chciano dopuścić do wyborów, oburzeni, porzucili jak jeden mąż swe stanowiska i przestali pracować. Byli tak potrzebni kolonii, a z drugiej strony tak nieugięci w obronie swych praw obywatelskich, że władze w końcu uległy i przyznały im te same uprawnienia, jakie posiadali wszyscy koloniści angielscy.

–To widać, setne juchy byli ci Smolarze! – burknął William z uznaniem.

W tym czasie mój pradziadek Jan ożenił się z Angielką, przybyłą z Anglii do kolonii, co w dwa lata później pośrednio przyczyniło się do ocalenia mu życia. Mianowicie, kiedy żona jego spodziewała się dziecka, pradziadek zabrał ją z lasów do Jamestown, by miała tam wszelkie wygody podczas pòłogu. Akurat w tym czasie Indianie wirginijscy wznieśli wielkie powstanie, wyrzynając w pień wszystkich niemal kolonistów w leśnych osiedlach, w tym także większość Polaków. Tylko samo Jamestown, w czas ostrzeżone, zdołało się obronić i uchroniło swych mieszkańców.

O urodzonym wtedy dziadku Marcinie niewiele mogę powiedzieć; tylko to, że żył w lasach jako osadnik, ożenił się również z Angielką i miał kilkoro dzieci, z których Tomasz, urodzony w 1656 roku, był moim ojcem. Gdy ojciec dochodził do lat dwudziestu, niespokojni Indianie nad rzeki Susauehanna stawali się groźbą dla białych osadników. Wtedy niejaki Bacon, kresowy

pionier wirginijski, zwołał przeciw nim oddziały ochotników, które wytępiły Indian do nogi. Jako jeden z pierwszych ochotników zaciągnął się mój ojciec. Bacon cieszył się taką chwałą, że z całej Wirginii ściągali do jego oddziałów stronnicy.

W owe czasy srogie rządy w Wirginii sprawowali wielcy panowie i bogacze, do których należała cała niemal ziemia i wszelkie inne dobra. Na ich czele stał przysłany z Anglii gubernator kolonii, lord Berkeley, tyran i ciemieżca ludu. Widząc, że dokoła Bacona skupiały się coraz większe masy niezadowolonych, lord Berkeley uderzył swym wojskiem na tyły kresowych oddziałów, podczas gdy rozprawiały się wciąż jeszcze z Indianami. Lecz potęga ruchu ochotników była niezwalczona. Oddziały Bacona zwróciły się teraz przeciw wojskom gubernatora i przeciw właścicielom majątków. Rozsrożyła się krwawa wojna domowa, w której zwycięskie oddziały ochotnicze były wroga w każdym spotkaniu, aż przyparły go do samego wybrzeża.

Wtedy Bacon poniósł śmierć. Był to cios zabójczy dla ruchu powstańców. Berkeley wykorzystał bezład i popłoch w ich szeregach i podniósłszy od nowa głowę zaczął ich gromić. Złamali się, ponieśli klęskę. Zwycięzcy szaleli ogniem, mieczem i szubienicą. Rozjuszeni, bezlitosnym butem zdeptali załóżek niepodległości Wirginii. Był to rok 1677.

Ojca mego, skazanego już na powieszenie, ocaliła okoliczność, że dziadek jego przybył do kraju jako cudzoziemiec. Więc ojciec, uznany za cudzoziemca, został tylko wydalony z Ameryki. Pojechał do Polski nie znając wówczas ani jednego słowa polskiego.

Po kilku latach ożenił się z wykształconą niewiastą z rodziny rzemieślniczej w Krakowie. Choć szczęśliwy w Polsce, tęsknił jednak za życiem w lasach wirginijskich. Skoro tylko zawiąły w Ameryce łagodniejsze wiatry polityczne i ogłoszono ogólną amnestię, wrócił wraz z rodziną pod Góry Alleghańskie. Tu w ostatnim roku XVII wieku przyszedłem na świat. Pomimo że matka moja była Polką, niewiele zachował słów polskich, za to nauczyłem się od matki czytać i pisać po angielsku.

A oto – żeby zakończyć opowieść tych rodzinnych przypadków – oto w dwudziestym szóstym roku mego życia wypadło mi bronić z orężem w ręku ojcowskiej doliny i ulegając przemocy tyranii ratować się ucieczką na morze.

–Niech cię kule biją, co za rogaty ród! – cmoknął William z zadowoleniem. – Same bunty i bunty! Pradziadek buntownik, ojciec buntownik i syn buntownik. Jesteś jak stworzony na nasz okręt kaperski.

–Żeby uprawiać korsarstwo i zbójnictwo?

–Nie. Żeby chwałę zdobyć, a kieszenie przy tym napchać.

–Dziękuję za taką chwałę...

Przebywając w głębokich lasach, życie wiodłem tam nad wyraz bujne i ruchliwe, pełne przygód

wszelakich. Atoli jeřliby mnie kto zapytał, jakie wzruszenia w owym okresie wraziły się najgłębiej w moją duszę, odpowiedziałbym, że nie były to przeżycia myśliwskie – lubom pierwszego niedźwiedzia ubił mając lat dwanaście – ani krwawe przejřcia tej ostatniej ruchawki, ale były to wrażenia innej, nieoczekiwanej zgoła natury: książka, przeczytanie jednej książki. Przed dwoma laty wpadła mi do ręki, a gdym zaczął ją czytać, czulem się jak gdyby oszołomiony i dech mi zapierało. Dopókim czytał, nie sposób mi było oderwać się od niej. Juź sam tytuł tej książki wskazywał, jaka była porywająca treść:

ŻYCIE

i zadziwiające przypadki

ROBINSONA KRUZOE

MARYNARZA Z YORKU

który przeżył sam jeden dwadzieścia i

osiem lat na

BEZLUDNEJ WYSPIE

u brzegów Ameryki

BLISKO UJŚCIA WIELKIEJ RZEKI

ORINOKO

gdzie dostał się po rozbiciu okrętu

przy czym prócz niego

ZGINEŁA CAŁA ZAŁOGA

z dodaniem jak został nieoczekiwanie

uwolniony

PRZEZ PIRATÓW

NAPISANE PRZEZ NIEGO SAMEGO

LONDON PRINTED for W. Taylor at. the Slup in Pater-NOSTER MDCCXIX

**Książka, wydana w Londynie w 1719 roku, spisana była przez Daniela Defoe. Oto mi książka!
Oto wrażenia! Nic mną tak dotychczas nie wstrząsnęło, jak czytanie przygód rozbitka na**

bezludnej wyspie. A gdym doczytał ją do końca, zacząłem od początku drugi raz i trzeci raz, ucząc się ustępów całych na pamięć. Czasem wydawało mi się, że to ja sam zabrąłem na tę tropikalną wyspę, hodowałem kozy i ratowałem Piętaszka od ludożerców.

Uciekając przed siepaczami panów zabrałem ze sobą bardzo mało rzeczy, alem o książce nie zapomniał. Miała towarzyszyć mi na wygnaniu. Na statku opowiadałem o niej Williamowi, a przyjaciel mój tak się do niej zapalił, że w chwilach wolnych od zajęć musiał mu ją czytać, on bowiem czytać nie umiał.

–Czy znasz może tę wyspę Robinsona? – zapytałem go kiedyś.

William podrapał się po głowie bezwiednym ruchem niepewności.

–Wysp takich u wybrzeża Ameryki Południowej jest chmara. Całe szerokie ujście rzeki Orinoko składa się z setek wysp, ale tam wzgórz nie ma, jak na wyspie Robinsona. Jest w pobliżu lądu inna wyspa, górzysta, zwą ją Trinidad, ale to pewnie zbyt wielki szmat ziemi...

–A Małe Antyle, które wkrótce ujrzymy?

–Tam wysp również niemało i różnorodność ogromna. Są duże i małe, górzyste i zalesione, zaludnione i bezludne. Ale wyspa Robinsona wszakże była niedaleko lądu amerykańskiego, Małe Antyle zaś ciągną się łańcuchem od południa ku północy, z dala od stałego lądu.

Przejmowaliśmy się każdym słowem zawartym w książce Robinsona, więc trochę nas martwiło, że nie podał nazwy ani dokładniejszego położenia swej wyspy.

–Czekaj, Jonny! – zawołał William, ożywiony nową myślą. – Coś mi wpadło do głowy: Tobago! W łańcuchu Małych Antyli jest to ostatnia wyspa, najbardziej na południe wysunięta. Tobago! Stamtąd widać w pogodne dni skały Trinidadu, wyspy, ale przecież przyczepionej blisko lądu amerykańskiego. Więc może Tobago jest wyspą Robinsona? Jest górzyste, pokryte wewnątrz puszcza, wszystko niby się zgadza...

–A czy żyją tam ludzie?

–A jakże, są tam ponoć jacyś koloniści angielscy, ale dawniej wyspa była nie zaludniona, tak mi mówiono...

–Wszystko się zgadza. To więc tam, na Tobago, z pewnością żył Robinson?

–O Jonny, czy ja wiem? Może tak, może nie...

Różne takie snuliśmy domysły, ale właściwie trudno było powiedzieć na pewno, gdzie w tym roju wysp i wysepek było miejsce rozbicia się statku Robinsona.

Tymczasem z mili na milę wzmagala się czujność na naszym statku, wpływaliśmy bowiem na

wody wysp francuskich i można było natknąć się na pożądany łup. Wiadomo było, że w pobliżu Guadelupy krzyżowały się trasy różnych statków, nie tylko francuskich, ale i duńskich, i holenderskich.

Któregoś dnia ujrzeliśmy wylaniające się spoza widnokregu żagle, ale okazało się, że to cała flotylla dobrze uzbrojona, i trzeba nam było zmykać czym prędzej, by samym nie nawarzyć sobie piwa. Kapitan, zniechęcony zawodem, postanowił tedy pójść dalej na południe, na szlaki statków hiszpańskich, gdzie ponoć zdobycz bywała łatwiejsza, a gdy szczęście dopisywało – i cenniejsza.

–Nie ma to jak Hiszpanie – wołał nasz bosman w rzadkich chwilach lepszego humoru. – Przyjemnie im podrzynać gardła, a srebra u nich – całe góry!

Zgrzytałem zębami, że dostałem się lekkomyślnie w tak podłą kompanię, ale nie było innej rady, jak obojętną miną pokrywać swe wzburzenie. Na domiar zyskiwałem pochwałę piratów moją zręcznością, gdyż w obchodzeniu się z armatą i w celowaniu czyniłem niezwykle podobno postępy.

W pobliżu Guadelupy przepływaliśmy koło innej wyspy, znacznie mniejszej, choć równie górzystej i pokrytej puszcza.

–Czyżby to Martynika? – zapytałem Williama.

–Nie, brachu. Martynika leży troszkę dalej na południe, a to jest Dominika. My, Anglicy, od dawna ostrzymy sobie na nią apetyt, ale niejeden łeb rozbija się jeszcze o skalisty brzeg tej wyspy, zanim kęsek przypadnie nam.

–Czy zbyt trudny dostęp?

–Dostęp jak dostęp. Na wyspie siedzą wszawi Indianie i tak diabelnie się bronią, że nijak do nich podejść.

–Hej, Williamie! – zawołałem zdziwiony. – Czy się czasem nie mylisz? Ja myślałem, że na wszystkich wyspach Małych Antyli już dawno ich wytępiono do nogi...

–Well, wytępiono na wielu wyspach, ale nie wszędzie. Tu Dominika. Jeśli za dwa, trzy dni szczęśliwie ominiemy Martynikę, ujrzymy wyspę Santa Lucia. Na niej również trzymają się Karaibowie, jakby za ich dawnych dobrych czasów. Następna na południu wyspa, Saint Vincent – to samo. I tam grasują Indianie, a biały, który dostałby się na ich brzeg, może pożegnać się ze światem. Niejeden raz tam lądowaliśmy zbrojną gromadą,

by nałapać niewolników na nasze plantacje, ale – bestie – bronili się tak dziko, że szybko odchodziła nam ochota. Kiedyś przyjdzie i na to plugastwo kolej...

Srogą zawsze żywiłem ku Indianom zawziętość, bom jako kresowiec wirginijski wiele

nasłuchał się skarg na nich, a ojciec mój za młodo sam z nimi wojował w szeregach Bacona – jednak trudno mi było teraz podzielać nienawiść Williama do tych wyspiarzy. Na swych wyspach siedzieli cicho jak mysz pod miotłą, nikomu nic złego nie robiąc. Czy dziwić się im, że zacięty stawiali opór nie chcąc iść do niewoli, straszniejszej zapewne niż śmierć? A może te dzikusy odczuwali wszelkie jarzmo równie boleśnie jak ja, jak każdy z nas?

–Czy to są ludożercy, ci na tych wyspach? – spytałem przyjaciela.

–Wiadomo.

–Skąd wiadomo? – starałem się dociec szczegółów.

–Każde dziecko to wie.

Widocznie nie miałem zbyt przekonanej miny i William chciał wziąć mi to za złe, ale zaraz się roześmiał. Po chwili rzekł:

–Jeśli to ciebie naprawdę interesuje, to zapytaj się Arnaka, tego większego z owych dwóch niewolników naszego starego. Chociaż pochodzi z południa, gdzieś znad ujścia Orinoko, a nie z tych wysp tutaj, przecież on tak samo Karaib jak ci wyspiarze.

–Ale jak się z nimi dogadać?

–Bardzo łatwo. On umie po angielsku... Tylko uważaj na kapitana! Jak cię stary przydybie, że wdajesz się z jego niewolnikiem, łeb ci chyba urwie. I jeszcze jedno: śpiesz się, Jonny, dopóki Indianie przy życiu, bo niedługo stary zamęczy ich na śmierć.

–Wściec się można, jak on znęca się nad chłopcami! – wyrwało mi się. – Czemu to robi?

–Czemu? Nie rozumiesz, głupcze? To jego jedyna przyjemność. Taką posiada już ten szatan podłą naturę, że zawsze musi mieć jakąś ofiarę i doprowadzić ją powoli do śmierci. Przedtem miał młodego Murzyna. Pastwił się nad nim tak długo, aż Negr zdechł jak pies. Teraz wybrał sobie tych dwóch Indian. Jakem William, mogę ci głowę dać, że z tego rejsu żywi nie wrócą.

–To straszne!

–Głupiś, Jonny. Mylisz się!

–Nie rozumiem ciebie!

–To dobrze, że stary ma Indian do katowania, bo przynajmniej nam, marynarzom, daje spokój.

William w gruncie rzeczy nie miał złego serca, ale wykołejone życie na pirackim statku pomieszało mu wszelkie pojęcia dobrego i złego. Polubiłem starego marynarza i postanowiłem w duchu, że zaraz po powrocie do Ameryki Północnej ściągnę go ze statku, zaprowadzę w lasy Pensylwanii i tam wykieruję go na uczciwego człowieka i towarzysza. W Pensylwanii lordowie

wirginijscy nie mieli wielkiej władzy.

3. Kapitan i dwóch Indian

Kurs wiódł nas prosto na południe. Był luty. Podchodzenie pod słońce odczuwaliśmy wyraźnie w zmianie powietrza. Zimne wiatry pozostawały daleko za nami, z każdym dniem słońce coraz mocniej przygrzewało, a gdy nieraz podkradaliśmy się pod brzegi wysp na odległość nie większą niż pół mili, wietrzyk dmący od lądu niósł nam silne zapachy kwiatów i nieznanых korzeni.

Na wyspach była już wiosna w pełni. Pomimo ciężkiej służby na okręcie z radosnym wzruszeniem witałem to inne niż u nas niebo; po raz pierwszy przecież w życiu zapuszczałem się w strony podzwrotnikowe.

Szereg wysp minęliśmy bez wypadku, z daleka trzymając się od Barbados, na którym już od blisko stu lat siedzieli Anglicy. Potem wzięliśmy kurs na południowy zachód, by opłynąć wyspę Grenadę. Zbliżaliśmy się do traktów wodnych nawiedzanych przez statki hiszpańskie. Odtąd marynarz na „bocianie” ze szczególną uwagą wyteżał wzrok na wszystkie strony. Lecz daremnie wyteżał. Nic nie wchodziło nam w drogę. Morze od widnokręgu rozciągało się puste, jak gdyby nigdy nie widziało tu człowieka.

Kapitan, rozsierdzony niepowodzeniem, miotał przekleństwa na wszystkich i na wszystko. Chodził uzbrojony po zęby, niby w obawie buntu, ale na nas warczał tylko z daleka, za to tym okrutniej wylewał swą pasję na dwóch młodych Indianach. Czegóż oni nie wycierpieli! Gdy pewnego razu starszy z nich, wyrostek dwudziestoletni, uczynił rozpaczliwy ruch, jakby w samoobronie, kapitan dobył pistoletu, by go zastrzelić. Ale rozmyślił się. Kazał suto nakarmić chłopca przesolonym mięsem bez dania mu kropli wody do picia i następnie przywiązać do przedniego masztu. Biedaczysko, wystawiony na niepogody i żar słońca, miał tu pozostać aż do śmierci z głodu i pragnienia. Kapitan zapowiedział, że zastrzeli jak psa każdego, kto starałby się pomóc chłopakowi.

Działo się to po południu owego dnia, kiedy daleko, na zachodnim widnokręgu, zamajaczyły szczyty Grenady. Patrzyliśmy na okrucieństwo kapitana bezsilni, skuleni jak psy, załęknieni. Chłopak stał pod masztem przez całą noc, przez cały następny dzień prażył się w słońcu. Miał silny charakter. Milczał. Ani słowem nie zdradził się, że cierpi.

Pod koniec dnia zacząłem buntować się. Odezwała się we mnie krewkość wirginijskiego kresowca. To, że kapitan śmiał znęcać się tak otwarcie i bezwstydnie pod naszym bokiem, odczuwałem, jak gdyby mnie samego to spotykało. W oczach kapitana, widać, byliśmy motlochcem, z którym nie potrzebował się liczyć.

Z nastaniem nocy powziąłem zamiar udzielenia chłopcu pomocy. Noc była chmurnista, czarna jak smoła, ciepłe porywy wiatru świszczały w olinowaniu. Może zanosilo się na deszcz, ale nie było wiadomo, czy spadnie, od wielu już dni nie padało.

Nad ranem była kolej na moją wachtę, więc przedtem, krótko po północy, zacząłem się do

przedniego masztu. Szło snadniej niżelim przypuszczał nikt mnie nie spostrzegł. Niosłem spory kubek pełen wody do picia i nieco zwilżonych sucharów.

Nikogo nie było w pobliżu. Indianin, mając ręce skrępowane i przymocowane do masztu, drzemał na stojąco. Przytknąłem mu kubek do ust. Więzień drgnął wystraszony. Pił chciwie i zdawało mi się, że słyszę, jak woda bulgocąc szła mu łykami do żołądka. Potem wtykałem mu do ust drobne kawałki zwilżonych sucharów. Nie mówiliśmy do siebie ani słowa i wątpię, czy mnie poznał. Chciałem dać mu jeszcze wody do popłukania, ale nie zdążył.

Nagle drzwi od kajuty kapitańskiej otworzyły się i smuga światła rozdarła ciemności. Jak oparzony odskoczyłem w bok. Niestety, w popłochu z rąk wypadł mi kubek, z trzaskiem padł na pokład i potoczył się. Nie było czasu za nim bieć. Kapitan trzymając wysoko latarkę szedł w moją stronę. Musiał zauważyć coś podejrzanego, bo przyśpieszając kroku klął głośno i przywoływał wachtę.

W pobliżu przedniego masztu leżały zwoje lin, wszelakie skrzynie i rupiecie. Dałem tam nura i w ciemnej dziurze ukryłem się jak szczur. Po chwili doleciały mnie wściekle okrzyki kapitana: widocznie odkrył kubek i domyślił się tego, co zaszło. Kazał marynarzom szukać winowajcy, ale niewiele wskórał, bo wszyscy nienawidzili okrutnika i opieszale wykonywali jego rozkazy. Pienił się, wrzeszczał na całe gardło, potem znikł w swej kajucie huknąwszy drzwiami.

Wprędce wśliznąłem się nie postrzeżony do kubryku i ległem na swym posłaniu obok reszty załogi.

Grubo myliłem się myśląc, że na tym koniec sprawy. Następnego dnia kapitan zwołał na pokład całą załogę i żądał, by zgłosił się sprawca. Równocześnie dał rozkaz ćwiczenia batami obydwóch marynarzy z wachty, w czasie którego zdarzył się nocny wypadek. Spoglądając na nas ze wstrętem, wycedził, że każe bić, dopóki marynarze nie wyzioną ducha.

Stałem między innymi na pokładzie. Nie wątpiłem, że lotr wykona swą groźbę i każe ubić dwóch niewinnych ludzi. Działo się to wszystko w pobliżu przedniego masztu, spod którego ogarniał nas mdlejącym wzrokiem związany Indianin. Rozumiał, o co chodzi.

Wzdrygnąwszy się wystąpiłem kilka kroków naprzód i patrząc kapitanowi śmiało w oczy oświadczyłem głośno, że to ja byłem sprawcą.

–Tyyy? – wyrwało się z jego gardzieli złowieszczym sykiem.

Wielka jego głowa, wytrzeszczone ślepia i drapieźnie otwarte

usta wydały mi się w tej chwili gębą jakiegoś potwora morskiego. Kapitan nieznacznie się przybliżył świdrując mnie twardym wzrokiem. Znienacka wzniosł prawą rękę i zdzielił mnie pięścią w twarz. Zamroczyło mnie. Chciałem skoczyć mu do gardła, ale silne łapy marynarzy

chwyciły mnie jak w kleszcze. Kapitan dobył pistoletu. Poczulem ostre uderzenie w skroń i natychmiast straciłem przytomność.

Gdym przyszedł do siebie, leżałem w kubryku, na swym barłogu. W głowie mi szumiało i bolało okrutnie, a w oczach miałem mgłę. Było mi chłodno. Ktoś siedział obok mnie. Dopiero po dłuższej chwili poznałem, że to William.

–No, skurczybyku, budzisz się nareszcie – szepnął nade mną uradowanym głosem. – Cholernie długo to trwało.

–Czy on strzelił do mnie? – zapytałem.

–Nie. Uderzył tylko kolbą pistoletu.

–Ach, tak.

Odlatywały mi myśli jak spłoszone ptaki, ponownie zapadłem w nieprzytomność, lecz słabość szybko minęła.

–Darował mi życie! – prychnąłem z sarkazmem.

–Nie – odparł William. – Stary myślał, że ciebie uśmiercił. Leżałeś jak zabity. Gdy się ściemniło, przeniosłem cię tutaj.

–Dziękuję ci, Willy...

Potem zatrwożyła mnie myśl, co będzie dalej. Zaniepokojenia nie ukrywałem przed Williamem. Znałem mściwość kapitana. Lecz przyjaciel nie przejmował się zbytnio.

–Leż cicho – mówił – jakbyś ciągle był nieprzytomny i umierający... Na razie kapitan ma inne kłopoty!

Wzniosłem ku Williamowi pytające spojrzenie, jakie to kłopoty.

–Czy nie słyszysz, nie czujesz? – marynarz ruchem ręki wskazał na ściany kubryku.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że od zewnątrz wdzierał się do nas huk spienionych fal, bijących gwałtownie o burtę okrętu. Kołysaliśmy się na wszystkie strony. Lampa, wisząca u stropu, tańczyła na prawo i lewo; ściany okropnie trzeszczały.

–Sztorm? – zapytałem.

–I to jaki! – William świsnął przez zęby. – Piekło! Od kilkunastu godzin straciliśmy panowanie nad sterem. Część masztów połamana. Statek na łeb, na szyję pędzi w stronę lądu.

–Jakiego lądu? – nie mogłem należycie połapać się z bólu głowy.

–Jakiego? No, prosta rzecz, Ameryki Południowej. Sztorm pcha nas na południowy zachód, można kręćka dostać... Jeśli nie ustanie wcześniej, zagna nas na jakie skały albo w łapy Hiszpanów, co jeszcze gorsze... Lepiej o tym nie myśleć, co nam zgotują...

William dał mi do picia coś smakującego jak rosół z mięsa. Pokrzepiło mnie to znakomicie, równocześnie jednak opadła mnie niezwalczona senność. Chciałem zapytać się przyjaciela o los Indianina przy maszcie, ale nie doszło już do tego: zapadłem w głęboki, mocny sen.

Odpoczynek poprawił mi zdrowie niezgorzej. Po przebudzeniu się głowę miałem trzeźwiejszą, a ból skroni odczuwałem jeno wtedy, kiedy ją dotykałem. Ciało me przenikał dojmujący ziąb, pomimo że leżałem w ubraniu. Chciałem wstać z posłania, ale przypomniały mi się przestrogi Williama.

Burza jednym ciągiem szalała jak wprzód. Huk szedł z pokładu ogłuszający, jakby z dział bito. W czeluściach okrętu trzeszczało tak okrutnie, że patrzałem chwili, kiedy rozwali się grat i woda zaleje mnie w kubryku.

W półmroku zamajaczył ktoś zbliżający się. Był to William.

–Jak się czujesz? – spytał ściszym głosem.

–Lepiej. Tylko mi chłodno...

–To dziwne. Jest parno i gorąco pomimo sztormu. Jedz i pij, będzie ci cieplej... Żle z nami...

–Z kim?

–Z okrętem.

Przyniósł mi znowu pożywienie. Nagły przypyływ podziękności napelnił me serce za niezwykłą troskliwość, jaką mnie otaczał ten obcy, bądź co bądź, człowiek.

–O Willy, Willy! – szepnąłem.

Ale on uczynił ruch ręką, jakby chciał odgonić od siebie wszelkie wzruszenia, i burknął:

–Idź do diabła!

–Nie wymigasz mi się! – rzekłem stanowczo, podnosząc się na posłaniu. – Słuchaj mnie! Tam w Pensylwanii czeka na nas puszcza. Wykarczujemy wspólnie las w urodzajnej dolinie. Nauczę cię uprawy ziemi i polowania... Zobaczysz, jakie piękne to życie...

–Ach, żeby cię jasne pioruny! Piękne, piękne! – przedrzeźniając parsknął William z ironicznym uśmiechem, który więcej wyczuwałem w jego głosie, niżeli go widział. – Piękne! Ale pierwej trzeba dożyć tej twojej Pensylwanii, a z tym dożyciem – krucho... Słyszysz, jak wali?

–Słyszę.

–Na pokładzie Sodoma i Gomora. Woda zerwała już główną szalupę ratunkową, pozostała nam tylko druga łódź... Sztorm, jakiego nie pamiętam...

Niepogody i przechyleń okrętu nie znosiłem tak dobrze jak William. Po spożyciu pokarmu zbierało mi się po trosze na mdłości, ale mimo to nie traciłem jasnego poglądu na sprawy i na moje położenie. Coraz uporczywiej wciskał mi się do głowy rozpaczliwy pomysł. Na razie nie zdradzając się z nim przyjacielowi chciałem jednak nabrać pewności, czy to, co zamierzałem zrobić, było słuszne i konieczne.

–Willy – zagadnąłem przyjaciela – czy ty dobrze znasz naszego starego?

–Tę zarazę? Jak własną rękę. Już trzy lata z nim pływam.

–To powiedz mi, co będzie, jak sztorm się uciszy? Bo przecież kiedyś nastanie znów pogoda, do diaska...

Słowa moje wprowadziły Williama w pewne zakłopotanie. Domyślał się, co mi zaprzętało głowę. Ociągał się z odpowiedzią.

–No, gadaj – zachęcałem go – nie bądź tchórzem, przyjacielu! Kapitan jest przekonany, że mnie posłał na tamten świat. Co będzie, gdy zobaczy mnie żywego?

Marynarz wzruszył ramionami.

–Nie wiem, dalibóg, nie wiem, co wtedy nastąpi.

–Czy nie sięgnie po pistolet i nie wpakuje mi kuli w łeb, tym razem już na dobre?

Po chwili William potwierdził:

–U tego szubrawca wszystko możliwe. To mściwa bestia.

–Więc muszę się bronić! Jasne, przyznasz mi to! – krzyknąłem.

–Bronić – bardzo ładnie, ale jak się chcesz bronić, nieboraku? – westchnął zatroskany przyjaciel.

–Wiem, jak się bronić! – warknąłem.

–Stary ma tu nieograniczoną władzę. Każdego z nas może zatłuc na śmierć jak szczeniaka. Ma wśród załogi kilku siepaczy, gotowych dopuścić się każdej zbrodni na jego skinienie. Gdzie ty, Jonny, przeciw niemu?

Leżałem w kubryku tak jak mnie nieprzytomnego przydźwigał tu William: w odzieży.

Namacalem pas. Wisial tam u lewego boku mój myśliwski nóż, wierny od lat towarzysząc wędrówek po puszczy wirginijskiej. Doylem go teraz z pochwy skórzanej i pokazalem Williamowi, ale wtedy właśnie kilku marynarzy z załogi weszło do kubryku, więc nóż szybko chowając wycedzilem pełen zawziętości przyjacielowi do ucha:

–Kapitan nie może przeżyć tego sztormu!... Albo on zginie, albo mnie diabli wezmą!...

–Rozumiem. Chcesz go... – i William machnął ręką, jak gdyby wbijał w kogoś nóż.

–Zgadłeś.

Przyjaciel, przejęty, spojrzal na mnie z niepokojem. Potem mocno, serdecznie chwycił mnie za rękę i uściskał. Szepnął:

–Jesteś chwat, Jonny!... Nie masz innego wyjścia!... Zabij go!... Pomogę ci!...

Pochylil się nad moją głową i całym ciężarem padł na mnie, bo w tej chwili potężny wał wody runął na okręt i položyl go prawie na bok. Stół, przymocowany do podłogi, oderwał się i z hukiem uderzył o ścianę. Rozległ się brzęk tłuczonych naczyń i plusk wdzierającej się gdzieś wody. Myśleliśmy, że to koniec. Marynarze w popłochu wybiegli z kubryku na pokład, bo tam łatwiej było się ratować. William pozostał przy mnie. Okręt leżał bokiem przez nieskończenie długi – jak mi się wydawalo – czas. Potem zaczął powoli podnosić się i powracać do poprzedniego położenia. Tym razem fala nie wciągnęła nas w dół.

Był początek nocy. Wszedłem na pokład. Wicher smagał mnie jak biczem i mocno musiałem uchwycić się poręczy, by mnie nie zmiotł. Na dworze szybko wracałem do sił. W krótkich odstępach czasu fale przewalały się przez pokład i porywały wszystko, co nie było rzetelnie uwiązane.

Przyczailem się w pobliżu kajuty kapitańskiej, ale nikt nie wychyłał nosa w taką podłą pogodę. Wejść do środka kajuty nie chciałem. Wolalem rozprawić się z nim na pokładzie i zaraz wyrzucić go za burtę do morza.

Krążąc w pobliżu zaczął galernić się do przedniego masztu. Indianin wciąż stal tam przywiązany. Szedłem na całego z nikim i z niczym już się nie liczyłem. Gdy rozciął chłopakowi więzy, był tak osłabiony, że legł pod masztem na pokładzie. Dopiero po chwili zebrał siły i odpelził w bok znikając mi z oczu.

4. Sztorm

Potworny, tropikalny sztorm! Huk morza i skowyt wichru był ogłuszający. William przywłókł się do mnie i razem czatowaliśmy. Gdy chciał do mnie przemówić, nie sposób było porozumieć się: słowa więzły w krtani.

Po paru godzinach daremnego czyhania zamierzaliśmy odejść w bardziej zaciszny kąt, by coś postanowić – ale nie doszło do tego. Nastąpiła katastrofa. Okręt wpadł na skałę podwodną. Wstrząs nie był tak straszny, za to zgrzyt rozdieranego pod nami kadłuba i trzask łamanych belek prawie dorównywały huczeniu morza. Zresztą Niewielem już słyszał. Uderzył na mnie spiętrzony wał wody z taką wściekłością, że m nie mógł stawić mu oporu. Oszołomiony, puściłem linę, której dotychczas się trzymałem. Straszliwa fala porwała mnie na swój grzbiet, potem gwałtownie zwała w przepaść wodną. Leciałem na leb, na szyję, głową w dół. Straciłem na pół przytomność, a gdy zaczęły przecierać mi się oczy, tonącego okrętu już nie widziałem w ciemnościach.

Kiedyś należałem do tęgich pływaków, lecz na cóż to się teraz przydało wobec otaczającego mnie szaleństwa? Nowa fala przelala się ponad moją głowę ściągając mnie w głąb. Poczulem ból w piersi od zakrztuszenia się, potem tracąc zmysły słyszałem tylko szum coraz słabszy. Ale inna fala porwała mnie znowu w górę i wypchnęła na powierzchnię morza. Nie byłem tu długo, przecież starczyło, by zaczerpnąć troszkę powietrza, zanim przykryła mnie następna góra wody.

Jak długo to trwało, nie wiem. Co chwila przerywał się nikły wątek przytomności. Targany na wszystkie strony, byłem nędznym przedmiotem igraszki wszechwładnego żywiołu, igraszki między dogasającym płomyczkiem życia a huczącym naporem śmierci.

Nie dałem się śmierci. Życie wygrało. W pewnej chwili przeszło mnie jak gdyby uczucie bezwiednej rozkoszy. Byłem półprzytomny, nic nie widziałem, ale zdawało mi się, że ręce moje pochwyciły jakiś twardy przedmiot. W tym płynnym chaosie, gdzie niepohamowane siły szarpały człowieka bezustannie w górę i w dół – nagle jakiś opór, jakieś oparcie dla rąk i nóg.

Równocześnie woda z szumem gdzieś odpływała wstecz i mogłem znów oddychać. Była to skała, której kurczowo się trzymałem. Chciałem zerwać się i biec. Daremnie: nogi ugiwały się pode mną. Ledwom pełzał na czworakach i brzuchu po ziemi. Po ziemi!

Za chwilę od tyłu zwała się nowa fala i znowu oderwała mnie od zbawczego gruntu, ale była to przyjazna fala. Poniosła mnie dalej w głąb lądu i nieco wyżej. Gdy opadła, zacząłem pośpiesznie czołgać się uciekając przed następnym uderzeniem wody. Podczas tego wysiłku ległem bez czucia.

Ile godzin tak przeleżałem – pięć, dziesięć, może dzień cały? Wracałem do przytomności powoli, jak gdyby stopniowo. Jeszcze na długo, zanim zdołałem otworzyć oczy, doznawałem niezwyklej przyjemności: było mi ciepło. Od kilku dni po raz pierwszy ciepło. A morze

tymczasem musiało cofnąć się o kilkadziesiąt kroków, bo szum bałwanów bijących o brzeg słyszałem z bezpiecznej oddali. Od jak dawna nie brzmiało mi w uszach tak łagodnie i miło jak teraz? Niebezpieczeństwo minęło. Żyłem.

Nagle poczułem, że mam usta pełne mułu i że leżę z głową na wpół pograżoną w piasku.

Ziemia, ziemia! Dobra ziemia! – była to pierwsza moja myśl i coś we mnie zaskakało.

Z trudem i nie od razu podnosiłem się. Jeszcze trudniej było mi otwierać oczy, jak gdybym nie odmykał powiek, ale rozwierał ciężkie, zardzewiałe zasuwki.

5. Pierwsza noc na lądzie

Wyplulem piasek i przetarłem oczy. Odczuwałem mdłości od nalykanej wody morskiej i dopiero po zwróceniu zawartości żołądka zrobiło mi się lepiej.

Ciepło, jakiego przedtem doznałem, pochodziło od słońca. Popołudniowe słońce przebiło się przez chmury i ogrzewało ziemię. Zapewne to jego złote promienie powodowały, iż ląd, na który wyrzuciło mnie morze, wydał mi się nad wyraz pociągający. Były to piaszczyste wydmy, utkane gdzieniegdzie niewielkimi skałami. Opoдал, o kilkaset kroków ode mnie, rosły smukłe palmy kokosowe, za wydmami zaś rozciągały się suche, krzewiaste zarośla. Drzewa, z rzadka sterczące tu i ówdzie ponad krzewami, były tym liczniejsze, im dalej od morza, i w głębi lądu jak gdyby tworzyły zwartą puszcę. Z gąszczu kaktusów, dochodzących niekiedy do kilkunastu stóp wysokości, dolatywały mnie wesole szczebioty i pogwizdy ptaków. Można by prawie sądzić, że to radosne powitanie przybysza.

Wiatr dał jeszcze silny, ale burza minęła, a morze znacznie przycichło. Tylko białe grzywy pienią się na falach, tam gdzie kilka godzin temu przewalały się groźne odmęty. Podczas patrzenia w dal oceanu obudziła się we mnie pamięć.

William! William! – pomyślałem z rozdartym sercem. – Gdzieżeś, przyjacielu?

Rozglądałem się po wybrzeżu: nikogo nie dostrzegłem. Zacząłem wołać i brnąć wzdłuż morza tak szybko, jak mi pozwalały na to siły. Żadnej odpowiedzi. Wtedy zląkłem się własnego głosu. A nuż żyli na tym lądzie dzicy Indianie i zwabieni moim krzykiem gotowali się do napaści? Może zamieszkiwali tu Hiszpanie, wróg równie niebezpieczny jak Indianie? Umilkłem i lubom biegł dalej, trzymałem się skraju zarośli rzucając w ich głąb trwożne spojrzenia. Gąszcz stał się teraz źródłem obaw, już nie było w nim poprzedniego wdzięku słonecznego.

Williama ani nikogo innego z marynarzy nie odkryłem. W czasie tej wędrówki zamajaczyło mi w dali coś ciemnego nad brzegiem morza. Była to rozbita szalupa z „Dobrej Nadziei”, której deski wały się na piasku. Gorączkowo przeszukiwałem całe otoczenie, by znaleźć jaki prowiant, umieszczany zazwyczaj na łodziach ratunkowych. Ale nie było ani żywności, ani innej pożytecznej rzeczy.

O łódź, szyderczo nazwana ratunkową! Może towarzysze, uczepli burty, liczyli na twą ostatnią pomoc, a ty, rozbita jak ich własne życie, okrutnie zawiodłaś nadzieje tonących?!

Widok żalonych szczątków łodzi przywiódł mnie do rzeczywistości. Uświadomiłem sobie, że to, com przeżywał w ostatnich godzinach i w ostatnich dniach, nie było koszmarnym urojeniem, jak mi się czasem wydawało. Zdruzgotany ster, złamany drąg, porzrzucone nad morzem deski uprzytamniały mi z bolesną jaskrawością katastrofę. Zrozumiałem, że załoga „Dobrej Nadziei” prócz mnie marnie zginęła. O biedny Williamie!

Jeszcze przebiegłem spory kawał wybrzeża, ale nigdzie nie spotkałem żywej duszy ani nawet

najmniejszego śladu po marynarzach. Nie ludziłem się, żeby który z nich uszedł śmierci. Świadomość tego niemal zwała mnie z nóg. Sam jeden na obcym wybrzeżu, zamieszkanym prawdopodobnie przez ludożerców, narażony na nieznane niebezpieczeństwa, byłem przecież nie tylko bez bratniej duszy, lecz i bez broni, i bez jakichkolwiek środków do życia.

Alem niedaremnie miał dwadzieścia sześć lat i był zdrowy na duszy i ciele. Pomimo rozpacz i osłabienia głód zaczął dokuczać mi wilczy. Co tu spożyć? Jakież ptaki odzywały się w krzakach i był to niewątpliwie pokarm, wszakże nieuchwytny. W krzewiaste zarośla zapadło stado dość wielkich papug. Skrzeczały wniebogłosy. Podeszedłem do nich na kilka kroków i rzuciłem kamieniem. Oczywiście chybiłem, a ptaki z krzykiem odleciały do lasu.

Bezwiednie wracając w kierunku miejsca, gdzie fale wyrzuciły mnie na ląd, kroczyłem brzegiem morza. Sztorm dał się we znaki także różnym stworom morskim i na mej drodze pełno leżało na piasku małżowin. Były różnych gatunków i rozmiarów, wielkie i małe. Gdyby ich spróbować? Nigdy nie jadł jeszcze mięczaków. Kilka z nich, które wydały mi się nietrujące, rozbiłem kamieniem na kamieniu i zjadłem. Były wcale smaczne i znakomicie mnie posiliły. Płytką rzeczka, uchodząca nie opodal do morza, dostarczyła mi świeżej wody do picia.

Małżowiny setkami zaścielały piasek na wybrzeżu i z ulgą pomyślałem, że starczy mi pokarmu na całe tygodnie. Nie musiałem zatem ginąć w tej dziczy z głodu.

Schylając się po muszle poczułem, że zawadza mi jakiś podłużny przedmiot zaplątany w spodniach z lewego boku. Odzienie moje składało się tylko z koszuli, spodni-pludrów, pończoch i skórzanych trzewików, które bardzo ucierpiały na skutek przymusowej kąpieli. Podczas sztormu straciłem kamizelkę i kubrak. Sięgnąwszy teraz do spodni wydobylem na dzieńne światło ów uwierający przedmiot. Opisać moją radość!

–Nóż!

Rozpromienionym okiem ogarniałem błyszczącą stal, myśliwski nóż wirginijski, skarb w moim położeniu nieoceniony.

–Mam broń! Mogę się bronić! – powtarzałem pełen zapału.

Wstrząśnięty ostatnimi przeżyciami, łącznie jak widać podlegałem wzruszeniom i skłonności do przesady. Nóż był, owszem, ważnym sprzymierzeńcem i ogromnie dodawał mi otuchy, ale czy mógł mnie należycie obronić od zasadzek, grożących mi na nieznanym lądzie, i od niebezpieczeństw, jakie gotowała mi niedocieczona przyszłość?

Zachodzące słońce dotykało już nieboskłonu i wypadało pomyśleć o noclegu. Noc zapowiadała się ciepła, ubranie moje dawno wyschło na ciele, więc nie potrzebowalem obawiać się chłodu. Natomiast myśl o drapieżnych zwierzętach nie dawała mi spokoju. Wiedziałem z opowiadań, że Ameryka Południowa roi się od groźnych bestii. O kilkaset kroków od morza wznosiło się wysokie i rozłożyste drzewo. Postanowiłem tam pójść i spędzić noc w jego konarach.

Pod wieczór wiatr jeszcze bardziej złagodniał i morze się uśmierzyło. Rzucając spojrzenie w dal na ciemniejącą powierzchnię wody wypatrywałem jakiegoś znaku życia ludzkiego, a chociażby drobnego śladu po rozbitym okręcie. Na nieskończoności morza nic nie wpadło w oko. Pusta przestrzeń tylko potęgowała przygnębienie i uczucie mego osamotnienia.

Drzewo, wybrane na nocleg, obrośnięte było lianami, które nie tylko licznie zwisały z gałęzi ku ziemi jak powrozy, ale opasywały pień zwojami podobnymi do wielkich węzów. Łatwo mi było wspiąć się po nich w górę. Na grubym, poziomym rozgałęzieniu znalazłem jakieś takie siedzenie, oparłszy się plecami o pień. Ażeby podczas snu nie spaść, zerwałem kilka łokci cieńszych lian i przywiązałem się nimi do pnia. Rośliny te znakomicie się do tego nadawały, gdyż należały do gatunku szczególnie giętkiego, równie silnego jak konopie.

Byłem zmęczony jak pies, a przecież zasnąć nie mogłem. Przeróżne myśli tłukły się po mej głowie, zwłaszcza niepokojące pytanie, gdzie zagnał mnie srogi los.

Kierunek sztormu tudzież pewne zjawiska przyrody, choćby obecność wielkich papug, nasuwały mi przypuszczenie, że fale wyrzuciły mnie na ląd południowoamerykański, może gdzieś w pobliżu północnych odnóg ujścia rzeki Orinoko. Gdyby tak było, to wędrując pieszo wzdłuż morskiego wybrzeża ku zachodowi, mógłbym dotrzeć po kilku tygodniach lub miesiącach do hiszpańskich osad Wenezueli i byłbym wśród ludzi cywilizowanych. Czy byłbym również wśród ludzi życzliwych i skorych do pomocy, to inne pytanie. Oczywiście zataiłbym przed nimi przynależność do korsarskiego okrętu, ale mimo to mogłem być narazić się na ich prześladowania po prostu jako Anglik. Anglicy i Hiszpanie na tych wodach Antyli gorzej ze sobą żyli niż psy z kotami, wydzierając sobie wzajemnie wyspy, i lubo w Europie mógł być panować spokój, tu zawsze była między nimi wojna, nieoficjalna i pokątna, wszakci nie mniej zawzięta i krwawa.

Mówił mi William, że na tych wybrzeżach Ameryki Południowej grasowali także dzicy Indianie, Karaibowie, jeszcze nie ujarzmieni przez Europejczyków, i znani ze swego okrucieństwa wobec każdego obcego przybysza. Dążąc więc do osiedli hiszpańskich musiałbym jak ognia wystrzegać się po drodze wpadnięcia w ich ręce.

Zaiste, niewesołe krążyły po mej lepetynie myśli, gdym siedział na drzewie, nie przymierzając jak małpa. Wraz z gęstniejącym mrokiem pojawiły się w powietrzu jasnoniebieskie światełka, latające we wszystkich kierunkach niby nieziemskie istoty. Niektóre wpadały między gałęzie mego drzewa. Były to chrząszcze-światliki, mali mieszkańcy lasów podzwrotnikowych. Zawzięte syki i bzyki przeszywały powietrze nieustannym potokiem – to setki świerszczy i piewików witały gorącą noc. Od pobliskiego strumyka szły niesamowite odgłosy żab, krzyczących całkiem inaczej niż u nas w Wirginii. W tym wszystkim buchały we mnie od czasu do czasu przedziwne zapachy, to słodkie od nie znanych mi kwiatów, to odurzające od korzeni i gnijących liści.

Kleiły mi się powieki i zapadałem w senne omroczenie, jednak niewygodna na gałęzi nie dopuszczała do spokojnego snu. Co chwila otwierałem oczy wsłuchując się uważnie w głosy

ciemnej puszczy.

Tej nocy godziny mijaly ślimaczo. Później zniknęły ogniki świetlików i również zmieniły się dźwięki. Świerszcze przycichły, za to zbudziły się, nie wiadomo jak i przez kogo wywoływane, zagadkowe beki i grzegoty, pohuki i skowyty. Miesiąc wypłynął na niebo i w jego poświacie chaszczce pode mną przybrały postać dzikiej, upiornie pogmatwanej krainy.

Nagle włosy stanęły mi dęba, przestałem oddychać. Spostrzegłem na dole jakiś kształt podłużny, przesuwający się w cieniu gęstwiny. Przystawał, jak gdyby patrząc na mnie w górę, następnie znów dalej się czołgał. W oczach moich, zaszłych mgłą z podniecenia, zaczęły dwoić się przedmioty. Uchwyciłem silniej gałąź, by nie spaść. Wydawało się, że słyszę trzask gałęzi i głuchy, stłumiony pomruk. Może to tylko wzburzenie zmysłów platało mi figla i kazało widzieć i słyszeć rzeczy nie istniejące?

Potem tuż pode mną rozległy się podejrzane chroboty, jak gdyby pazury wielkiego drapieźnika orały korę. Rozpaloną imaginacją przedstawiałem sobie bestię wspinającą się przednimi łapami na pień mego drzewa. Ściskając w prawicy rękojeść noża przechylałem się na wszystkie strony, chcąc wysledzić, co tam łazi na dole, ale gałęzie zasłaniały mi widok. Zresztą pod samym drzewem ciemno było jak w miechu. Później nastąpiła cisza, ja zaś, zmorzony snem, przestałem myśleć o niebezpieczeństwach i niedoli. Nawet pocieszałem się, że może to wszystko jednak było złudą rozigranych zmysłów.

Gdy po wschodzie słońca ostrożnie zszedłem z drzewa, ujrzałem na korze pnia świeże ślady zadraśnięć. Więc przecież był to jakiś wielki zwierz! Zrobiło mi się nieswojo na duszy. W lasach wirginijskich przywykłem od młodości do dzikiego zwierzka, wszelako tu, na obcym lądzie, stanąłem w obliczu nie znanej przyrody z jaką bronią w ręku? Istne kpiny: z nożem.

Pędząc w stronę morza czujnie zapuszczałem spojrzenia w gąszcz dokoła. Spokojnie odetchnąłem dopiero, gdy poczułem pod sobą miálki piasek wybrzeża, a słony wietrzyk morski orzeźwiał mi twarz.

6. Byłem na wyspie

Jak poprzedniego dnia na wieczerzę, tak obecnie na śniadanie zbierałem mięczaki. Niestety, z przykrością przekonałem się, że pozostało ich dzisiaj na piasku znacznie mniej i że wiele było już nadpsutych i niejadalnych. Mimo to najadłem się ich do syta, nawet śniadanie wzbogaciłem nową potrawą: w pobliżu pod palmami znalazłem obok zerwanych wichurą gałęzi kilka owoców kokosowych, które spadły na ziemię podczas burzy. Odlupałem nożem ich zieloną skórę, a po rozbiciu orzechów na kamieniach napiłem się smacznego mleka kokosowego i wyjadłem pożywny miąższ.

Przy pełnym żołądku wstąpiły we mnie świeże siły i jakby nowa zaradność. Widziałem, jak szybko mięczaki psuły się leżąc na słońcu bez wody, więc postanowiłem zabezpieczyć sobie pozostały zapas. W piasku wykopałem za pomocą wielkiej muszli dół tak głęboki, że na spodzie jego wystąpiła morska, podziemna woda, i do niej zniosłem przeszło dwieście mięczaków – zapas słuszny na parę dni, gdybym nie miał nic innego do jedzenia. Ażeby sadzawkę uchronić od promieni słońca, przykryłem ją gałęziami palm kokosowych.

Uwagę moją zwróciła na siebie niezbyt wysoka góra, częściowo skalista, częściowo porośła kolczastymi krzewami, wznosząca się o kilkaset kroków od wybrzeża. Może wdrapać się na jej szczyt i zobaczyć, jaki to kraj mnie otacza? A nuż z góry odkryję uratowanych marynarzy, a może znaki istnienia osad ludzkich? Zawszeć to lepiej zawczasu wiedzieć, z jakiej strony może przyjść niebezpieczeństwo albo – pomoc.

Droga na górę była mniej uciążliwa, niż sądziłem, i po półgodzinnej wędrówce stanąłem na wierzchołku. Pelen napięcia rozglądałem się dokoła. Wspaniały, rozległy widok odsłaniał się przede mną.

Wtem wstrząs! Ze wszystkich stron otaczał mnie ocean. Byłem na wyspie. Na zachodzie i północy ziemia niemal zlewała się z morzem i z niebem w mglistej oddali, jednak pomimo odległości kilku mil wszędzie dokoła widać było ciemnoniebieską toń. Zamykała mnie woda, bezwzględna jak kraty więzienne. Znalazłem się w potrzasku. Nie posiadając łodzi, nie posiadając narzędzi do budowy łodzi, nie miałem drogi wyjścia. Bywały w tych okolicach olbrzymie szmaty morza nie odwiedzane przez żadne statki europejskie, więc wyspa – kto wie, czy nie przeklęta dla mnie – mogła mnie więzić przez długie lata.

Po raz pierwszy od czasu rozbicia okrętu pirackiego przypomniał mi się Robinson Kruzoe i uderzyło mnie podobieństwo mych przypadków do jego losu. Byłem również rozbitkiem wyrzuconym, tak samo jak on, na bezludną wyspę.

„Przeżył dwadzieścia osiem lat na bezludnej wyspie” – przyszły mi na pamięć słowa zawarte w tytule jego książki. – Czyżby i mnie groziła podobna niedola?

–Nie! Z pewnością nie! – odpowiedziałem sobie mocnym głosem, nabierając ufności, kiedym baczniej rozejrzał się dokoła.

W przejrzystym powietrzu wzrok sięgał daleko na morze. Wyspa, na której byłem, nie leżała odosobniona wśród bezmiaru wód. Na północnym widnokregu wyraźnie wylaniały się z morza zarysy innej wyspy, znacznie większej niż moja i górzystej w zachodniej części. Z przeciwnej strony, na południu, nie dalej pewnie niż siedem, osiem mil, rozpościerała się szeroka, płaska ziemia. Mogła to być część stałego lądu albo może i jakaś większa wyspa. Bliskość tej ziemi dodawała mi otuchy.

Rozglądając się bliżej, stwierdziłem, że wysokopienny las zielenił się tylko w jednej, niewielkiej kniei w środku wyspy. Wszędzie indziej rosły krzewy mniej lub bardziej zwartym gąszczem, w wielu miejscach przerywanym płowymi lysinami stepu i jałowizn. Wyspa posiadała klimat wyraźnie suchy, co widać było i po braku rzek, i po wielkiej ilości kolczastych krzewów, różnych agaw i kaktusów. Strumyczek, odkryty dnia poprzedniego w pobliżu mego noclegu, wypływał z lasu w środku wyspy i był jedyną słodką wodą, jaką dostrzegłem z góry. Morze przy powikłanych, postrzępionych brzegach miejscami wrzynało się klinem w głąb wyspy, tworząc mile dla oka zatoki, mile zwłaszcza tam, gdzie wystrzeliwały w górę pióropusze palm kokosowych. Gdyby nie smętna świadomość mego położenia, mogłem być rozkoszować się uroczym widokiem. Pomimo że wzrok wyteżalem i wodziłem po wszystkich bliższych zakątkach wyspy, śladów obecności Indian nie zauważyłem. To mnie pocieszało.

Góra, na której stałem, była w pobliżu wschodniego wybrzeża. Z jej wierzchołka dostrzegłem dość wyraźnie w kierunku północnym wydmy, na których poprzedniego dnia odkryłem szczątki łodzi ratunkowej. Nie znalazłem jeszcze okolic po przeciwnej stronie, południowej, więc tam skierowałem wzrok w nadziei ujrzania czegoś, co by świadczyło o obecności towarzyszy niedoli. Wzrok miałem myśliwski, orli, ale mój czas nie zoczył nic godnego uwagi. Przeglądałem odcinek po odcinku przymorskiej kniei, zionącej wszędzie jednostajną pustką.

Nagle coś mi się przywidziało. Wyteżyłem wzrok, aż mię oczy zabolowały. Het, daleko na południu leżało coś na piasku. Ni to kawał pnia, ni część okrętu: jakaś rzecz niewyraźna, nienaturalna, jak gdyby nieprawidłowa w tym krajobrazie. A może to człowiek? Kiedym wzrok jeszcze bardziej wysilił, dostrzegłem w pobliżu osobliwego przedmiotu niezwykle ruch: ciemne, podskakujące punkciki. Po chwili nie ulegało już wątpliwości, że to czarne, wielkie ptaki, zbierające się dokoła żeru. Sępy – strzeliło mi do głowy. A jeśli słusznie odgadł, to czyż sępy nie otaczały jakiegoś zwierza, właśnie konającego – albo człowieka?

Zerwałem się i pobiegłem w dół jak jeleń. Przedarłszy się przez krzewy aż do samego morza, pędziłem wzdłuż brzegu. Wnet poznałem, że to w istocie sępy, a po chwili – że to leżący bez ruchu człowiek, którego żarłoczne ptaki obsiadły kręgiem. Serce waliło mi młotem, jakby chciało pęknąć. Wszakżem kroku nie zwalniał: po odzieży zmiarkowałem, że był to marynarz naszego okrętu.

Leżał na wznak. Nie żył – widziałem to już z daleka. Gdym poznał jego twarz, o mało nie krzyknąłem ze zgrozy. Był to nasz kapitan. Sępy jeszcze go nie ruszyły. Ślepie miał straszne, wybaluszone, jak gdyby nie mogły pomieścić się w jamach ocznych. Lubo malował się w nich cały skurcz przedśmiertnej chwili, przecież jeszcze teraz, mimo że nieżywe, gały spozierały na

mnie z przerażającą mściwością, prawie jak wtedy, gdy okrutnik chciał mnie zabić. Próbowałem zamknąć jego powieki; zbyt sztywne, nie dały się ruszyć.

W lewej ręce trup kurczowo trzymał pistolet, a palce miał tak zesztyniało, że wielkiej musiał dobrać siły, by wyrwać z nich broń.

Radość, jaka w pierwszej chwili przejęła mnie na widok pistoletu, nie trwała długo. Lufa była do połowy zatkana mokrym piaskiem, a proch zepsuty od morskiej wody. Piękna broń, ale obecnie całkiem bez pożytku dla mnie, nie posiadającego ani ziarna zdatnego prochu.

–Masz, Janie, o czym marzyłeś! – zamruczałem do siebie ze zjadliwym przekąsem. – Masz broń, ale bez prochu!

Taki byłem zawiedziony, że chciałem cisnąć pistolet w krzaki, wszakże nie uczyniłem tego i schowałem go, przywykły do szacunku dla wszelakiej, nawet nieprzydatnej broni.

Przyjrzałem się dokładnie zwłokom. Na głowie widniała rana, która z pewnością spowodowała śmierć kapitana. Rana pochodziła od zderzenia z jakimś twardym przedmiotem, czaszka była w tym miejscu pęknięta.

–Do kroćset! – zawołałem rozglądając się dokoła. – O co się tak mocno rozbił?!

W tym miejscu mialki piasek pokrywał brzeg morza, w pobliżu żadnej nie było skały, tylko tu i ówdzie leżały nieduże kamienie.

Czyżby rozbił sobie łeb o jeden z onych kamieni?! – ogarnęły mnie wątpliwości.

Dokoła zwłok spostrzegłem wielką ilość niewyraźnych śladów, jak gdyby ludzkich stóp. W każdym razie tak mi się wydawało, że to ludzkie ślady, ale pewności nie miał, bo na sypkim piasku były zamazane. Widocznie kapitan przed śmiercią kręcił się tam i sam, zanim legł nieżywy.

Dziwne to wszystko! – popadłem w zamyślenie. – Zagadkowa rana na głowie, nie wiadomo jak odniesiona, i ten pistolet ściskany w lewej łapie!... Dziwne. to!

Podczas gdy oglądałem zwłoki, sępy, które odfrunęły ode mnie zaledwie o kilkanaście kroków, czekały tam cierpliwie, by po moim odejściu zabrać się do trupa. Rzecz prosta, nie miałem do kapitana zbyt wielkiego nabożeństwa, ale nie wydało mi się godziwe, by obrzydliwe drapieżniki miały tuczyć się ludzkim mięsem. Zwłoki zaciągnąłem na skraj zarośli i rękoma zakopałem je w piasku.

Wpadło mi na myśl, żeby zdjąć z trupa ubranie, które na pewno przydałoby mi się na tym odludziu. Aliści nie mogłem przewyciężyć wstrętu. Zakopałem zwłoki razem z odzieżą.

Z pistoletem powróciłem do mego drzewa. Najadłem się znowu mięczaków, napiłem się wody z

rzeczki, a z rozbitej szalupy przyniosłem sobie deskę. Gdy wieczorne słońce dotykało morza, wlałem na drzewo. Do spoczynku użyłem deski położonej na dwóch poziomych gałęziach.

Zaledwie ciemności zapadły, miesiąc pojawił się na niebie, a puszcza, jak co noc, rozbrzmiewała tysiącem nieodgadnionych dźwięków.

Sen miałem na ogół spokojny, czy to na skutek większej wygody na desce, czy też po prostu dzięki przywykaniu do niewygód. Raz tylko zbudziła mnie koszmarna myśl o kapitanie. Cały w potach zerwałem się ze snu i dopiero po wytrzeźwieniu przyszedł ze sobą do ładu. Przetarłem oczy. Wtedy rozwiały się dręczące majaki.

Tej nocy nie zbudziły mnie żadne podejrzanе chroboty pod drzewem, a gdym rano oglądał pień i sąsiednie krzewy, nie znalazłem świeżego śladu odwiedzin drapieżnych zwierząt.

Śniadanie zjadłem takie samo jak wczoraj i okazało się, że wyczerpałem dotychczasowe zapasy żywności. Wyjadłem ostatnie żywe małżowiny z sadzawki – część ich zdechła i psuła się – i rozłupałem ostatnie dwa orzechy kokosowe leżące na ziemi. Wysoko na palmach wisiało wiele owoców, ale nie miał na razie sposobu, by dostać się do nich po gładkim pniu.

Krótko po rozwidnieniu się, korzystając z porannego chłodu, wyruszyłem na nową wycieczkę rozpoznawczą na południe. Uzbrojony w nóż oraz tęgą pałę, uciętą z gałęzi twardego drzewa, kroczyłem wzdłuż brzegu morza.

Ze zdobywaniem nowej żywności było teraz krucho. Mięczaków ani innych stworów morskich nie znalazłem na piasku. Widocznie wszystko, co burza wyrzuciła na ląd, zniknęło w żołądkach ptaków i zwierząt leśnych. Utrata tego źródła utrzymania sprawiła mnie w niezbyt wesoly nastrój.

Przechodząc obok miejsca, gdzie pochował zwłoki kapitana, przypomniałem sobie znowu z całą jaskrawością niezwykłą ranę na jego głowie.

Do diaska, co za tajemnicza sprawa! – pokiwałem głową w zamyśleniu.

Dokładnie przejrzałem jeszcze raz otoczenie.

Nikle ślady, zauważone poprzedniego dnia, przepadły, zatarte zupełnie w ruchomym piasku. Nic nie znalazłem, co by mogło uchylić rąbka tajemnicy i rzucić światło na zagadkową śmierć kapitana. Wzruszywszy bezradnie ramionami, poszedłem dalej.

Zawiodłem się licząc na to, że odkryję w tych stronach jeszcze jakie ślady po innych marynarzach. Wszyscy widocznie zginęli w morzu, a kapryśne fale tu ich nie wyniosły.

Po godzinnym mniej więcej marszu znowu liczne sępy pojawiły się daleko przede mną. Zataczając w powietrzu kręgi niektóre z nich siadały na piasku przymorskim, inne wzbijały się w górę. Po przybliżeniu się zobaczyłem, że to ścierwo wielkiego żółwia morskiego przywabiło

ptaki. Wyżerały spod jego skorupy resztki mięsa.

Sępy, swoim zwyczajem, nie okazywały zbytnej obawy przede mną. Oblegając żółwia zbitą masą, pozwoliły mi podejść do siebie na kilka kroków. Wtedy dopiero ociężałe zabierały się do odlotu.

Z całych sił rzuciłem moją palkę w ich środek i trafilem. Oszolomione ptaszysko nie mogło zerwać się jak inne. Szybko do niego doskakując pochwyciłem je za skrzydło i ukręciłem mu kark. Reszta stada z łopotem odleciała.

Zdobyty ptak, wielki jak nasza gęś, na nic się nie przydał. Cały wstrętnie cuchnął ściervem jak czarcie nasienie nie można było przelknąć jego mięsa.

Zbadałem resztki żółwia. Tęgie stworzenie miało grubą, owalną skorupę, długą na trzy stopy i nieco węższą. Sępy, jak o tym wiedziałem, nigdy nie napadały na żywe zwierzęta. Więc zachodziło pytanie, jak żółw zginął i kto zadał mu śmierć?

Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, ażeby dojść do sedna. Na piasku, w tym miejscu ubitym i twardym, widniały okrągławe wklęsłości, ślady kocich łap potężnego drapieżnika. On to uśmiercił żółwia i zapewne z boku, między górną a dolną płytą pancerza, pazurami wyrwał mu kawały mięsa, resztę pozostawiając sępom. Czyżby to była sprawka pumy, a może groźnego jaguara? Czyżby tego samego zwierza, który pierwszej nocy niepokoił mój sen na drzewie?

Siady nie wydawały się świeże. Były wczorajsze. Patrząc z ubolewaniem na swą niedostateczną broń, nóż i drewnianą palkę, pocieszałem się nadzieją, że drapieżnik mógł znajdować się w tej chwili wiele, wiele mil ode mnie, może nawet na przeciwnym skraju wyspy.

W pobliżu resztek żółwia rosło kilka palm kokosowych. Z radością powitałem błogosławione drzewa. Znalazłem pod nimi trzy owoce. Ponieważ nie było tu kamienia, którym by można rozłupać orzechy, związałem je ze sobą włóknem, jakim obrastały, i zdobycz przewiesiwszy przez ramię udałem się w drogę powrotną.

Tym razem kroczyłem zaroślami, równoległe do wybrzeża morskiego. Szum oceanu dochodził do mnie tylko cichym szmerem. Wszędzie rosły tu kaktusy. Miejscami trudno było przedzierać się przez kolczastą roślinność, w której nie brakowało wszelkich pnączy utrudniających pochód.

Podziwiałem obfitość świata skrzydlatego. Poza papugami uwijało się wśród zarośli mnóstwo innych ptaków, a między nimi tak niezwykle, że widząc je po raz pierwszy, nie mogłem się dość nadziwić. Trochę większe niż nasze gołębice, miały uderzająco olbrzymie dzioby, wielkie jak trzy czwarte ich własnego ciała. Gdy fruwały z miejsca na miejsce, można było mniemać, że to dzioby latały, a dopiero za nimi doczepione ptasie ciała. Widok tych dziwadeł, nie znanych w naszych ojczystych stronach, jeszcze raz uzmysłowił mi obcość tutejszego świata.

Przy tym wszystkim nie traciłem poczucia rzeczywistości.

Ho, ho – pomyślałem sobie – ileż tu pokarmu lata w powietrzu! O gdybym miał należytą strzelbę! Niejedną zdobyłbym sobie smaczną przekąskę...

W pewnej chwili wypłoszyłem z gąszczu wielkiego, czarnego ptaka z rodziny kurowatych, który nie wzbijając się w powietrze uciekał na żwawych nogach po ziemi. Rzuciłem za nim pałką, ale chybił. Tak, bez strzelby byłem tu bezsilny jak dziecko – pomimo bogactwa przyrody.

Przebijając się dalej przez gęstwiny, doszedłem do stóp góry, z której szczytu oglądałem poprzedniego dnia wyspę. Rozciągała się tu niewielka piaszczysta polana, usiana tylko gdzieś tam drobnymi kępami trawy. Podczas przedzierania się przez ostatnie krzaki dostrzegłem na polanie jakiś ruch i popłoch. Kilka wielkich jaszczurek. Widocznie wygrzewały się dotychczas na słońcu, a teraz wystraszone moim przybyciem pierzchały na wszystkie strony. Jedna z nich, okaz dość pokaźny, dłuższy chyba niż moje ramię, przystanęła w odległości dwudziestu kroków i nieruchoma, małymi oczkami śledziła nieznanego wroga. Powoli wzniosłem mój kij i cisnąłem go w gada. Pałka świsnęła w powietrzu jak strzała, ale jaszczurka była jeszcze szybsza. Zanim ciężki pocisk doleciał, już jej nie było. Smyrgnęła do nory.

Żyła tu cała kolonia tych gadów. Tu i ówdzie ciemniały w ziemi ich dziury, bardzo podobne do jam króliczych, jeno nieco mniejsze. Przypomnieli mi się Indianie Ameryki Północnej, dla których jaszczurki były smakołykiem. Gdyby pójść ich śladem i spróbować mięsa jaszczurczego? Stojąc na polanie, zachodziłem w głowę,

jak by tu zdobyć ponętą zwierzynę. Gdyby ją wykopać? Ale czym? Może jamy były bardzo głębokie?

Wtedy pamięcią sięgnąłem jeszcze dalej wstecz, do lat chłopięcych, kiedy to w mej dolinie rodzinnej w Wirginii urządziłem z rówieśnikami polowania na drobną zwierzynę. Ze sznurka sporządzaliśmy sobie przemyślnie wnyki i zakładali je na zwierzęcych przesmykach lub przed norami.

–O dawne, piękne czasy! – zawołałem pełen żalości, gdy przed oczami stanęły mi bliskie sercu obrazy z dalekiej przeszłości. Wspomnienia te jeszcze boleśniej uwydatniły nędzę obecnego położenia i mej samotności.

Uciąłem długie kawały pnączy, których lodygi były giętkie jak szpagaty, zmajstrowałem z nich dawnym sposobem kilka pętli i przymocowałem je przed norami jaszczurek. Podczas tych przygotowań spadł rzęsisty deszcz, ale po chwili słońce znowu rozjaśniło świat. W pobliżu czatowałem godzinę; niestety, ani jedna jaszczurka nie wytknęła nosa. Słońce na dobre przechylało się ku zachodowi, więc straciwszy na dzisiaj nadzieję upolowania czegoś, postanowiłem wrócić tu następnego dnia.

Ociężałym krokiem powlokłem się do mego drzewa. Nie czułem się dobrze. Nachodziły mnie

zawroty głowy. Dolegał mi coraz silniejszy ból w skroniach i miałem dreszcze. Przerażająco szybko, z minuty na minutę, opadałem z sił. Do wszystkich doświadczeń ostatnich dni dołączała się jakaś choroba.

Ledwom wlaź na drzewo i przymocował się lianami. Przyniesionych orzechów nie tknąłem. Zbierało mi się na wymioty.

7. Prawo życia

Była to przykra noc. Mało co spałem. Nękały mnie okropne sny i majaczenia. Wydawało mi się, że lecę w przepaść, i na pewno zleciałbym z drzewa, gdyby nie powstrzymujące liany. W malignie widziałem siebie w postaci żółwia, na którego z przeraźliwym rykiem rzuciła się dzika bestia i szarpała go – czy mnie -na kawały. Gdy poranek zaświtał, byłem tak osłabiony, że nie chciało mi się zejść na ziemię.

W ciągu nocy padało. Byłem stale przemoczony i to pogarszało jeszcze mój żaloszny stan. Pomimo gorączki drżałem od chłodu. Wschód słońca przyniósł mi nadzieję ulgi, a gdy z godziny na godzinę narastało ciepło tropikalnego dnia, przynajmniej obeschły mi rzeczy i czułem się nieco lepiej.

Od wczorajszego rana nic nie miałem w ustach. Około południa zlałem z drzewa i z trzema kokosami poczłapałem nad morze, by znaleźć tam kamienie do rozbicia orzechów.

Jakże opadłem przez noc z sił! Ani rusz nie mogłem rozłupać skorupy kokosu. Była zbyt twarda na moje wiotkie uderzenia. Na szczęście ostrzem noża udało mi się wywiercić małą dziurkę i przez nią wypilem trochę mleka kokosowego. Wciąż wściekle głodny, powlokłem się na jaszczurczą polanę. Ku mej radości w jednym wnyku znalazłem zaplątanego gada. Już nie żył, uduszony pętlcią.

Nowy kłopot! Jak spożyć jaszczurkę? Indianie piekli gady na rożnie. Ja, niestety, nie miałem ani ognia, ani żadnego sposobu, by rozniecić ognisko. Przyszło mi zjeść zdobycz na surowo. Wykrajalem z jaszczurki wszystkie mięsne części i na gładkim kamieniu pociąłem je na miazgę. Tak przygotowaną potrawę połykałem ostrożnie i prawdę mówiąc – białe mięso smakowało nie najgorzej.

Podczas tej biesiady nachodziły mnie czarne myśli.

–O Janku! – mówiłem do siebie z goryczą. – Jakże nisko upadłeś! Dzicy Indianie pożerając jaszczurki przecie prażyli je na ogniu. Ciebie nawet na to nie stać! Żyjesz gorzej niż dzicy, pozostał ci żywot dzikich zwierząt.

Jasne uświadomienie sobie choćby najgorszych rzeczy miało u mnie zawsze kojące właściwości. Stwarzało opór przeciw zlej doli, budziło ukryte moce i pragnienie dźwignięcia się z upadku. Tak było i teraz. Nie chciałem poddać się smutnemu losowi jak bezbronne jagnię, wstąpiła we mnie chęć walki. Widocznie jaszczurcze mięso w moim żołądku dobrze podziałało. Tego dnia słońce tego przypiekało i było piekielnie gorąco, więc w swej niemocy wodziłem wzrokiem po okolicy, gdzie by położyć się w cieniu.

Niedaleko polany jaszczurczej, jak już wspomniałem, wznosiła się góra. Postanowiłem u jej stóp przespać kilka godzin. Sto kroków przebijania się przez gęstwinę zawiodło mnie do podnóża górskiego. Szukając tu cienia odkryłem w skale wgłębienie, rodzaj pieczary, której

widok niemało mnie poruszył. Toż było to doskonałe mieszkanie! Niezbyt głębokie, bo sięgające jakie pięć kroków w głąb, przecież stanowiło ochronę od sloty. A niebezpieczeństwo ze strony dzikich zwierząt? Miałem i na to sposób. Otwór jaskini nie był wysoki ani szeroki; chcąc wejść, do środka musiałem się schylać. Więc wypadło tylko zatarasować to wejście kilku deskami z rozbitej szalupy, a leżąc w jaskini, można było czuć się jako tako bezpiecznym od napaści.

Najchętniej przystąpiłbym natychmiast do znoszenia desek, aliści zdjęła mnie taka słabość, że leżąc na ziemi i od razu zapadł w głęboki sen. Po paru godzinach zbudziłem się pokrzepiony. Od wybrzeża, gdzie leżały deski, do jaskini było około tysiąca kroków. Trzy razy chodziłem tam i nazad, ciągnąc za sobą ciężary. Byłem zbyt słaby, żeby je nosić. Słońce zbliżało się do zachodu, gdy wszystko miałem gotowe; deski, powiązane lianami, tak mocno zamykały otwór, że i diabeł nie wlaźby do jaskini.

Po południu nic nie złowiło się we wnyki. Tego wieczoru zjadłem ostatni orzech kokosowy. W jaskini usłałem sobie legowisko z gałęzi i wcześniej położyłem się na spoczynek. Całkowicie pozbawiony sił, odrętwiałem do tego stopnia, że nie czułem już nawet głodu. Tylko kręciło mi się znowu w głowie i powracały wczorajsze okrutne dreszcze. Ale leżąc zamknięty w pieczarze, oddzielony silną zagrodą od nocnych głosów i tego, co działo się na dworze, przynajmniej nie potrzebowałem się trwożyć.

Jak długo spałem, nie wiem. Nagle zerwałem się ze snu jak gdyby w przeczuciu bliskiego niebezpieczeństwa. Serce, pełne dziwnego niepokoju, łomotało jak przerażony ptak w klatce. Co się stało? Co mnie tak przestraszyło? Czy jakiś odgłos, przejmujący lękiem nawet we śnie?

W ciemności jaskini namacałem nóż i ująłem go mocno za rękojeść. Natężyłem słuch, ale nic podejrzanego nie wyłowilem wśród zwykłych conocnych dźwięków puszczy. Przez szpary między deskami widziałem część zarośli i zauważyłem po silnym blasku na kaktusach, że miesiąc wybił się na niebo.

Nagle – co to? Cichy szelest szybkich stąpań w pobliskiej trawie, jakieś zamigotanie przed jaskinią. Skok. Potężne ciało rzuciło się z łoskotem na moją zaporę. Ostry, straszliwy zgrzyt pazurów o drzewo desek. Dwie deski, szarpnięte z brutalną siłą, wypadły przed jaskinię, z hukiem uderzając o ziemię. Przed nimi uskoczył wielki zwierz, spłoszony. Uskoczył o trzy, cztery kroki i przystanął. Olbrzymi, smukły zwierz. Cętkowany. Jaguar! Serce mi zamarło. Drapieżnik przycaił się, splaszczony łeb przyłożył do ziemi. Świdrował mnie zielonkawymi ślepiami i szczyrzył pysk lyskając białym kłębem.

Obezwładniony przerażeniem, patrzyłem mu w ślepią jak urzeczony. Czekalem, kiedy rzuci się na mnie. Ścisnąłem nóż. Jeden skok starczyłby, by mnie dosięgnąć; jedno uderzenie okropnej łapy – by mnie rozplatać. Zaczął warczeć wściekłym, przyduszonym głosem. Pomimo oszołomienia widziałem – bezmyślna spostrzegawczość napiętych nerwów! – widziałem, jak jaguar bił ogonem o krzaki.

Kiedy skoczy?!

Sekundy przeciągały się w nieskończoność. Niechybna śmierć, zawisła nade mną, wciąż jeszcze nie spadała. Byłem bliski omdlenia: kiedy jaguar skoczy?!

Wtem jakiś ruch u niego. Nie w moim kierunku. Przeciwnie. Zwierz, nie odwracając ode mnie palającego wzroku, nieznacznie wycofywał się tyłem. Powoli ginęło jego potężne cielsko za krzewem, w końcu znikło zupełnie. Gdzie przed chwilą czaiła się bestia, tam teraz pustka. Słysząc było trzask gałęzi i oddalający się szelest. Potem cisza.

Opadłem wyczerpany na legowisko. Sporo czasu nie ruszałem się z miejsca. Powoli przychodziłem do siebie. Może drapieżnik wróci? Wytrzeszczyłem oczy w stronę zarośli. Nie wracał. Widocznie władca puszczy chciał tylko pokazać swą moc dwunożnej istocie, która ośmieliła się wtargnąć do jego państwa. Ostrzegł ją i przepadł w kniei.

Nie wychodziłem na dwór, obawiałem się zasadzki. Gdy krew, krążąca znów normalnie w żyłach, przywróciła mi cokolwiek sił, cichuteńko podniosłem wyrwane deski i zatkałem nimi, jak poprzednio, otwór pieczary. Wiedziałem już teraz, że to niedostateczna ochrona, ale lepsza była taka niż żadna.

Nic nie przerywało spokoju reszty nocy.

W ostatnich godzinach przed świtem nieźle spałem i rano zbudziłem się raczej pokrzepiony, w każdym razie bez bólu głowy i bez dreszczy, za to okrutnie głodny.

Pierwszą zaraz myślą wróciłem do nocnej przygody.

–Jaguar! Jaguar! – powtarzałem z nienawiścią i zarazem z lękiem.

Właśnie dlatego, że byłem doświadczonego myśliwym, zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mi groziło. Niechby tylko dzikiej bestii, wielokrotnie silniejszej niż człowiek, przyszła oskoma na ludzkie mięso, jakież byłyby moje widoki, kiedym za broń posiadał jedynie nóż i drewnianą pałkę?

Zadawałem sobie jednocześnie pytanie, jak się jaguar dostał na tę wyspę i z czego tu żył tak żarłoczny drapieżnik. Jaguar uchodzi powszechnie za znakomitego pływaka, więc może przepłynął cieśninę dzielącą wyspę od ziemi na południu? A jeśli stamtąd przybył, to czy nie należało przypuszczać, że ową ziemią jest stały ląd południowoamerykański?

Od samego rana dwie palące sprawy zaprzętały mi głowę: jak obronić się od jaguara i jak zdobyć pokarm. Jaguar za jasnego dnia rzadko kiedy napada, więc do wieczora miałem wiele godzin czasu. Cokolwiek by zaszło, postanowiłem nie porzucać jaskini i nie wracać na męczącą gałąź na drzewie.

Głód. Dokuczał mi głód doszczętnie wycieńczający me siły. We wnyki znowu nic nie wpadło. Dzień był mglisty i parny i jaszczurki nie opuszczały nor.

Okolo południa miałem jeszcze tyle sił, by z gałęzi i z łyka giętkiej liany zrobić sobie łuk, a z twardej trzciny nad rzeczką naciąć kilkanaście strzał. Chłopcem będąc, niejeden sporządzałem sobie łuk do zabawy, widziałem również łuki Indian, więc rzecz nie była mi obca. Łuk niewielki, jaki teraz zmajstrowałem, sięgał mi jeno do pachy, ale strzały wyrzucał znakomicie, na pięćdziesiąt z górą kroków. Ptaki stadami trzymały się w zaroślach i nie były wcale płochliwe, za to strzelec – od siedmiu boleści. Tyle razy się nastrzelałem i nic nie trafiłem.

W końcu zmęczony ległem w mej jaskini, ale tylko na krótko, bo myśl o nocy nie dawała mi spokoju. W głębi groty nagromadziło się usypisko z większych i mniejszych odłamków skalnych. Łomy te postanowiłem przenieść lub przetoczyć do wejścia tak, by tworzyły tam rodzaj barykady. Wiedząc, ile zależało od tej pracy, niezwłocznie zabrałem się do dzieła. Mniejsze kamienie dały się łatwo przenieść, natomiast większe wymagały wysiłku ponad moje siły – a właśnie tylko one mogły stawić należyty opór napastnikom. Ile się przy tym namozoliłem i napociłem! Jedynie dzięki podważaniu ciężkich kamieni deskami, jakie miałem pod ręką, potrafiłem coś ruszyć z miejsca. Co chwila traciłem dech i wciąż od nowa musiałem zbierać mdlejące siły. Gdy ostatecznie dzieła dokonałem, byłem na pół żywy.

Potem leżałem chyba z godzinę. Ku końcowi miał się dzień, w którym przy wyteżonej pracy żadnego nie połknąłem kęska strawy. Słońce wyszło z za chmur i z boku padając na drzewa rzucało wydłużone cienie. Ptactwo, jak zwykle w podwieczornych godzinach, ożywiło się i wyprawiało rejwach.

Wtem rozległ się tuż nad wejściem do jaskini przenikliwy głos:

–Piaąąąg!

I zaraz zawtórowały mu w najbliższym sąsiedztwie inne okrzyki:

–Piaąąąg! Piaąąąg! Piaąąąg!...

Równocześnie doszedł mych uszu trzepot skrzydeł.

Podniosłem się na łokciach i nasłuchiwałem. Gdym stwierdził

po odgłosach, że ptaki pozostawały w pobliżu, sięgnąłem po łuk i strzały i wygramoliłem się z jaskini.

Ptaków było kilkanaście. Wielkości naszych wron, mogłyby uchodzić za jakiś karłowaty gatunek kruków, były bowiem całe czarne, ich dzioby zaś, tak samo czarne, miały górną część wysoko sklepioną niby garb. Skoro „kruki” mnie zauważyły, głośniejszym „piaąąąg” dawały wyraz swemu zdumieniu czy niechęci, nie myśląc wcale uciekać. Niektóre bezczelniejsze, nawet podlatywały w moim kierunku i zapalczywie krzyczały.

Najbliższy ptak nie był chyba dalej niż o dziesięć kroków ode mnie. Szeroko rozkraczył nogi na gałęzi krzewu i wrzeszczał na mnie swym zajadłym „piaąąąg”. Wymierzyłem w niego i

wypuściłem strzałę. Cel był łatwy, jednak strzała poszła w bok. Ptak zauważył, że coś mignęło w jego pobliżu, ale nie znalazł na tej wyspie człowieka i dalej wydzierał się.

Druga strzała przeleciała już znacznie bliżej celu, trzecia niestety mocno zgórowała, za to czwarta – hej, zagrajcie trąby triumfu! – czwartą trafiła. Przebiła skrzydło i utknąwszy w upierzeniu zwała ptaka na ziemię. Jednym doskoczyłem susem, przydepnąłem ptakowi łeb – miałem go! Reszta stada podniosła przeraźliwy hałas i zataczając nade mną kręgi chciała zemścić się na zabójcy. Do bliskich celów posyłałem strzałę po strzale, ale w podnieceniu chybiałem szkaradnie. Potem strzał mi zabrakło, ptaki zaś nareszcie zrozumiały niebezpieczeństwo i odfrunęły.

Zanim zdobyty ptak ostygł, rozdarłem go i całego zjadłem zostawiając tylko pióra, kości i wnętrzności.

Noc przeszła bez wypadku, jedynie dolegały mi kurcze żołądka. Nazajutrz wstałem osłabiony i na całym ciele obolały od wczorajszej pracy. Przy nadszarpniętym zdrowiu obecne głodowanie zupełnie mnie dobijało. Zrozumiałem, że jeśli szybko nie nastąpi radykalna zmiana, niedługo pociągnę i przyjdzie mi pożegnać się z tym światem. Ów świat ostatnimi czasy niewiele miał dla mnie uroku, ale też i nie chciało mi się tak mizernie ustępować z widowni.

Przede wszystkim należało zdobyć więcej pożywienia. Nie dreptać w kółko na jednym miejscu jak dotychczas, jeno pójść dalej na poszukiwanie żeru. Myśl ta rozgrzała mnie do tego stopnia, że rano zaraz po napiciu się wody z pobliskiej rzeczulki wyruszyłem w drogę nie bacząc na pusty żołądek.

Tym razem skierowałem się na północ, tam gdzie na wybrzeżu leżały przedtem szczątki łodzi ratunkowej. Kroczyłem jak zwykle wzdłuż morza i nie zawiodłem się. Znalazłem nowy przedmiot, wyrzucony przez fale po rozbiciu się naszego okrętu: drewnianą skrzynię, jakiej marynarze używają do przechowywania swych rzeczy. Była zamknięta i nie uszkodzona.

Chciałem jej wieko podnieść, ale nie dało się. Gdy skrzynią potrząsałem, nietrudno było zmiarkować, że w środku przewracają się jakoweś manatki. Może między nimi było krzesiwo i hubka, tak bardzo mi potrzebne do rozniecienia ognia? Niestety, na razie nie mogłem o tym przekonać się, gdyż szkoda mi było czasu na rozbijanie wieka. Więc skrzynię odciągnąłem od morza na bezpieczniejsze miejsce, by wieczorem do niej wrócić – i poszedłem dalej.

W tej stronie roślinność poza pasem wydm była przejrzysta, bardziej jałowa niż knieje w pobliżu mego wzgórza. Od czasu do czasu zbaczałem z drogi, zapuszczając się na kilkaset kroków w zarośla, a czyniłem to nie tylko dla upolowania czegoś z łuku. Z książki o Robinsonie pamiętałem jak żywo ustępy, w których rozbitek opowiadał o swych wycieczkach w głąb wyspy. Odkrywał tam pożyteczne dla siebie rośliny i owoce. A nuż znajdę tu jakieś dzikie pole kukurydzy czy ryżu? Lecz daremnie wypatrywałem. Cała roślinność była obca, a jej wygląd miał dla mnie wyraz wrogi. Wiedziałem, że pełno w tej puszczy trujących roślin o zabójczych owocach.

Do ptaków często strzelałem z łuku. Lubom ciągle chybiał, wysilek ten nie szedł na marne. Nabierałem wprawy. I nie wiem, czy to tylko przywidzenie, ale po kilkudziesięciu razach strzały jak gdyby szły pewniej, bliżej celu.

Skradając się do ptaków i śledząc ich wędrówki wpadłem na szczęśliwy pomysł, tak doniosły, że w tych pierwszych dniach pobytu na wyspie wydał mi się rozstrzygający dla mego istnienia. Co mi pomogło, że dobrze znałem lasy wirginijskie, kiedy tutejszy gąszcz – powtarzam – przedstawiał dla mnie nieodgadnioną i złowróżbną tajemnicę? Jakże więc miałem poznać bez narażenia się na otrucie, które owoce były jadalne, a które nie? Nagle odpowiedź przyszła jak błysk.

–Ptaki! – uradowany zawołałem do siebie. – Ptaki mi wskażą! Ptaki na pewno nie dotkną trujących roślin. Więc co jedzą ptaki, spokojnie jeść mogę i ja.

Przyglądałem się teraz baczniej baraszkom skrzydlatych istot. Niedługo trwało, by przekonać się, na jakich roślinach chętnie i często siadają nie gardząc ich owocami. Szczególną uwagę zwróciłem na niewysokie, karłowate drzewa o czerwonych jagodach, podobnych do jagód jarzębiny. Stanowiły dla małych smakoszy nie lada frykas, bo przyciągały do siebie różne gatunki ptaków, a gdy między nimi zauważyłem także papugi, i ja zdobyłem się na odwagę.

Owoce smakowały nieźle, słodkawo. Z wilczym dorwałem się do nich apetytem, ale dla pewności zjadłem niewiele, jakie dwie garście. Przynależem sobie narwać ich więcej w drodze powrotnej, a tymczasem wyśmienicie posilony, z lepszym humorem wędrowałem dalej. Tak to podpatrzone ptaki stały się moimi pierwszymi nauczycielami na wyspie.

Wśród rzadniejących zarośli pojawiły się piaszczyste łysizny. Często trzeba było omijać agawy o potężnych, mięsistych liściach uzbrojonych w szpikulce. Na niektórych kaktusach widniały piękne różowe kwiaty, a co ważniejsze, gdzieś zielone owoce podobne do małych jablek. Miąższ ich miał przyjemny smak, więc narwałem tyle kaktusowych owoców, ile zmieściło się w moich kieszeniach.

Odkryłem tu nowy strumyczek, wpływający szerokim acz płytkim ujściem do morza. Nad jego wilgotnym brzegiem rozsiadł się gęstszy nieco las, bogaty w liście, liany i narośla.

Już z daleka słyszałem w nim szczególnie krzyk ptasi. Pochodził od papug, których w tym gąszczu było bardzo wiele. Gdy znalazłem się w cieniu pierwszych drzew na skraju gęstwiny, otoczył mnie papuzi wrzask i równocześnie, zadzierając głowę, dostrzegłem wśród gałęzi mnóstwo gniazd. Skoro ptaki mnie zauważyły, natychmiast umilkły, ale było już za późno. Odkryłem lęgowisko papug.

Wiele papug było już prawie wyrosniętych, lubo jeszcze nie bardzo lotnych. Młokosy te siedziały na gałęziach obok gniazd. Podczołgawszy się na dogodne stanowisko zacząłem do nich sypać z łuku. Za którąś tam strzałą zwałem pierwszą papugę na ziemię, potem drugą. Tymczasem w wierzchołkach drzew rozpanoszył się znowu zwykły harmider i zamęt i żadnej

nie zwracano na mnie uwagi. Mógłbym jeszcze niejednego ustrzelić ptaka, gdyby nie pękła cięciwa łuku.

Wtedy drgnąłem na trzask gałęzi w pobliżu. Ujrzałem o kilkanaście kroków na ziemi rudawę zwierzę wielkości naszego lisa. Miało wydłużony pysk i włochaty ogon. Zwierz z nie ukrywaną pożądlivością spoglądał do góry na papugi. Potem skoczył na pień drzewa i pomagając sobie ostrymi pazurami zaczął zwinnie po nim się wspinać.

Nie mając nic innego pod ręką rzuciłem w niego łukiem. Pocisk prasnął o pień, a przerażony zwierz z cichym kwikiem zeskoczył na ziemię i dał nura w zarośla.

Mam rywala! – pomyślałem rozbawiony.

Dłuższy czas przyglądałem się papugom z prawdziwym zadowoleniem. Było gniazd chyba kilkadziesiąt, więc stanowiły na tygodnie niewyczerpaną spiżarnię. Skończyło się moje głodowanie.

Nie zginę z głodu! Nie zginę! – wzbierało we mnie uniesienie i zapewne po raz pierwszy na tej wyspie pogodnie uśmiechnąłem się do siebie samego.

Jakże zmieniłem się przez te kilka ostatnich dni! Jakże zdziaczałem na tym wąskim pograniczu życia i śmierci! Cierpkie uczucia surowej wdzięczności mieszały się we mnie z drapieżnością pierwotnego człowieka, gdy śledząc ptasią gromadę myślałem nad sposobami, jak by w następnych dniach najwięcej zdobyć tu mięsa.

Do mej jaskini miałem około dwóch godzin drogi. Nie chcąc niepokoić papug, wcześniej zabrałem się do powrotnej drogi. Ponieważ czerwone owoce nie zaszkodziły mi, narwałem ich jeszcze kilka pęków na zapas. Tak obładowany doszedłem do drewnianej skrzyni. Obwiązałem ją lianami i ciągnąłem za sobą po piasku.

Zbliżając się do jaskini chwalilem sobie wydajny dzień, obfity w dobre przeżycia. Tylko ciężko mi było wlec za sobą skrzynię przy gasnących siłach, lubo serce zagrzewała otucha.

8. Jezioro Obfitości

Skrzynia zawiodła. Nie znalazłem w niej krzesiwa ani innej ważnej rzeczy. Było trochę starej odzieży, koszula, kaftan, nieco angielskich pieniędzy, kawał sznura okrętowego i niewielki worek zawierający ziarna. Pomieszane ziarna kukurydzy z jęczmieniem. Ponieważ szczelna skrzynia nie dopuściła do swego środka morskiej wody, przedmioty te były suche i nie zniszczone. Mógłbym ziarna zjeść, ale nie chciało mi się, bo miałem pod dostatkiem świeżych owoców.

Jeden z marynarzy na „Dobrej Nadziei” hodował sobie gołębie i do niego widocznie należała skrzynia z ziarnem. Później przypomniałem sobie, jak ważną rolę w życiu Robinsona Kruzo odegrał jęczmień, który rozbitek siał z takim powodzeniem na swej wyspie. Dzięki niemu miał chleb i przez długie lata mógł utrzymać się na bezludziu. W moim położeniu nie zachodziła konieczność uprawy ziemi i siania zboża: przekonany byłem, że na wyspie nie pobędę tak długo jak Robinson, żyjący w tych okolicach przeszło pół wieku temu. Od tego czasu wiele zmieniło się na wodach Morza Karaibskiego, nastąpiło tu więcej ludzi, a poza tym łatwiej było przedostać się z mej wyspy na pobliski ląd.

Już o świcie następnego dnia pędziłem do papuziego gaju, ażeby znowu coś upolować, a przede wszystkim nałapać jak najwięcej żywych ptaków do chowu na zapas. Z naprawionego łuku zestrzeliłem dwie papugi, potem wlałem chyłkiem na drzewo i długim drągiem usiłowałem strącić najbliższe młódki. Gdy to nie skutkowało, bo papugi mocno trzymały się gałęzi, przywiązałem do końca żerdzi pętlę z giętkiej liany i teraz więcej miałem powodzenia. Zaciągając pętlę na ciałach nielotnych, acz ruchliwych papug ściągałem je przemocą na ziemię. Po półgodzinnym łowieniu miałem ich dziesięć. Niepodobna było łapać więcej; nie dałbym sobie rady z trzymaniem ich w kupie. Przywiązałem je za nóżki do mego drąga. Strasznie wrzeszczały, a w całym lasu wtórowały im krzyki z kilkuset gardzieli. Gdy wreszcie ujarzmiłem i powiązałem cały dziesiątek, czym prędzej pobiegłem do jaskini.

Po drodze miałem wiele kłopotu. Więzy z lian były silne, ale papugi rozgryzały je łatwo ostrymi dziobami i by nie stracić zdobyczy, musiałem bezustannie powstrzymywać ich gorliwość niszczenia. Papugi, całe zielone, z żółtymi i czerwonymi plamami na głowie, były nieomal wyrośnięte i większe niż u nas gołębie.

Po powrocie do jaskini nie wiedziałem, jak je utrzymać. Czymkolwiek je wiązałem, wszystko natychmiast przegryzały. Wreszcie nie było innej rady, jak zamknąć je w jaskini, a tymczasem naprędce zbudować klatkę z grubych gałęzi. Praca ta – ścinanie odpowiednich gałęzi i wiązanie ich pnączami – trwała kilka godzin. Po południu klatka była gotowa. Stała tuż przed wejściem do mej pieczary. Następnie przyniosłem dla siebie i dla mych więźniów pęki jadalnych czerwonych owoców. Przy tej sposobności znalazłem w lesie nader pożyteczne naczynie gospodarskie: rodzaj melonów, których owoce o twardej skorupie, a wewnątrz puste stanowiły znakomite tykwy do noszenia i przechowywania wody. Gdy papugi przyniosłem do klatki i wsunąłem im owoce oraz wodę do picia, a sam spożyłem niezłą wieczerzę, daleko było jeszcze

do zachodu słońca.

Zadowolony z dzisiejszego dzieła, wesoło patrzyłem na mój „drób” w kojcu. Przygnębienie ostatnich dni gdzieś znikło coś we mnie się wyprostowało, mocniej nabierałem powietrza do płuc, wstąpiła we mnie otucha. Myśl, uwolniona od bezpośredniej troski o pokarm, teraz szersze mogła zataczać kręgi, śmieiej wybiegać: sprawa wydostania się z wyspy nabierała znów wagi.

Dzień żarzył się jeszcze jasny, więc wszedłem na szczyt wzgórza. Słońce czysto zachodziło, powietrze było nader przeźroczyste. Szukałem wzrokiem, czy nie dostrzegę gdzieś oznak ludzkiego życia, żagli zbawczego statku lub dymku ogniska. Nic. Ogromny bezmiar oceanu spoczywał pusty.

Gdy schodziłem z góry, słońce zanurzało się w morzu. Ptaki w klatce już spały, ale z przyjemnością stwierdziłem, że zjadły większą część jagód.

W nocy zbudził mnie skrzek przerażonych papug. Wytknąwszy nos z jaskini ujrzałem przy klatce podejrzany cień. Krzyknąłem, rzuciłem kamieniem. Cień zerwał się i głośno szeleszcząc przepadł w zaroślach. Z palką w jednej garści, z kamieniem w drugiej, a z sercem gwałtownie bijącym wypelzłem z ukrycia. Klatka była częściowo rozwalona, ale – o ile mogłem poznać w ciemności – papugi w niej siedziały. Naprawiłem dziurę w szczeblach, klatkę dla bezpieczeństwa przesunąłem bliżej do wejścia jaskini, nadto obłożyłem ją kamieniami. Do rana nic nie zakłóciło spokoju.

Rano patrzę, a tu nie ma czterech papug. Wszędzie dokoła leżało pełno piór. Jaki drapieźnik, wielki czy mały, dokonał w nocy włamania, nie mogłem wyczytać z niewyraźnych śladów.

Odwiedziny nocnego rabusia i wyrządzone mi straty nie ostudziły mego zapалу do hodowli papug. Błąd popełniłem ja budując zbyt słabą klatkę. Ale do czego miałem deski z rozbitej szalupy?

Ściągnięcie wszystkiego, co pozostało na piasku nad morzem z resztek łodzi, zabrało kilka godzin. Deski były nierównych rozmiarów i przeważnie nadłamane, więc musiałem je należycie dobrać i przyciąć, zanim przystąpiłem do właściwej budowy. Do wiązania służyły liany, jak również długie, cienkie a giętkie pręty pospolitego w mej okolicy krzaka, najeżonego ostrymi kolcami. Między deskami pozostawiłem szpary na dwa palce szerokie. Około południa klatka była gotowa. Długa i szeroka na osiem stóp, wysoka na cztery stopy, mogła pomieścić chyba sto papug. Ale przede wszystkim była mocna i odporna.

Wpakowałem do niej pozostałe sześć ptaków i podążyłem do papuziego gaju. Tym razem zestrzeliłem trzy dorosłe sztuki, a dziewięć młodych złapałem żywcem. Zmarudziłem wiele czasu i gdy wieczorem wracałem do jaskini, było już ciemno. Pod koniec drogi obawiałem się, by nie przydybał mnie jaki drapieźnik, ale doszedłem do jaskini cało i bez przygód.

Panowało tego dnia, zwłaszcza w godzinach południowych, straszliwe gorąco, do którego ja, człowiek Północy, nie byłem przyzwyczajony. Pośpiech, z jakim wszystko tego dnia robiłem,

znowu poderwał mi zdrowie. W nocy nie mogłem zasnąć, trapiony dreszczami i okropnym bólem głowy.

Kilka razy papugi wszczynały paniczny wrzask. Wstawiałem i pohukując rzucałem z jaskini w ich stronę kamienie. Wyjść dalej w ciemność nie odważyłem się; kojec stał o kilka kroków od pieczary. Rano przekonałem się, że w nocy krążyły dokoła jakieś mniejsze zwierzęta, ale klatki nie zdołały naruszyć. Byłem dumny z mej roboty.

Niestety, byłem również chory i osłabiony. Cały dzień musiałem przeleżeć w mym schronisku, zdobywszy nowe bolesne doświadczenie: w skwarным klimacie, szczególnie gdy świeciło słońce, nie wolno było biegać ani w ogóle wyteżać się, a tym mniej ciężko pracować. Wszystko – czynić powoluteńku.

Na trzeci dzień, czując się lepiej, poczłapałem – miarowym, spokojnym krokiem – do papuziego gaju. Było parno. Kropił drobny deszcz, więc ptaki siedziały pod liśćmi osowiale i łatwe do podejścia. Wynik: dwa zabite i dwanaście żywych. Odtąd codziennie odbywałem tu regularne wędrowki i zawsze coś przynosiłem. Ale wkrótce papugi zmądrzały. Stare uświadomiły sobie niebezpieczeństwo i trzymały się z daleka. Młode podrosły szybciej, niż się spodziewałem, i te, które jeszcze nie padły ofiarą moją czy innych łowców, były na odlocie. Na piąty czy szósty dzień upolowałem tylko dwie sztuki. Nie warto było przychodzić.

Ale powstała jeszcze inna, ważniejsza sprawa, dla której należało zaprzestać polowu żywych papug. Sprawa wyżywienia. Ptaki pożerały nieprawdopodobne ilości czerwonych owoców. Po żer chodziłem dwa razy dziennie do kniei, toteż naturalne zapasy w moim sąsiedztwie szybko się wyczerpywały. Dawałem zielonym jeńcom także „jabłuszka” kaktusowe, jednak wszystkie te zabiegi były niedostateczne i na krótką metę. Wypadalo odkryć nowe źródło żywności. Postanowiłem wyruszyć w dalszą wyprawę, w głąb wyspy.

Godzi się tu wspomnieć o niektórych wydarzeniach z tych kilku ostatnich dni. Przede wszystkim udoskonaliłem broń. Sporządziłem sobie mocniejszy łuk, a cięciwę przypiąłem ze sznura okrętowego, znalezionego w skrzyni marynarskiej. Do strzał używałem nadal trzciny, lecz do ich czubka przyczepiałem groty z twardego drzewa. W strzelaniu nabierałem wprawy. Z tego samego twardego drzewa wykonałem tęgą dzidę, z ostro wystruganym końcem.

Na polanie jaszczurczej wpadło w nastawione wnyki kilka jaszczurek, dochodzących do dwóch łokci długości. Uwiązałem je żywe pod osłoną najbliższego drzewa, rad, że mnożą się trwale zapasy żywności.

O świcie pewnego pogodnego dnia udałem się w drogę w głąb wyspy zabierając ze sobą nie tylko całą moją broń, ale i pojemny, choć niekształtny koszyk upleciony z lian. Jako prowiant miałem jedną jaszczurkę i czerwone owoce. Kroczyłem wzdłuż strumienia płynącego niedaleko jaskini i nie opuszczając jego brzegu wdzierałem się w głąb wyspy. Przyplawy i odpływy morza powodowały różnice poziomu wody w strumyku, a gdy był odpływ, ledwo sączyła się w nim cienka strużka, którą łatwo było przeskoczyć. W pobliżu strumyka roślinność krzewiła się

obfitsza niż gdzie indziej. Nawet wyrastały tu drzewa liściaste z bujnym pod sobą podszyciem. Skradając się baczylem na każdy szmer, a równocześnie wzrokiem przeszukiwałem rośliny, by znaleźć jadalne owoce.

Świeży, miły poranek napelniał mnie otuchą i dodawał mi zdrowia, które w ostatnich dniach znacznie się poprawiło. Naraz wyskoczyły przede mną dwa brązowe zwierzątka, bardzo podobne do zajęcy, lecz zanim zmierzylem się z łuku, chyże be-styjki dały nura w gąszcz. Kilkaset kroków dalej spostrzegłem trzy nowe zajęczki. Były tak zajęte sobą, że nie zauważony podszedłem do nich na jakie trzydzieści kroków. Wtedy dopiero przeczuły niebezpieczeństwo. Zamarły w ruchu, wyciągając do góry małe główki, i śledziły. Posłałem im strzałę. Chybilem. Zwierzątka jednym susem szurnęły w krzaki.

Dziwiłem się ich płochliwości. Wyspa była bezludna. Zdawałem sobie sprawę, że w tych chaszczach byłem pierwszym człowiekiem, który tu się pojawił. A jednak z jakim przerażeniem czmychały przede mną zwierzęta! Gdzie owa rajska sielanka, jaka według utartych pojęć powinna była panować na bezludnej wyspie?

Nie było jej. Istniała dotychczas tylko w mej wyobraźni. W tych zaroślach grasowały różne drapieżniki pożerające słabsze od siebie zwierzęta, toczyła się tu, jak gdzie indziej, bezustanna walka o byt. Dlatego gdy ukazał się nowy stwór, tym razem dwunożny, budził powszechny popłoch i lęk. Jedyne jaguar nie przeraził się mej osoby, ale i on nie zdobył się na napaść na człowieka i odszedł.

Podniosłem strzałę i przyjrzałem się miejscu, gdzie poprzednio siedziały trzy zajęczki. Musiało być tutaj sporo tej zwierzyny. Wśród krzaków krzyżowały się liczne tropy.

Warto przyjść tu któregoś dnia – postanowiłem – i założyć samolapki podobne do tych, co na jaszczurki...

Nie uszedłem stu kroków od tego ustronia, gdy stanąłem jak wryty. Gdzieniedzie wśród krzewiny jaśniały wapienne jałowizny, pozbawione roślinności, i w takim miejscu zniecka ujrzałem tuż przed sobą węża zwiniętego w kłęb. Wygrzewał się w porannym słońcu i zapewne spał. Chciałem strzelić do niego z łuku, ale porzuciłem zamiar. Podkradłem się jeszcze bliżej. Gdy zbudzony gad gwałtownie uniósł głowę sycząc i przeszywając mnie zjadliwym spojrzeniem małych oczu, dzidą niby młotem wymierzylem mu tęgi cios. Zerwał się, ale nie miał już sił. Kilka jeszcze uderzeń i było po nim.

Miał długości około sześciu stóp i stosunkowo grube ciało z pięknym zygzakowatym rysunkiem czarno – brązowym. Nie znałem oczywiście tego gatunku, ale gdy za pomocą dwóch patyków rozwarł mu pysk, ujrzałem tam obok innych zębów dwa wielkie zębiska jadowe. Wzdrygnąłem się na myśl, co by nastąpiło, gdybym szedł dalej i wąż mnie ukąsił. Odtąd bacznie zwracałem uwagę także i na ziemię przed sobą.

Dwie godziny minęły od wschodu słońca, gdy doszedłem do jeziora, z którego wypływał mój

strumyk. Jeziorko, lubo rozległe od brzegu do brzegu na ćwierć mili, zewsząd okolone było grząskimi moczarami porośniętymi trzcina i wszelakim przywodnym pospółstwem roślinnym. Tylko w jednym miejscu był dostęp do otwartej wody. Dokoła jeziora wznosiła się prawdziwa tropikalna puszcza, gęsta, ale nie sięgająca dalej niż kilkaset kroków od wody. Z nadbrzeżnego sitowia szły hałaśliwe gwary ptasie. Dzikie kaczk i podobne do nich ptaki, pływając, wesolo baraszkowały na środku jeziora, po trzęsawiskach zaś stały, na pół ukryte w zieleni, brodźce na długich nogach, pięknie różowe i o zakrzywionych dziobach. Wielka tego ptactwa obfitość znowu nasuwała obraz jakiegoś raj, ale pomny doświadczenia z zajaczkami, wiedział, że tylko mi wytknąć nos, a wszystko to, przerażone, w jednym mgnieniu oka da drapaka. Więc cichuteńko stojąc za drzewem, wchłaniałem zadowolonym okiem bogactwo ptasiego życia.

Coś w pobliżu zaszleściło. Szczyty wysokiego zielska na bagnisku w pewnym miejscu mocno się chwiały, słyhać było łamanie trzciny i suchy trzask. Krzątał się tam zwierz nie byle jaki. Drzewo, za którym się schowałem, stało na małym wywyższeniu, ale chociaż wyciągałem szyję jak czapla, ciekawości swej nijak nie mogłem zaspokoić. A wdrapać się na drzewo też nie miało celu; spłoszyłbym bliską zwierzynę. Przecie po niedługim czekaniu szczęście samo przyszło mi do ręki.

Rozwarła się ściana oczeretów. Zwierz wyszedł na łączkę nie dalej ode mnie niż o pięćdziesiąt kroków. Był tęgi niby półroczny prosiak. Łeb miał olbrzymi i jakiś śmieszny w wyrazie, a tłuste ciało przyoblekle w szarą sierść. Na pierwszy rzut oka – jakiś pokraczny gatunek świni, ale to nie był dzik. Za tym pierwszym zwierzakiem wylonily się cztery inne, z których jeden wyrośnięty, a trzy młode, warchlaki.

Cała ta rodzina nie śpiesząc się opuściła nadbrzeżne mokradło i zdążyła w stronę chaszczyleśnych. Szła w moim kierunku. Powoli napiąłem luk.

Zwierzątka zbliżyły się, nieświadome obecności człowieka. Od stada odbił się nieco jeden z warchlaków i podszedł do mnie na dziesięć zaledwie kroków. Gdy mnie bokiem mijal, strzeliłem. Gracko świsnęła strzala. Trafiła w samą komorę przebijając miękkie ciało na wylot. Zwierz wydał tylko bolesny, cichy kwik i już wierzgał w ostatnich drgawkach. Reszta ratowała się ucieczką.

Nie posiadając się z radości doskoczyłem do zdobyczy. Ale świetnie trafił! Zwierz już nie żył. Po zębach poznałem, że to gryzoń. Ważył dobre dziesięć funtów, już w swej młodości dwukrotnie chyba większy niż zajac. Na miejscu wypatroszyłem go i wsadziłem do kosza na plecach.

Dobry, kochany luk! – zaśmiały mi się oczy do mej broni i pogłaskałem ją niby żywą istotę.

Czy warto było iść dalej z takim ciężarem? Słońce wzbijało się i upał rósł, z każdą minutą coraz nieznośniejszy. Tedy zawróciłem obiecując sobie rozpocząć na długo przed świtem jutrzejszą wyprawę w tę stronę.

Namyślałem się, jak nazwać odkryte jeziorko. Niepodobna, ażeby bogate w ptactwo i zwierzynę ustronie pozostało bezimienne. Znalazłem: „Jezioro Obfitości”.

Niestety, sprawa wyżywienia moich papug wcale nie ruszyła z miejsca. A była to paląca sprawa.

9. Wąż dusiciel

Jakże okrutnie brakowało mi ognia! Ubity zwierz był tłusciutki i świetnie smakowałby upieczony na rożnie. A tak zadowolić się musiałem surowym mięsem. Zjadłszy słuszny kawał, resztę zwierz schowałem w głębi jaskini, kędy panował nie tak dotkliwy upał jak na dworze.

Dwa czy trzy dni temu znalazłem nad morzem niewielki kamień podobny do krzemienia. Krzepko uderzałem nim o inne kamienie, wszelako bez pożytku. Iskry nie wykrzesalem.

Nazajutrz po odkryciu Jeziora Obfitości opuściłem jaskinię tak wcześnie, że kiedym dotarł do ostępu zajęczego, dopiero co dniało. Przyniosłem ze sobą kilkanaście wnyków-samolówek i założyłem je na odpowiednich ścieżynach i przesmykach, które zajaczki utorowały sobie w zaroślach.

Jezioro Obfitości zastałem w pełni ptasiego przepychu, całe roztrzęsione porannym koncertem gulgotów, pisków, skrzeków i trzepotania skrzydeł. Baczyłem, aby nie wnieść tu popłochu, w nadziei ujrzenia grubszej zwierzyny. Ale tym razem spotkał mnie zawód, lubo świeżych tropów było siła, a ziemia w wielu miejscach srodze poryta.

Doprawdy: Jezioro Obfitości! Okrążywszy je półkolem wędrowałem dalej w pierwotnym kierunku. Nie było tu już strumyka, jeno sama puszcza. Nie uszedłem ćwierć mili, kiedy nowym uradowałem się odkryciem.

Rosły tu niewysokie drzewa, oblepione żółtymi owocami wielkości i kształtu jablek. Owoce miały w środku miąższ mączny, różowawy, tak smakowity i słodki, że rozpływał się w ustach. Zaraz narwałem sobie moc tego specjału i jadłem, aż mi się uszy trzęsły. Lubyh a pożytecznych drzew rosła tu niezła ilość, wiele owoców dojrzałych leżało już na ziemi, inne zaś na gałęziach były jeszcze nie rozwinięte, małe i zielone. Różny czas w rozwoju ich dojrzewania pozwalał żywić nadzieję, że będę miał tu żywność na długie tygodnie, a może i miesiące.

–Rajskie jabłka – wołałem rozpromieniony, widząc, jak do pożywnej stawy dobierały się przeróżne ptaki i owady, a szczególnie wielkie osy.

Było to ważne dla mnie odkrycie. Zapowiadało kres dotychczasowym trudnościom, już na dobre odpędzało ode mnie głód. Czy dziwić się mojemu podnieceniu?

Pora była jeszcze wczesna, dzień dopiero się rozwijał. Powędrowałem dalej, chcąc rozeznac, jak się miało tam w głębi wyspy. Nic szczególnego nie odkryłem. Las szybko się kończył, miejscem przechodził w samą drągowinę bambusową, miejscem jaśniały polany z trawą. Potem nastawały znowu suche krzewy i kaktusy, ciągnące się chyba do samego morza na wybrzeżu zachodnim. Dotarłem do środka wyspy, wszakże zwierzyny nie napotkałem.

W drodze powrotnej narwałem tyle rajskich jablek, ile zmieściło się w koszyku. Nielekkie były na moje podniszczone chorobą siły, ale w duszy mi śpiewało, więc i nogi sunęły rażno.

Pomyślne wydarzenia tego dnia sypały się jak z rogu obfitości. Bo skorom przechodził wedle ustronia zajęczego i rzucił okiem na założone samo łapki – w tych paru godzinach dwa zajęczki wpadły w sidła i rozpaczliwie, acz daremnie szamotały się.

Mogłem teraz obejrzeć je z bliska. Były to także gryzonie o niezwykle zgrabnych nóżkach. Do naszych zajęcy wcale niepodobne, ale żem już raz takie im przypiął miano, nazywałem je nadal zajęczkami. Ostrożnie, ażeby ich nie zranić, związałem im wszystkie cztery nogi. Po czym umocowawszy zwierzęta na wierzchu koszyka, dzierżąc w jednej garści luk i strzały, w drugiej dzidę, ru-

szylem w podniosłym nastroju ku jaskini niczym radosny pasterz ze Starego Testamentu.

Zatem posiadałem już trzy rodzaje żywych istot: papugi, jaszczurki i zajęczki. Z umieszczeniem gryzoni miałem znowu kłopoty. Gdym wsadził je do papuziej klatki, nieprzyjazne ptaki rzucały się dziobiąc nowych przybyszów – a dzioby miały zadziorne! – i musiałem zajęczki szybko wyciągać, póki żywe. Na razie wpuściłem je do jaskini i szczelnie ją zatarasowałem. Na składanie nowej klatki nie miałem czasu. Należało wykopać dla gryzoni dół.

Skoro po południu upał trochę zelżał, pośpieszyłem wybrzeżem morskim do miejsca, gdzie leżała skorupa po zabitym przez drapieżnika żółwiu. Znalazłem ją łatwo. Kawał tego pancerza, odbity kamieniem, nasadziłem klinem na mocną, rozszczepioną gałąź, przywiązałem ją przemyślnie a silnie lianami – łopata była gotowa. Zaraz ją wypróbowałem i – cześć pomysłowości! – narzędzie nieźle kupy się trzymało.

. W odległości piętnastu mniej więcej kroków od jaskini wykopałem dół. Żwawo poszło, ziemia była tu miękka. Dół tworzył czworokąt mający pięć razy pięć stóp, a głębszy był niż człowiek wysoki. Po wsadzeniu tam zajęczków pokryłem dół gałęziami równo z powierzchnią ziemi, ażeby gryzonie nie wyskoczyły, miały osłonę od słońca i ochronę – lubo wątpliwą – od nieproszonych gości. Zajęczki tego samego dnia chętnie zabrały się do rajskich jablek, które i papugom tak smakowały, że gdybym im nie wydzielał kęsami, w niespełna pół godziny zdziobałyby cały przyniesiony zapas. W dole umieściłem także żywe jaszczurki licząc na ich zgodne z zajęczkami pożycie.

Tak tedy uporawszy się z pierwszymi trudnościami i zapewniwszy sobie jako tako byt, mogłem odetchnąć. Wzorem Robinsona Kruzoego pomyślałem o założeniu kalendarza, ale pomyślał o tym zbyt późno, w jaki miesiąc po przybyciu na wyspę. Dni mi się pomieszały jak groch z kapustą, nie wiedziałem, kiedy piątek, kiedy świątek. To tylko pamiętałem, że rozbicie okrętu nastąpiło w pierwszych dniach marca, że tedy kiedym wpadł na pomysł kalendarza, był początek kwietnia. Ustaliłem na chybił trafił datę

dziesiątego kwietnia i odtąd czyniłem codziennie karby na korze najbliższego drzewa. Napisałem: rok Pański 1726.

Z przeminięciem groźby głodowania, a z szybkim do zdrowia dochodzeniem coraz częściej

myślałem o tym, jak by wydostać się z mego wyspiarskiego więzienia. Tęsknota za ludźmi i ich światem nachodziła mnie ostra jak ból. Teraz już codziennie wdrapywałem się na szczyt wzgórza i patrzyłem na morze. Nic, tylko stale pusta przestrzeń, na północy zarysy wyspy, na południu zarysy lądu jak gdyby stałego, a poza tym nic, beznadziejna pustynia wodna, żadnego śladu życia ludzkiego.

Ponieważ wzgórze moje, jak już wspomniałem, wznosiło się na wschodnim wybrzeżu wyspy, obiecałem sobie pójść w następnej większej wyprawie na południowy brzeg i tam, będąc nieco bliżej, przypatrzeć się przeciwległemu lądowi. Do wydostania się z wyspy i przebycia morskiej cieśniny potrzebowałbym dobrej łodzi, lecz jak tu marzyć o łodzi bez nijakich narzędzi krom noża myśliwskiego? Robinson Kruzo ze swoim bogactwem przyrządów, siekier i toporów, wszelakiej broni tudzież zapasów żywności z rozbitego statku był jak możliwy lord w porównaniu ze mną, chu-dopacholkiem.

Ale serca nie tracił ani na chwilę. Byleby służyło zdrowie, to nie brak będzie i fantazji. Czas schodził mi pracowicie. Kwiecień był pogodny, rzadko kiedy padało, tylko robiło się coraz upał niej, a słońce, które dotychczas trzymało się na południu, dochodziło teraz ponad samą głowę. Około godziny dwunastej stało prawie nade mną, tak iż cień mój chował się w nogach. Później przesunęło się jeszcze dalej na północ i – o dziwo! – w porze południowej świeciło na północy.

Powiadam, nie próżnowałem. Codzienne wycieczki nad Jezioro Obfitości zaopatrywały nas, mnie i moją czeredę, w żywność. Łuk, coraz sprawniejszy w moich dłoniach, dostarczał często dziczyzny, a zajączki wpadały od czasu do czasu w samolówki. Złowiłem ich do dziesięciu w tym jednym miejscu w ciągu miesiąca.

Gdy upał się wzmagał, niewygodnie było chodzić w grubych spodniach, koszuli i trzewikach i często je zdejmowałem, acz niechętnie to czyniąc, bom, nieprzywykły do golizny, wstydził się przed samym sobą. Musiałem wystrzegać się wszelakiego kąśliwego robactwa, komarów, kleszczy, os. Dzika broda zapuściła się na mej twarzy, żem razu pewnego widząc swe odbicie w cichej wodzie, niemal przeraził się zbójeckiej gęby.

Pod koniec kwietnia przeżywałem dni trwogi i wielkiego podniecenia. W pobliżu zjawiał się groźny drapieżnik i nawiedzał mój zwierzyniec. Czynił to tak chytrze i tak tajemniczo, że z początku widział mi się jakowąż siłą nieczystą, sen odbierającą mi po nocach.

Rozpoczęło się od tego, że któregoś dnia nie mogłem doliczyć się zajączków. Powinno było być dwanaście, było jedenaście. W gałęziach, dachem pokrywających dół, widniał jakiś niewielki otwór, ale mogło to być przypadkowe obluźnienie się pokrycia. Innych śladów w pobliżu nie dostrzegłem. Trawa była tu całkowicie przeze mnie podeptana.

Następnego dnia liczę: dziesięć zajączków. Niepodobna, aby reszta miała wyskoczyć. Znowu żadnych wokół śladów pazurów, tylko ściana dołu nieznacznie z jednej strony obsunięta, jak gdyby ktoś tam niezgrabnie uczynił stąpanie. Zajączki nigdy nie ginęły w nocy, tylko za dnia, a przecież w tym czasie musiałem zawsze chodzić na kilka godzin do lasu po prowiant. Z

szatańską regularnością prawie każdą nieobecność moją przyplacałem stratą jednego zwierzątka. Zagadkowy wróg rozstrajał mi nerwy do tego stanu, że poważnie lękałem się od nowa o me zdrowie.

Bestia ciągle trzymała mnie na oku, czego niejeden raz miałem dowody. Wiedzieć, że napastnik bezustannie ciebie śledzi i tuż obok czyha, a ty nie potrafisz powiedzieć, gdzie on, nie znasz nawet jego kształtu, nie wiesz, czy w następnej chwili nie skoczy ci na plecy, to, zaiste, obmierzłe uczucie, upiorna w ciuciubabkę zabawa. Kiedyś oddaliłem się bodaj na kwadrans, by zaczerpnąć wody z rzeczki; gdym wrócił, już brakowało jednego zajączka. A wszystko dokoła było jak przedtem, żadnego ruchu w krzewach, żadnego podejrzanego szelestu. Jużem zaczął wątpić w swe zdrowe zmysły.

Drapieżność wroga szła w parze z niebywałą u zwierząt bezczelnością i podstępem. Czyżby był niewidzialny? Przeglądałem z największą ostrożnością każdy krzak, każde drzewo w pobliżu., nie pominąłem żadnej dziupli i żadnej nory – i nic, ni śladu po nim. Ba, szerokim pasem skopałem dokoła nieszczęsnego dołu ziemię usuwając wszelkie zielska, ażebym poznał, jakie ślady łap drapieżnik pozostawi po sobie. Gdym wrócił po godzinnej wycieczce, okazało się, że był. Wyciągnął znów jednego zajączka, ale śladów wyraźnych nie pozostawił. Na skopanej ziemi coś się, owszem, zmieniło, ujrzałem jakąś wklęsłość, wszakże daremnie wypatrywałem śladów łap. Bliski zupełnego rozstroju nerwów, skoczyłem co żywo do jaskini, porwany lękiem, że wróg i na mnie się rzuci – aleć, kto wie, może właśnie czaił się w głębi mej jaskini? O nerwy, nerwy!

Skorom tylko przyszedł do siebie i uzyskał znowu równowagę ducha, przysiągłem sobie, że nie spocznę, że zaniecham wszystkiego, co mi dotychczas wypełniało dzień, a dotrę do tajemnicy[^] i diabła wezmę za rogi.

Nazajutrz o zwykłej porze, uzbrojony jak zwykle w nóż, łuk i dzidę, zwykłą ścieżką opuściłem jaskinię, ale nie uszedłszy dwustu kroków przypadł za krzewem do ziemi. Czolgając się cichuteńko, wracałem jak złodziej do swej własnej siedziby. Zbliżyłem się do dołu na pięćdziesiąt kroków. W tej bezpiecznej odległości przycupnąłem pod krzakiem na stanowisku, z którego snadno widziałem zarówno jaskinię, jak dół z zajączkami i klatkę papuzią. Bestia mogła być w pobliżu, przypatrując mi się z sąsiedniego gąszczu – ale już o to nie dbałem. Gniew ogarnął mnie zapalczywy. Nie myślałem ustępować, cokolwiek by się stało.

Wszakże długo nie czekałem. Napięte oko uchwyciło coś ruszającego się, lecz nie było to w zaroślach, w których się kryłem, jeno na stoku wzgórza. Ponad moją jaskinią wiodło dosyć strome zbocze ku górze. Pochyłość tę, pociętą żlebami tudzież pomniejszych szczelinami, pokrywały piargi i licha krzewina. Stamtąd to ruszył ów zwierz schodząc na dół. Trzymał się zapadlin wśród garbów, przeto niewielem go widział.

Dopiero kiedy zlął do samego podnóża, poznałem go. Olbrzymi wąż pełzł z wolna, linią falistą wprost na mój dół z zajączkami. Czynił wrażenie potwora nie z tego świata. Widział mi się w podnieconych oczach okropnie długi. Ciało jego, niemal że grube jak udo chłopa, wyrażało

straszna siłę i niechybnie mogło, opasawszy wyrosłego wołu, pogruchotać mu wszystkie żebra. Jakżeż tu na

olbrzyma z kruchą pójść bronią, jaką posiadałem? Zawahałem się, zwątpilem.

Tymczasem wąż dopelził do dołu i zatrzymał się przed nim. Podniósł głowę. Przez długą chwilę stał tak nieruchomy, nasłuchując. Małe ślepska wlepił w zarośla, gdzie czaił się, jak gdyby przeczuwał niebezpieczeństwo. Potem głową przebił pokrycie z gałęzi i wsadził ją do dołu. Większa część jego ciała pozostała na zewnątrz.

Teraz, huncwot, łapie mi zajączki! – pomyślałem wściekły na rabusia.

Nie panowałem nad sobą. Porwałem się na nogi i naprzód. Co tchu pędziłem nie bacząc na nic. Widać, wąż mnie usłyszał, bo nagle gwałtownym ruchem wyrwał głowę z dołu i wzniósł ją wysoko nad ziemię. W pysku trzymał zajączka. Zwierzątko, jeszcze żywe, wierzgało nóżkami. Skoro gad mnie zobaczył, wygiął się zamaszystym kabląkiem do tyłu. Nie wiem; w obronie to czy do napaści. Już dobiegłem na pięć kroków, już błyskawicznie napiąłem luk. Strzała przeszła mu szyję na wylot, utkwivszy w cielsku. Wąż lekko drgnął, jakby zdziwiony. Z pyska wypuścił zajączka i natychmiast ruszył na mnie. Ledwom zdążył odrzucić luk i strzały i wznieść dzidę. W chwili gdy mnie dopadał, machnąłem z całych sił. Był to ostatni moment. Bokiem dzidy uderzyłem go w szyję. Wąż przeraźliwie zasyczał i pod ciosem zatoczył się, dziwnie wygiąwszy szyję. Czyżby miał złamaną? Grzmotnąłem go drugi raz, potężniej niż poprzednio.

Tego było mu za wiele. Porwał się do ucieczki. Strzała, która wciąż tkwiła mu w szyi, rozleciała się w drzazgi. Żywotność potwora była nieprawdopodobna. Wijąc się pędził w takich podskokach, że m zaledwie nadażał za nim. Miałem znowu luk i strzały w garści.

Gdyby wąż uciekał do zarośli w dolinie, pewnie dopiąłby swego i dał drapaka. Ale on, siłą przyzwyczajenia, wracał na wzgórze. Na swą zgubę. Pod górę nie mógł piąć się tak szybko. Dogoniłem go. Nie zbliżając się zbytnio do gada, bo sił był pełen nie do wiary, waliłem do niego strzałę po strzale. Najczęściej chybiałem, ale i kilka razy trafiłem. Chciał na mnie ponownie uderzyć, już nie stało mu żwawości. Bez trudu uskoczyłem w bok.

Wtedy ujawszy dzidę z ostrego końca, grubszym końcem zdzieliłem go po łbie raz i drugi, i trzeci. Teraz tylko wil się, bezsilny jak pocięta dżdżownica. Biłem i biłem, aż ręce ustawały ze zmęczenia. Pogruchotany, sflaczały, jeszcze jeno drgał. Pomyślałem, że nie sposób go tak zostawić, bo a nuż odżyje. Dożyłem noża i łeb mu odciąłem.

Zmierzyłem: wąż miał piętnaście stóp długości. Zdobił go piękny rysunek na ciele, składający się z linii, zygzaków i plam. Miał kilka kolorów; jasno- i ciemnobrązowy, czarny i żółtawy.

Byłem tak zmordowany walką, że po zwycięstwie musiałem położyć się i wypocząć parę godzin.

Porwany zajączek zdechl. W dole pozostało ich tylko cztery.

70. Ogień

Po tych podniecających wypadkach nastąpiły spokojniejsze dni. Co dzień rano, skoro tylko sprzyjała pogoda, wychodziłem do lasu i zawsze coś przynosiłem, to ptaka, to żółwia, to owoce. Więc miałem co jeść, a to było w tym czasie najważniejsze.

W zajęczym ustroniu w drodze do Jeziora Obfitości niebawem przetrzebiłem zwierzątka; coraz rzadziej wpadały we wnyki. Ale odkryłem w innej części wyspy dobre na nie łowisko i dół mój znowu napelniał się czworonożną gromadą.

W okolicy Jeziora Obfitości często widywałem owe błotne „świnie”, których warchlaka kiedyś zastrzeliłem z łuku. Niestety, od tego czasu ani razu nie doszedłem na nie do strzału. Niepodobna było zakładać tu pętli, bo zwierzaki były nazbyt silne, natomiast myślałem o wykopaniu dołów-samolapek. Że to jednak wymagało żmudnej pracy, a inne sprawy widziały mi się pilniejsze, przeto odroczyłem kopanie dołów na dogodniejszą porę.

Robiło się coraz upalniej, pod koniec kwietnia słońce diabelnie przypiekało. Zachodziłem w głowę, jak się ubierać. Robinson Kruzoe, mistrz mój ulubiony i poprzednik na tych wyspach, chronił się od słońca parasolem, a gdy zniszczył europejską odzież, to ze skór kozich uszył sobie rzetelne ubranie-kożuch, głowę zaś

przykrył skórzaną czapą. Na mej wyspie kóz nie było. Mając jednak tak chwalebny wzór w pamięci, chciałem być wiernym i pojętnym mistrza uczniem, wszakcim zaraz na wstępie popadłem w niemalą rozterkę. Wykonałem z gałęzi i liści palmowych paradny parasol, ale gdy przyszło do używania go – bieda. Z takim sprzętem nie sposób było przedzierać się przez gąszcze, a przy tym parasol odstraszał mi zwierzynę. Ostatecznie w kącie cisnąłem niedorzeczny grat i dałem mu spokój.

Z odzieżą była podobna mitręga. Ubranie, w którym uratowałem się, i znalezione w skrzyni części odzienia szybko się strzępiły w chaszczach, bo były to chaszczki suto kolcami szpikowane. Patrzyłem dnia, kiedy nie będę miał nic do włożenia na siebie.

Skórek po zjedzonych zajęczkach uzbierało się już kilkanaście i przy dobrej woli dałoby się jaki taki zeszyć przyodziewek. Ale na samą myśl noszenia w tym upale takiego futerka robiło mi się słabo. Pod płócienną koszulą pot lał się strumieniami, a cóż by dopiero było pod kożuskiem? Nie, nie wierzyłem, żeby Robinson chodził w skórkach i w tym klimacie czuł się dobrze.

Przewyciężając fałszywą wstydlivość, a chcąc oszczędzać odzież, chodziłem nago, oprócz przepaski na biodrach. Skóra ciała, z biegiem czasu podobniejsza do skóry Indianina niż białego człowieka, coraz bardziej uodporniała się na promienie słoneczne. Na głowie wyrosła mi bujna czupryna, a długie włosy spadały na kark, i ta naturalna ochrona znakomicie starczyła. Tak więc za dnia chodziłem obnażony, za to na noc brałem na siebie koszulę, jako że w jaskini czasem szpetnie chłodem ciągnęło.

Skórzane moje buty jęły się pruć i rozlażyć. Przywiązywałem sobie do nóg drewniane sandały, aliści nieporadne były do noszenia i- wrychle je porzuciłem. Coraz częściej chodziłem boso i gdy należycie stwardniała mi skóra na stopach, bez żalu pożegnałem się z butami. Dzikus! – krzyknie może na mnie jaki taki przemądrzały pustak. Może i dzikus! – odpowiem, ale czy na wyspie nie żyłem w warunkach dzikiego człowieka, który; nawet ognia nie posiadał, i czy – ażeby łatwiej przeżyć do lepszego jutra – nie trzeba było pierwej nabyć właśnie cech ludzi zwanych dzikimi?

Ogień! Tego mi coraz boleśniej brakowało. Surowa strawa wychodziła mi już bokiem i lubom pozbył się chorób nękających mnie w pierwszych dniach na wyspie, miarkowałem, że nieustanne jedzenie surowego mięsa nabawi mnie nowych kłopotów. Znowum szukał krzemienia, a kamienie bił jeden o drugi. I znowu na próżno. Żadnej zbawiennej skry nie dobyłem.

Wtedy to, któregoś szczęśliwego poranku, strzeliło mi coś do głowy, aż mocno uderzyłem dłonią w czoło i krzyknąłem z radości. Żem też w tych wszystkich utrapieniach zapomniał o tym na śmierć! Od samego początku miałem doskonale krzesiwo u siebie, tylko sięgnąć po nie, i to jakie krzesiwo, ho, ho! A pistolet-skalkówka, znaleziony przy zwłokach kapitana? Co prawda nie posiadałem doń prochu i strzelać nie mogłem, ale czy odwodząc kurek i spuszczając go nie dało się skrzesać iskry?

Co żywo pobiegłem do jaskini. W kącie, w kurzu znalazłem pistolet. Przetarłem, próbowałem, sprężyna kurka była cała, tylko zardzewiała. Kilka razy odwodziłem i spuszczałem, w końcu szło laczniej. Gdym wyczyścił żelazną płytę z rdzy i spuścił na nią kurek, o mało nie oszalałem z uciechy: skra prysnęła. Jasna, żywa, żartka iskra.

Jeszcze pytanie, czy znajdę hubkę do rozniecenia ognia. Sucha trawa nie chciała chwycić, drobno cięte trociny drzewa tak sarno nie. Wyszukałem tedy stare, spróchniałe drzewo w lesie, wygarnąłem z niego odrobinę próchna i roztarłszy je na mąkę wysuszyłem na słońcu. Następnie posypałem na panewkę pistoletu. Trzask spuszczonego kurka i iskra. Próchno zatliło się! Dmuchałem: wątyły, niebieskawy płomyczek. Dorzuciłem strużyn: płomień!

–Ogień! Ogień! – zawołałem jak dziecko.

Dolożyłem suchych gałęzi. Ogień szerzył się, płonął, trzaskał. Wzruszenie dusiło mnie. Więcej gałęzi! Płomień urósł do wysokości człowieka, huczał zwycięsko, sypał iskrami. Nowy, życiodajny, potężny sprzymierzeniec!

Pędem znosiłem suche gałęzie, których siła walało się w pobliżu. Gdym ognisku zapewnił żywot i przekonał się, że nie szczeźnie, zabiłem zajączka, a mięso po obdarciu skóry i wypatroszeniu wbilem na żerdź, po czym powoli obracałem je nad ogniem. Wkrótce rozniósł się w powietrzu przenikliwy zapach pieczystego. Był tak oszalamiający, że zakręciło mi się w głowie.

Pełne miałem usta pożądliwej śliny. Jakże żołądek mój ląknął pieczeni!

Nigdy nie zapomnę smaku tej pierwszej uczyty. Podczas gdy ogień wciąż wesoło buchał i syczał, stałem obok niego upajając się zarówno smakołykiem, jak dumą, że siłom przyrody wydarł tak bezcenny skarb.

Znowu przydało mi się doświadczenie nabyte w lasach wirginijskich. Bez trudności umiałem stale utrzymywać ognisko tak, aby nigdy nie wygasło. Jeno z tej racji było teraz więcej pracy, jako że do dotychczasowych obowiązków przyłączył się nowy, mianowicie znoszenie z gąszczu zapasów paliwa.

Posiadanie ognia jakby rozszerzyło moje spojrzenie na świat. Napelniło mnie otuchą, przysporzyło mi rzutkości, myślom moim dodało odwagi i polotu. Już zastanawiałem się, jak wzorem Robinsona wypalać naczynia z gliny i gotować w nich jadło. Przedtem jednak narzuciła się inna, pilniejsza robota.

W tym okresie, w pierwszej połowie maja, na niebie zachodziły poważnie zmiany. Pękate chmury, z dnia na dzień coraz gęstsze, gromadziły się nad wyspą i deszcze padały z każdym dniem coraz ulewniejsze. Nie miałem wątpliwości, że zbliżała się pora dżdżysta.

Na wyspie przebywałem już dwa z okładem miesiące. Ileż to razy śpieszyłem na szczyt wzgórza i nadaremnie oczy sobie wypatrywałem! Coraz bardziej oswajałem się z myślą, że zostanę tu dłużej, niżelim pierwiej przypuszczał, i do tej konieczności należało się przystosować. Miałem w worku nieco ziarna kukurydzianego i jęczmiennego. Surowe owoce, tak samo jak mięso, zaczęły mnie już mierzić. Skrzesane ognisko otwierało mi możliwości urozmaicenia potraw: gdybym więcej miał ziarna, mógłbym je rozetrzeć na mąkę i upiec z niej chleba. Z opowiadań Robinsona Kruzoe pamiętałem, że pora deszczów to najdogodniejsza pora do zasiewów, więc teraz nie zwlekając postanowiłem zabrać się do uprawy ziemi.

O dwieście kroków od jaskini, nad brzegiem rzeczki znalazłem odpowiednie miejsce. Grunt wydał mi się tu urodzajny, chwastów i krzaków pieńło się co niemiara. Skrętnie przystąpiłem do trzebienia roślinnego hultajstwa. Ono od prawieków w jarzmie trzymało tu ziemię korzeniąc się głęboko, więc walka z nim była ciężka, a narzędzia moje więcej niż prymitywne. Niejedna spływała kropla potu z czoła i trwało tydzień, zanim pole oczyściłem. Mierzyło pięćdziesiąt kroków na pięćdziesiąt. Chciałem kopać ziemię, ale to nie szło łącno, bo ziemia była ubita i przetkaną korzeniami. Złamałem łopatę ze skorupy żółwiej, więc dałem temu pokój. Wyrwane chwasty i krzewy wyschły, więc spaliłem je do gruntu i to starczyło.

Ziarna zasiałem na dwóch zagonach oddzielnych: na jednym kukurydzę, na drugim jęczmień. Okazało się, że więcej przygotowałem ziemi, niż miałem ziaren. Ukończywszy zasiew zbronowałem pole gałęzią, by ptactwo nie imaćło się. Po ukończeniu pracy wyprostowałem się i odetchnąłem z ulgą.

–Oto wielka rzecz gotowa! – powiedziałem patrząc zadowolony na pole. – Ciekawym, co z tego wyrośnie.

Kończył się maj. Deszcze padały. Były częste, grzmiące i rzęsiste, ale krótkotrwałe. Słońce kilka razy w ciągu dnia wychodziło spoza chmur. Parne powietrze pachniało mokrą, rozgrzaną zielenią.

11. Ujrzałem dwóch ludzi

Samotność wyciskała swe piętno. Coraz częściej głośno mówiłem do siebie. Jażń moja rozdwała się i było jak gdyby dwóch Janów: jeden wybuchowy zapaleniec, drugi przekorny i powściągliwy. Jeśli jeden, ów popędliwy, coś twierdził, to tamten z nim się przekomarzał i przeczył mu. Widocznie umysł mój wdrożony do myślenia wśród ludzkiej społeczności musiał ścierać się z czymśkolwiek, chociażby ze sobą samym. Takie to samotność lęła dziwactwa.

Pewnego dnia, jak już tyle razy, stałem na szczycie wzgórza, korzystając z pogody i z czystego powietrza. Skoro tylko teraz, w porze deszczowej, słońce świeciło, odległe przedmioty widniały ostro i dokładnie jak na dłoni. Łąd na południowym widnokręgu jaśniał wyraźniej niż kiedykolwiek; wydawał się dziwnie bliski.

–Janku! – odezwało się przedsiębiorcze ja. – Zwiedziłeś wyspę tu i ówdzie, tam na południowym krańcu jeszcześ nie był!

–To co, żem nie był? – odburknęło to drugie, odporne ja. – Tylem miał innej roboty!

–Czas pomyśleć o wydostaniu się z tego więzienia! Już trzy miesiące tu siedzę. Nie czekam dłużej! Jutro idę na południowy brzeg! Ciekawym zobaczyć...

–Nie pójdziemy, bo tu jeszcze pilna praca...

–Ciekawym zobaczyć z bliska ów przeciwległy łąd...

–A ognisko?

–Co ognisko?

–Koniecznie musisz zbudować szałas, aby ochronić ognisko od deszczów.

–Dobrze, zbuduję szałas. Ale zaraz potem wyruszę na południe!

–Jak chcesz...

Czasem odnosiłem wrażenie, że te naiwne rozmowy ze sobą samym trzymały mnie przy zdrowych zmysłach strzegąc rozum od wykolejenia.

Ognisko paliło się przed jaskinią i deszcze często je gasiły. Na kilku wysokich palach, wbitych w ziemię naokoło ogniska, utworzyłem dach z wielkich gałęzi palmowych. Był dość wysoko, ażebym mógł chodzić pod nim swobodnie, i dość rozłożysty, ażeby ulewy, zacinające z boku, nie stłumiły ognia. Ściany szałasów pozostawiłem całkiem odkryte. Budowa trwała trzy dni.

Czwartego dnia nad ranem rzuciłem papugom i zajączkom pokarmu na dwie doby i ruszyłem na południe. Jak zwykle, na plecach niosłem koszyk z żywnością, w ręku łuk, strzały i włócznię,

a nóż za pasem. Zabrałem także pistolet i garść wysuszonego próchna do rozniecania ogniska.

O ile mogłem stwierdzić z mej góry, wyspa miała mniej więcej kształt jajowaty, z nieregularnym brzegiem wijącym się falisto w zatokach. Od mej jaskini nad wschodnim brzegiem najkrótsza droga na południe wiodła na przelaj przez wyspę, ale była to zarazem droga uciążliwsza, wśród kolczastych gałęzi. Woląłem zatem pójść po linii okrężnej trzymając się stale wybrzeża morskiego, gdzie wędrowałem i wygodnie, i bez obawy zbłądzenia.

Wrychle minąłem miejsce, w którym zakopałem zwłoki kapitana. Rozpaczliwa do niedawna walka o byt i przeróżne przygody, jakich doznałem, spowodowały, że całkowicie zapomniałem o jego tajemniczej śmierci. Teraz, gdy przechodziłem obok grobu, wszystko to stanęło mi od nowa w pamięci – i znowum wpadłem w zadumę myśląc o zagadkowej ranie.

Idąc dalej, niebawem wkroczyłem w nową, nie znaną mi okolicę. Rosły tu wielkie ilości palm kokosowych, przeważnie nad samym brzegiem wody, więc bez trudu i przyjemnie szedłem pod zielonym sklepieniem ich liści. Z wierzchołków zwisały dojrzałe owoce. Patrzałem na nie pożądliwie. Wiele palm, targanych za młodu przez wichry, wyrosło pochyło, więc można było kiedyś popróbować wejścia na nie małpim sposobem, trzymając się pnia. rękoma i bosymi nogami.

W chłodnym powietrzu porannych godzin szło się rażno. Przemierzałem milę za milą. Po kilku godzinach, gdy słońce zaczęło dopiekać, dotarłem do południowego wybrzeża. Krajobraz wszędzie był podobny: nad brzegiem piasek z palmami kokosowymi miejscami pomniejsze skały; potem krzewiaste zarośla, a dalej, w głębi wyspy, tu i ówdzie z rzadka drzewa.

Łąd na południu od mej wyspy rysował się nieco uchwytniej niż ze szczytu góry, jednak wciąż był dosyć daleko. Czyżby udało się przepłynąć dzielącą nas cieśninę za pomocą tratwy lub czegoś podobnego? Należało tu chyba mieć silną łódkę. Świadomość ta rozwiała cichą nadzieję, że bez trudu potrafię przepłynąć. Na łąd stały, ale przynajmniej teraz wiedział, czego się trzymać.

Wciąż kroczyłem dalej brzegiem morza. Nagle stanąłem osłupiały, do głębi wstrząśnięty: w piasku ujrzałem wyraźny, świeży ślad stopy ludzkiej. Stało się to tak nieoczekiwanie, że kolana niemal ugięły się pod mną. Spojrzałem uważniej. Nie było pomyłki. Nie ślad, lecz ślady dwóch ludzi wciskały się aż nazbyt dokładnie w piasku i w mój oszołomiony umysł.

Odruchowo skryłem się za najbliższym krzakiem. Badawczym wzrokiem toczyłem dokoła. Potem oczy wbilem w dal, przed siebie. Wiatr, idący od morza, targał zaroślami i trudno było w tym nieustannym ruchu coś zauważyć, chociażby tam krzatali się ludzie. A tu bliżej fale szumiały, wiatr w agawach szeleścił, ptaki ćwierkały i wszystkie te odgłosy razem tworzyły nade mną drażniącą ścianę dźwięków, spoza której słuch mój nic innego nie mógł wyłowić.

Po wrażeniu pierwszej chwili przyszło wnet opamiętanie. Długo siedzieć pod krzakiem, niby zając, nie miało celu. Jeśli tam gdzieś klębiło się groźne dla mnie niebezpieczeństwo, to

należało je poznać, im wcześniej, tym lepiej, a poznawszy stawić mu czoło.

Zbadałem jeszcze raz ślady. Były całkiem świeże. Dwóch ludzi boso, a więc niezawodnie Indian, było tu dzisiejszego rana. Doszło do tego miejsca i wróciło tą samą drogą, wzdłuż wybrzeża. Postanowiłem iść za nimi jak najostrożniej i przekonać się, kto oni. Marynarze na okręcie kaperskim straszne rzeczy opowiadali o okrucieństwie Indian w tych okolicach.

Stało mi równocześnie w pamięci, jak w podobnym wypadku zachował się Robinson Kruzo. Gdy odkrył ślad obcej stopy na swej wyspie, owdadło nim tak paniczne przerażenie, że pobiegł jak oszalały do swej „fortecy”, zamknął się w niej na kilka dni, ze strachu nie sypiał i lubo u Boga szukał pomocy, długotrwanie przeżywał katusze umysłu. Od samego czytania tych okropnych wzruszeń przechodziły ciarki.

Dlaczego ja nie przeżywam podobnych rzeczy? – zastanawiałem się.

Nie przeżywałem. Czujność moja, owszem, była natężona w najwyższym stopniu – ale to wszystko. Wiedziałem, że z chwilą odkrycia obecności Indian skończył się mój spokój na wyspie i w diabły poszła pozorna pogoda nedorzecznej sielanki, w jakiej żyłem, nedorzecznej, a jednak, bądź co bądź, sielanki. Ludzie, których ślady zobaczyłem, byli prawdopodobnie wrogami, z którymi musiałem prędzej czy później stoczyć walkę. Jeślim mimo to nie doznał przestrachu jak Robinson Kruzo, to pewnie dlatego, że z innej był gliny; że po prostu życie w lasach wirginijskich nauczyło mnie patrzeć niejednemu niebezpieczeństwu w oczy. Robinson posiadał na swej wyspie więcej broni, ja byłem uzbrojony w większe doświadczenie.

Ślady wiodły tuż nad samym wybrzeżem morza, więc nie dążyłem bezpośrednio za nimi nie chcąc narażać się na to, by z daleka ujrano mnie na otwartej przestrzeni. Skradałem się brzegiem gęstwiny na skraju wydm piaszczystych, przeświadczony że ślady prędzej czy później zбочą w tę stronę.

Wtem przystanąłem. Ponury domysł strzelił mi do głowy. Przypomniałem sobie kapitana z raną na głowie i pistoletem w ręce. Co dotychczas wydawało mi się nienaturalną przyczyną jego śmierci, czy nie tłumaczyło się teraz jasno obecnością na wyspie-obcych, wrogich ludzi? Oni to zamordowali kapitana, gdy wypłynął na ląd, a ślady, za którymi obecnie kroczyłem, były niewątpliwie śladami jego zabójców. Uświadomiwszy sobie ten stan rzeczy zrozumiałem, ku czemu idę. Miałem się odpowiednio na baczności.

Po pewnym czasie dotarłem do zatoki, dość daleko wrzynającej się w głąb wyspy. Przeciwległy jej brzeg, oddalony o niespełna ćwierć mili, odcinał się na tle zielonych zarośli białym pasem nadmorskiego piasku. Ukryty za pnem palmy kokosowej... miałem przed sobą rozległy widok na całą zatokę.

Nagie drgnąłem. Ujrzałem ich. Po drugiej stronie zatoki. Obydwaj biegli przez piasek do gęstwiny. Nim zdążyłem im się przypatrzeć, już zniknęli w krzakach. Miałem ich pod słońce, przeto trudno było rozeznaczyć na tę odległość, kto oni: biali czy Indianie... Tylkom poznałem, że coś

na sobie nosili, jakąś odzież; więc może to biali? Indianie w tych stronach chodzili nago, co najwyżej z przepaską na biodrach.

Do tego stopnia odwykłem od ludzi, że na widok tych dwóch poczułem ścisnienie gardła i doznałem zawrotu głowy. Na równi przejmowało mnie bliskie niebezpieczeństwo, jak niezwykłość ludzkiej zjawy. Jeszcze raz sprawdziłem swą broń i trzymałem ją jak najporęczniejszy w obydwóch dłoniach.

Diaczego tak pędzili? – zadałem sobie pytanie. – Czyżby mnie zauważyli?

Niemożliwe! – zaraz odpowiedziałem sobie. – Przecież ani czubka nosa nie wychylił z ukrycia.

Ale jeśli to Indianie, to mają sokole oczy, ha!... Może jednak mnie zoczyli?...

Gdyby się tak stało, byłoby źle. Tylko zaskoczenie dawało mi widoki zwycięstwa, tym bardziej że ich było dwóch, a kto wie, czy nie więcej.

Czy wobec tego iść dalej? – powstało zagadnienie. – Może lepiej wrócić do jaskini?

Nie, koniecznie należało iść dalej i przekonać się, kim oni są

i jakie knują zamiary.

Wiedząc teraz mniej więcej, gdzie ich szukać, cofnąłem się w głąb kniei i pod jej osłoną śpiesznie przedzierałem się przez krzewy, z dala od wody. Gdym okrążył zatokę szerokim łukiem i znalazł się po drugiej jej stronie, całą wyteżyłem bacność i roztropność, jakiej nauczyło mnie życie leśne. Skoro tamci poprzednio mnie zauważyli, to zapewne wypatrywali mego nadejścia od strony zatoki. Zatem, chcąc zmylić ich czujność, jeszcze bardziej oddaliłem się w głąb wyspy, ażeby zatoczywszy wielkie koło zejść im na tyły, od strony przeciwnej zatoce. Stamtąd na pewno nie spodziewali się mego nadejścia.

Chaszcze były tu gęste i niestety, jak wszędzie indziej na wyspie, pełne kolców, które zadzierały mi skórę na ciele. Często wypadło czołgać się po ziemi. Jeden tylko miałem cel na oku: odkryć ich pierwsi niż oni mnie i zaskoczyć ich.

Stało się inaczej. Oni pierwsi mnie ujrzeli. Kiedym najmniej tego oczekiwał, zdradliwa strzała świsnęła koło mego ucha, wpadając w pobliski krzak. Rzuciłem się na ziemię. Całe szczęście, że grunt był tu wklęsły. Chroniony jako tako wyłobieniem w ziemi, mogłem bezpiecznie się oddalić. Nikt na mnie nie uderzył. Przebiegłszy około dwustu kroków stanąłem i obejrzałem się. Żaden szmer ani głos nie zdradzał przeciwnika. Za mną nikogo nie było. Wiedziałem, w którym kierunku czał się strzelec wypuszczający na mnie strzałę. Ale gdzie był drugi? Może przede mną?

Bez zwłoki wycofałem się pośpiesznie z zasadzki. Dopiero gdy

pół mili oddzielało mnie od miejsca strzału, odetchnąłem spokojniej.

Do jaskini zmierzałem okrężną drogą. Kluczyłem i kilka razy zasadzałem się na własnych śladach, chcąc nabrać pewności co do zamiarów przeciwnika. Jednak nikt mnie nie ścigał. Ażeby do reszty zmylić możliwą pogoń, wpadałem do wody w dogodnych miejscach, gdzie były zatoczki, a skały wchodziły płytko do morza – i brodząc brnąłem wzdłuż wybrzeża. W pobliżu jaskini zatarłem za sobą ślady. Parę godzin, jakie pozostały do wieczora, wykorzystałem na zamazywanie w okolicy wszystkich dawniejszych znaków mej bytności. Była to praca żmudna, ale konieczna. Pewny, że tamci tak łatwo nie znajdą mej siedziby, położyłem się do snu.

Rozgorączkowany przygodami dnia, rozumiałem dobrze, że w najbliższym czasie czeka mnie rozstrzygająca rozprawa z obcymi ludźmi na wyspie. Jednak byłem zbyt zmordowany, ażeby myśleć o jakimś planie postępowania. Szybko zasnąłem.

12. Arnak i Wagura

Zbudziwszy się wczesnym rankiem, ujrzałem świat inny niż dotychczas: zwarzony i zdrętwiały, zaczajony w każdym podejrzanym krzewie, pełen mglistych gróźb. Ale gdy słońce wzeszło, gdy wrzeszczące w klatce papugi żądały codziennej strawy, gdy nakarmił je i siebie, dawna powróciła mi moc i otucha. Życie domagało się swych praw i nie pozwalało zaniedbywać ustalonych powinności. Do nich przede wszystkim należały wycieczki myśliwskie w głąb wyspy.

Wszakżem nie kroczył przez gąszcze już tak beztrosko jak wprzód, kiedy wypatrywałem jedynie łownej zwierzyny lub drapieżników czworonożnych. Wczorajsze wypadki nie wychodziły mi z głowy. Odkrycie dwóch zagadkowych ludzi wprowadzało na wyspę jak gdyby stan wojenny, i w istocie, idąc nad Jezioro Obfitości czułem się jak żołnierz na wojnie, otoczony zewsząd niebezpieczeństwem.

Tymczasem nic szczególnego nie zaszło. Z wycieczki wracałem obładowany koszykiem żółtych owoców, mych „rajskich jablek”, tudzież z upolowanym z łuku zajączkiem. Po drodze zajrzałem do uprawnego pólka. Kukurydza pięknie wyrastała jak na drożdżach, aż przyjemnie było patrzeć na jej świeżą zieleń, za to

z jęczmieniem – bieda. Coś tam bojaźliwie puszczało kielki, ale tak karłowate i rachityczne, że pożał się Boże.

Zastanawiałem się, czy rozdmuchać ogień. Najpewniej byłoby obyć się całkowicie bez ogniska. Mimo to roznieciłem je, ale maleńkie, żeby prawie żadnego nie tworzyło dymu. Smażenie zajączka na drewnianym rożnie trwało dłużej niż zazwyczaj, przecież w końcu mięso dobrze się zarumieniło i było smaczne.

Dzień zeszedł na zwykłych czynnościach, jenom pilnie zważał na zachowanie wszelkich środków ostrożności. Ani razu nie wyszedłem na otwarte miejsce poza krzewy, gdzie by łatwo było dostrzec mnie z daleka. Pozornie byłem spokojny, za to w mej pobudzonej głowie ile natłukło się planów i domysłów, ile wrzało zamierzeń i wątpliwości! Jedno tylko wiedziałem: nie wolno mi było zwlekać ani wahać się; należało jak najszybciej przekonać się o zamysłach odkrytych ludzi i jeśli to wrogowie, zniszczyć ich. W przeciwnym razie oni mogli uprzedzić mnie w jaskini i zarżnąć jak królika w norze.

Ale co miałem czynić? Jak do nich się dorwać?

Czwartego dnia po pamiętnej wycieczce na południe wyspy, na długo przed świtem, wyruszyłem tam jeszcze raz z postanowieniem ostatecznego starcia się z ludźmi. Szukałem ich przez kilka godzin w sąsiedztwie zatoki, nad którą ich widziałem. Daremnie. Ze starych śladów niewielem wyczytał, a świeże były widocznie zatarte. Ludzi nie było w okolicy, poszli gdzie indziej. Dokąd? Czyżby udali się w inną stronę wyspy, dalej na zachód? Może posiadając łódź odpłynęli na stały ląd na południu? Najmniejszego nie miałem pojęcia o ich zamiarach i to mnie okrutnie nękało. A może w mej nieobecności odkryli już jaskinię i zaczaiwszy się w jej pobliżu,

czekali teraz na mój powrót?

Raptem owładnęła mną gwałtowna, niewytłumaczona trwoga. Dziwaczny popłoch nerwów. Podczas zbliżania się do jaskini nie szedłem do niej wprost, lecz przezornie zatoczyłem wielkie koło. Wyostrzonym wzrokiem przebijałem wszystkie krzaki, badałem każdy sążeń ziemi. Nie, śladów obcych nie znalazłem. Okolica była czysta.

Na noc jaskinię zatarasowałem głazami szczelniej niż do tej pory. Wąski otwór, pozostawiony nad kamiennym wałem, umożliwiał mi ogarnięcie wzrokiem całej polany z papuzią klatką i zajęczym dołem w pośrodku. Zapadał zmierzch na dworze.

Nie ma ich w pobliżu! – pomyślałem z ulgą, zamknięty w jaskini, gdzie czułem się jako tako bezpiecznie.

Ale na jak długo ten spokój? – powstało zaraz pytanie. – Dopóki oni żyją na wyspie, nie spocziesz ani chwili.

Na wspomnienie dzisiejszej chybionej wyprawy naszła mnie od nowa troska.

Gdzie ich szukać? Gdzie ich szukać? Jak ich dostać? – powtarzałem sobie.

Nieuchwytność grożącego nie wiadomo z której strony niebezpieczeństwa była nad wyraz przygnębiająca.

Dwa dni później, w połowie nocy, zerwałem się ze snu. Zbudziły mnie niezwykle odgłosy na dworze: wrzask przerażonych papug i trzask gałęzi. W mgnieniu wytrzeźwiałem. Czy to mi się tylko wydawało, że usłyszałem stłumiony okrzyk człowieka? Wyjrząwszy przez lukę spostrzegłem nad zajęczym dołem niewyraźny, podejrzany ruch. Omackiem chwyciłem leżącą obok mnie palkę – łuku w pośpiechu nie mogłem znaleźć – i potężnym pchnięciem rozwalilem kamienny wał. Wyskoczyłem na dwór.

Ktoś – człowiek czy zwierz – wpadł do zajęczego dołu i teraz rozpaczliwe czynił wysiłki wydobycia się. Był już u góry, na powierzchni ziemi. Człowiek! Dopadłem go, w chwili gdy wspiął się, by dać susa w stronę gąszczy. Uderzeniem maczugą w łeb powaliłem go na ziemię.

Wtem targnął mnie ostry ból w lewym ramieniu. Strzała z łuku przeszła mi mięśnie. Chciałem drugim ciosem zdruzgotać leżącemu głowę, ale nie miał już na to czasu: obawiałem się następnej, celniejszej strzały. Więc błyskawicznie porwałem nieprzytomnego za nogę i co sił zawlokłem go do jaskini. Powiodło się. Wejście śpiesznie zatkałem kamieniami.* Znalazionymi po ciemku kawałkami lian związałem jeńcowi ręce i nogi, potem zabrałem się do bandażowania sobie rany. Użyłem do tego starej koszuli. Na szczęście rana nie była groźna, krew łatwo dała się zatrzymać. Wciąż zerkalem przez szparę w kamieniach, czy drugi przeciwnik nie rzuci się na jaskinię. Ale cisza zalegała polanę.

Pelzły godziny na męczącym czuwaniu. Jeśli jeńiec żył, z pewnością odzyskał przytomność,

jakkolwiek zrazu niczym się nie zdradzał.

Byłem w dziwnym położeniu. Zdoylem jeńca, to prawda, ale jaka z tego korzyść? Drugi przeciwnik, czyhający na dworze w sąsiednim gąszczu, miał mnie zupełnie w ręku i w razie mej próby wyjścia z jaskini mógł mnie łąco zastrzelić. W pieczarze nie przechowywałem nic do jedzenia.

Pomimo że na dworze świtało, ciemności wewnątrz panowały egipskie. Jeszczem nie wiedział, z kim miałem do czynienia. Staralem się kilka razy wszcząć rozmowę z jeńcem – po angielsku, ma się rozumieć, bom inszego języka nie znał prócz nielicznych słów polskich – aleć on nic nie odpowiadał, lubo żył. Słyszałem jego oddech.

Na świecie zrobiło się zupełnie jasno, zanim w jaskini mrok powoli zrzedniał. Łatwo się domyślić, jaka paliła mnie ciekawość. W końcu rozpoznałem rysy jeńca i – nie potrafilem powstrzymać okrzyku zdumienia:

–To ty?...

Był to ów młody Indianin-niewolnik, który z woli kapitana miał umrzeć powolną śmiercią, uwiązany do masztu na „Dobrej Nadziei”. Nie mogłem przypomnieć sobie, jak go nazywali.

–Czekaj no... Jak ci na imię? – spytałem.

Chłopak milczał patrząc sztywno w sklepienie jaskini. Wiedziałem, że od kilku lat był w niewoli u białych i nieźle władał językiem angielskim.

–Słuchaj ty! – przemówilem twardszym głosem. – Spójrz

mi w oczy! Czy mnie słyszysz?

On nic. Zdrową, prawą ręką chwycilem jego głowę i szorstko przegiałem twarz w moją stronę.

–Boli... – sarknął szeptem.

Widocznie dotknąłem części głowy uderzonej pałą. Sam temu winien, że mu sprawilem ból.

–Nie bądź uparty! – ostrzegłem go. – Jesteś w mojej mocy! Nic ci nie zrobię złego, jeśli mnie do tego nie doprowadzisz... Jak ci na imię? – zapytałem powtórnie, tym razem łagodniej.

–Arnak – wymamrotał półgębkiem.

–Racja, przypominam sobie: Arnak! Tak ci rzeczywiście na

imię. A ten drugi, który jest z tobą – wskazałem ruchem głowy na dwór – to kto?

Milczenie. Chłopak odwrócił twarz ode mnie i wzrok utkwil w kąt jaskini.

–To kto? – warknąłem niecierpliwie.

Nic nie odpowiedział.

–Na mnie patrz! – huknąłem i gwałtownym ruchem zbliżyłem się do niego.

Myślał, że go uderzę. Twarz posłusznie skierował ku mnie. Miał niepokój w oczach, niepokój i lęk, ale także i upór.

–Nie bij, panie!... – rzekł ni to błagalnie, ni wyzywająco.

Przypomniałem sobie, jak nasz okrutny kapitan znęcał się nad chłopakiem.

–Arnak! – odezwałem się mniej surowym głosem. – Mówiłem ci już, że nie dotknę ciebie, jeśli nie rozgniewasz mnie swoim zachowaniem. Bądź rozsądny i odpowiadaj mi jak należy. Więc kto jest ten drugi?

–Wagura.

–Indianin?

Chłopak kiwnął potakująco głową.

–Czy to ten młodszy twój przyjaciel z naszego okrętu?

–Tak, panie.

–Jakście się uratowali?

–Płynęliśmy. Woda wyniosła.

–A oprócz was kto ocalał?

Arnak ponownie zawahał się. Oczy jego nieznacznie zamigotały. Zmrużył powieki, ażeby nie zauważył jego zmieszania.

–Kto jeszcze ocalał? – nalegałem.

–On – szepnął chwiejnie. – Ale... Znów przerwa.

–Ale co?

–Ale... nie żyje.

Domyślałem się, że mówi o kapitanie. Unikałem rozmowy o drażliwej sprawie, ażeby nie płoszyć młodego Indianina. Wyjaśnienie tych wypadków odkładałem na dogodniejszą chwilę. Ważniejsza na razie była inna sprawa.

–I kto jeszcze wyszedł z okrętu?

–Nikt, panie.

–A na wyspie tubylcy są?

–Nie, panie.

–Jesteś pewny, że to bezludna wyspa?

–Tak, panie.

Wiadomości były pocieszające. Wierzyłem w ich prawdziwość, bom sam poniekąd doszedł już do tego samego wniosku. Żał mi było poczciwego Williama, alem ani odrobiny nie żałował śmierci reszty załogi. Była to banda typów spod ciemnej gwiazdy, na okręcie trzymana w ryzach brutalną pięścią kapitana, za to na lądzie, na swobodzie, zdolna z pewnością do każdej najohydniej-szej zbrodni. Na bezludnej wyspie współzycie z nią byłoby niemożliwe.

A otom znalazł się w obliczu nowego zagadnienia. Powstała sprawa dwóch młodych Indian. Jakimi oni w rzeczywistości byli, nie miałem najmniejszego pojęcia. Znosili od lat niewolę, katowano ich nieludzko, dziczeli pod nikczemnym panem. W takich warunkach, wypaczających charakter, niewiele dobrego należało po nich się spodziewać. Podstępność, przebiegłość, zdradliwość, krwiożerczość – właściwości ogólnie przez kolonistów przypisywane czerwonoskórym – w duszach dwóch gnębionych chłopaków niewątpliwie rozwinęły się do potęgi.

O Indianach miałem wyrobione zdanie. Z czasów mej najwcześniejszej młodości doskonale pamiętałem opowiadania o zaciętych walkach z czerwonymi wojownikami, a lubo dawno ich już wytępiono w Wirginii, to straszliwe wieści dochodziły nas bezustannie z dalszych kresów zachodnich.

W tradycje mej rodziny wplatały się liczne krwawe nici wojen indiańskich. Pradziadek mój, tego samego co i ja imienia, Jan Bober, w kilkanaście lat po przybyciu na ziemię amerykańską uszedł śmierci całkiem przypadkowo, gdy Indianie z nienacka napadli na wszystkie osiedla angielskie i w pień wycięli większość ich mieszkańców.

Ojciec mój, Tomasz Bober, mając niespełna lat dwadzieścia, należał do ochotników słynnego Bacona, który z plemion indiańskich oczyścił całą dolinę rzeki Susquehanna. Pamiętałem, jak przejmująco opowiadał ojciec o napaści dzikich na rodzinę angielskiego pioniera, który zbyt daleko osiedlił się w lasach, z ubocza od swoich. W następnych dniach dosięgnął Indian nieubłagany odwet. Oddział mścicieli, wśród których był i mój ojciec, nie spoczął dopóty, dopóki

nie wybił do nogi wszystkich czerwonoskórych, którzy przebywali na dziesiątki mil dokoła, wszystkich do niemowląt włącznie. Opowieść ta, słyszana po raz pierwszy, gdy miałem kilka lat, niezatarte wywarła na mnie wrażenie i przejęła mnie trwałą niechęcią do Indian...

–Dlaczegoś chciał mnie zabić? – zapytałem Arnaka.

Chłopak, nie rozumiejąc znaczenia słów, spojrzał na mnie pyta

jącym wzrokiem.

–Tam, na południowym wybrzeżu, kilka dni temu strzeliłeś do mnie z łuku – wyjaśniłem.

–Nie ja – odparł cicho. – Wagura.

–Czemu strzelał?

–Boś biały, panie.

Ot, ich wdzięczność! – pomyślałem cierpko, z goryczą. – Za to, że na okręcie okazał serce Indianinowi – mordercza strzała z ukrycia. Czy to dostateczny powód do zabicia mnie, że biały? Czy biały równy białemu? Czy wszyscy są jak ów bydlęcy kapitan?

Ale za chwilę przysłała mi do głowy inna, rozumniejsza myśl:

A może tych chłopców doprowadzono do takiego stanu, że już nie umieją odróżnić białego od białego i wszystkich poczytują za skończonych okrutników?

Arnak, jak gdyby zgadując tok mych rozważań, usprawiedliwiał mrukliwie:

–Wagura młody... porywczy.

Roztrząsałem sprawę dalej: na okręcie kaperskim starałem się przynieść ulgę młodemu Indianinowi, ale czy powodowały mną wyłącznie pobudki miłości do bliźniego? Nie. Kierowała mną także zadraśnięta duma kresowca, urażonego pogardliwą dla nas wszystkich, nie krępującą się nikim bezczelnością okrętowego tyra. Więc zasługi moje wobec chłopaków indiańskich nie były tak czyste i tak wielkie, by mieć do Arnaka i Wagury szczególny żal za tę strzałę.. Promień wschodzącego słońca przedarł się do jaskini przez dziurę w kamiennym wale. Czas uchodził. Należało rozstrzygnąć niejasne położenie, w energiczne ująć ręce bieg zdarzeń.

–Arnak! – odezwałem się do Indianina. – Gdyś stał przy

maszcie uwiązany, kto ci nocą dał wody do picia?

Chłopak wlepił we mnie badawcze spojrzenie, lecz nie odpowiadał.

–No, nie przypominasz sobie? – niecierpliwiłem się jego ponownym uporem.

–Przypominam – wykrztusił z cicha.

–Więc kto? – Ty, panie.

–A wiesz, co z tego potem wynikło?

Nie rozumiał należycie pytania. Staralem się ująć je innymi słowami:

–Następnego dnia była zbiórka załogi na pokładzie. Niedaleko twego masztu, więc chyba zauważyłeś?

–Zauważyłem.

–Kogo chciał kapitan zabić za to, że ci pomagał?

–Ciebie, panie.

–Widzisz, dobrze sobie przypominasz. A kto ci rozciął więzy podczas burzy, na krótko przed rozbiciem się okrętu?

–Ty, panie? – wyrwało mu się ze zdumieniem.

–Tak, ja.

–Nie wiedziałem... – szepnął.

Arnakowi zatrzepotały powieki z zakłopotania. Widziałem, że był poruszony.

–A wy – stwierdziłem głosem pełnym wyrzutu – wy chce

liście zabić mnie z łuku?

Chłopak, wyraźnie zmieszany, zdawał sobie sprawę z niewłaściwości swego postępowania. Więc młody dzikus jednak nie był całkiem tępy, miał poczucie popełnionego wobec mnie błędu. Co więcej, nie uszło mej uwagi, że chciał wyjaśnić, załagodzić przykre zdarzenie, chciał jakoś dowieść dobrej woli, ale nie wiedział, jak to uczynić. W końcu na me pytanie, dlaczego do mnie strzelali, jako uniewinnienie powtórzył to samo, com przedtem już słyszał:

–Boś biały, panie!

Czyjaż to było winą, że owi dzicy tak szkaradne wyrobili sobie mniemanie o nas, białych? Może winą nie ich, ale samych białych?

Schyliłem się nad nim i cięciem noża uwolniłem go od więzów.

–Jesteś wolny! Wyjdź!

Rozcierając zgrabiałe nogi i ręce nie spuszczał ze mnie osłupiałego spojrzenia. Półkał ślinę, jak gdyby zaschło mu w gardle.:- Jesteś głodny – zauważyłem przyjaznym głosem.

–Tak, panie, jestem.

–Odsuńmy kamienie u wejścia. Ty wyjdiesz pierwszy. A Wagurze nagadaj, żeby strzały schował sobie na lepszą sposobność... Zrobimy śniadanie z dwóch zajączków. Skoczcie do zarośli po chrust na ognisko...

Raz dwa poszło odkładanie kamieni. Arnak pośpiesznie opuścił jaskinię i z gromkim okrzykiem pobiegł w krzewy. Zebrałem luk i strzały, ująłem pałkę, namacałem nóż u pasa i powoli wyszedłem za chłopcem na dwór. Musiałem zmrużyć oczy przed natarczywą jasnością dnia. Stałem pośrodku polany, na pół ośleplym wzrokiem przeszywając otaczające mnie zarośla. Nikogo tam nie było, nic się nie ruszało. Arnak przepadł jak kamień w wodzie.

Przystąpiłem powoli do ogniska i klęknąłem obok niego. Odłożywszy broń pod bok zacząłem rozdmuchiwać popiół, gorący jeszcze od wczorajszego wieczora. Byłem cały odsłonięty; nic prostszego – niż wpakować we mnie celną strzałę z pobliskich gąszczy. Wysilając się nad ogniskiem, miałem otoczenie pod czujnym okiem, gotowy do natychmiastowego chwycenia za broń i odparcia ataku. Lecz nic się nie działo.

Gdy pierwsze iskry zaczęły tlić się w popiele, usłyszałem w kniei skrzypy i trzaski zbliżających się chłopców. Dźwigali moc suchych gałęzi. Za Arnakiem szedł chyłkiem Wagura. Szesnastoletni młokos nie ukrywał swego lęku. Patrzył na mnie, jak gdybym chciał go pożreć.

Ale na trwożne ani na zdrożne uczucia nie było czasu. Objąwszy komendę nad przygotowaniem do śniadania, rażno popędzałem Indian do roboty. Ileż było krzątania się! Rozniecić i utrzymać ogień, wyciągnąć z dołu zajączki i zabić je, przynieść z rzeczki wody w tykwie, ostrugać dwa patyki na rożny.

–Na, masz! – zawołałem do Arnaka i rzuciłem mu do garści

nóż.

Chłopak nie na żarty przeraził się, gdy uchwycił broń i trzymał ją w dłoni. Zaśmiałem się z jego niemądrej miny i wytłumaczyłem mu, o co chodzi:

–Skocz no do lasu wyszukać dwie proste gałęzie i przystruż

je. Upieczemy na nich zajączki!...

Zrozumiał moje do niego zaufanie. Uradował się. Ujrzałem na jego twarzy niby ślad uśmiechu. Popędził do kniei. Gdy wrócił z kijami, natychmiast oddał mi nóż.

13. „Jam nie Piętaszek”

Zacząłem się życie we trójkę. Nie znając usposobienia młodych towarzyszy doli, nie mając w ogólności o Indianach zbyt pochlebnego zdania, trzymałem ich możliwie z daleka od siebie. Kazałem im zbudować tuż obok mej pieczary, o kilkanaście od niej kroków, szałas, w którym spali w nocy: za mało im dowierzałem, by pochopnie wpuszczać ich do jaskini. Zresztą sami Indianie podobną okazywali wobec mnie przezorność i woleli spać na dworze.

Więcej było teraz w moim gospodarstwie gęb do- wyżywienia, ale też nieporównanie łatwiej zdobywaliśmy obecnie pokarm i w ogóle wszelaką pokonywali robotę. Miałem z obydwóch niezłą wyrękę. Dobrze strzelali z łuku. Arnak prawie nigdy nie chybiał. Znali gatunki lian znacznie podatniejsze do cięciw i do wiązania niż używane przezemnie do tej pory. Zapoznałem ich dokładnie z terenami dookoła Jeziora Obfitości i posyłałem samych na polowanie. Uczylem ich zakładania pułapek na zwierzynę sposobem wirginijskim, podczas gdy ja przyswajałem sobie niektóre ich zwyczaje myśliwskie.

Znaczne korzyści przynosiła mi ich świetna znajomość roślin na wyspie. Zaraz pierwszego dnia Arnak wyszukał w gąszczu grube liście jakiegoś rodzaju agawy, które przyłożone do mego ramienia, zdumiewająco szybko wyleczyły ranę od strzały.

Wzbogaciła się walnie nasza kuchnia. Chłopcy znali wiele dziko rosnących jarzyn i jadalnych korzeni. Kokosów nie było nam już brak: zwinne młodziki wlażyły na najwyższe palmy i strącały owoce.

Niezwykłe ich obycie z tutejszą roślinnością niezbicie świadczyło o tym, że pochodzą z okolic nie bardzo odległych od mej wyspy. W jednym z pierwszych dni zgadało się o tej rzeczy tak ważkiej dla mnie, bom ani na chwilę nie przestawał rozważać możliwości wyswobodzenia się z wyspy. Powiedzieli mi, że ich naród nazywano Arawakami i że zamieszkiwał wybrzeże stałego lądu. Wieś, w której żyli chłopcy, była nad otwartym morzem.

–Stalego lądu? – zastanawiałem się. – A czy znacie wielką rzekę, którą Hiszpanie nazywają Orinoko?

–Słyszałem o niej – odrzekł Arnak. – Tam u ujścia tej rzeki żyją Indianie Guarauno, nasi wrogowie.

–Jeśli to wrogowie, to niedaleko was?

–Daleko, panie. Nasi wojownicy płynęli na łodziach brzegiem morza tyle dni, ile palców na dwóch rękach, zanim docierali do chat Guaraunów.

–Czy wiesz, w jakim kierunku płynęli wojownicy?

–Wiem, panie. W kierunku wschodzącego słońca, ale po drodze musieli przepływać przez

wielką zatokę.

Wynikałoby z tego wniosek, że ojczyzna chłopaków była na zachód od ujścia rzeki Orinoko.

Jasne, rzeczowe odpowiedzi Arnaka podobały mi się. Z przyjemnością spoglądałem na jego ciemnobrązową twarz, której regularne rysy, nie pozbawione swoistego powabu, znamionowały; istotę bądź co bądź myślącą. Miał wąskie, nieco zaciśnięte usta, prosty, zgrabny nos i wielkie, czarne, marzące oczy. Wismuklej raczej postaci, odznaczał się znamieną dla wielu Indian zadumą, w przeciwieństwie do młodszego Wagury, który po kilku dniach, przywyklszy do mnie, stracił swą pierwotną lękliwość i często głośnym wybuchał śmiechem. Wagura, młokos krępy, o mięsistych ustach, szerokich nozdrzach i żywym usposobieniu, właściwie brzydki, przedstawiał całkiem odmienny typ niż jego starszy towarzysz, chociaż z tej samej pochodził wsi.

Na okręcie znalazłem ich jako przerażone, zdeptane, ogłupiałe od nieustannych tortur zwierzątka. Z tego haniebnego okresu nosili na sobie niezatarte ślady: ciała pokrywały głębokie blizny po zadanych im ranach, uszy ich były poszarpane, Wagurze całą lewą małżowinę odcięto. Długie, czarne włosy na szczęście zakrywały im częściowo te zeszpecenia. Z tamtych czasów pozostał im w duszy ciężki uraz, wszakże każdy dzień na swobodzie rozpraszał coraz bardziej ich przygnębienie. Wciąż tkwiła w nich stała nieufność do wszystkiego, co ich otaczało, ale poza tym jakże zmienili się na wolności.

Chłopcy dostali się do niewoli przed czterema laty, jak wywnioskowałem z ich opowiadań. Arnak był wtedy w wieku Wagury, a przez cztery lata wiele szczegółów mogło być zatrzeć się w jego pamięci. Zwróciłem mu na to uwagę wysuwając wątpliwość, czy ściśle są jego wiadomości.

–Pamiętam – zapewnił Indianin z niezachwianą powagą – pamiętam wszystko dokładnie z tamtych czasów.

–A czy w pobliżu waszych siedzib nie ma jakichś wysp?

–W pobliżu nie ma. Morze przed nami ciągnęło się wielkie, na wiele dni kanoem, bez wysp.

–Morze Karaibskie zasiane jest różnymi wyspami – powątpiewałem. – A wasze morze jest bez wysp?

–Tak, panie.

Wielka szkoda, że tak kiepsko znał geografie tych okolic. Ze słów Arnaka niezbyt jasny miałem obraz, ale nie dałem za wygraną.

–I żadnych wysp nie znaliście w waszej wiosce, nawet ze słyszenia?

–Oo, słyszeliśmy, panie. Jest taka wyspa, na której mieszkają źli ludzie. Hiszpanie. To oni

napadli na naszą wieś i porwali nas do niewoli. Potrzebują wielu niewolników, bo tam w morzu łowią perły. Niewolnicy nurkują...

–A jakimże sposobem dostałeś się na nasz angielski okręt „Dobrą Nadzieję”, skoroś – jak powiadasz – był w rękach Hiszpanów.

–Anglicy napadli na statek hiszpański i odebrali wszystkich jeńców.

–Czy przypominasz sobie, jak nazywa się ta wyspa, gdzie perły i źli ludzie?

Arnak pogadał chwilę z Wagura po arawasku, potem wyjaśnił:

–Margarita, panie.

Nazwa ta obijała mi się nieraz o uszy na okręcie kaperskim. Wyspa leżała o kilkaset mil na zachód od ujścia Orinoko i od wyspy Trynidad. Znalіśmy na okręcie jej bogactwo i ostrzyli sobie na nią apetyt. W jej pobliżu można było złapać niejeden hiszpański statek z sutym łupem.

–Czy daleko była ta wyspa od waszej wsi?

–Kilka dni szybkim kanoem.

–W jakim kierunku?

–W kierunku zachodzącego słońca.

Zacęło mi się rozjaśniać w głowie. Wieś chłopców leżała na stałym lądzie, w połowie mniej więcej drogi między ujściem Orinoka a ową wyspą Margarita.

–To wielka wyspa? – spytałem.

–Mówią, że dość wielka – odparł Arnak.

Błysnęła mi myśl, czy czasem zarysy rozległej wyspy, widocznej z mego wzgórza na północy, nie były zarysami Margarity.

–Czy zauważyliście wyspę na północy? – zagadnąłem Indian.

–Tak, panie.

–Czy myślicie, że to Margarita?

W oczach chłopców spostrzegłem niepokój. Samo przypuszczenie, że tak blisko mogliby mieszkać owi „źli ludzie”, już napędzało im trwogi.

–Nie wiemy, panie – odburknął Arnak. – Nie wiemy...

–A na południu od nas – to wyspa?

–To nie wyspa, panie – żywo zaprzeczył chłopak.

–Nie wyspa?

–Nie. To stały ląd.

–Skąd ta pewność?

Chłopcy byli bardzo pewni, że to stały ląd, i to pewni z różnych oznak, a przede wszystkim dlatego, że od czasu do czasu przebywał na naszej wyspie groźny pan puszczy amerykańskiej, jaguar. Jaguary żyją tylko na stałym lądzie, na wyspach ich nie ma. Więc jeśli jaguar tu się pojawił, to przepływał przez cieśninę z południa, o czym świadczyły ślady na brzegu i co nawet sami raz widzieli.

–Przeplwał? Taki szmat wody? – wtrąciłem niedowierzająco.

–Przeplwał, panie. Widzieliśmy na własne oczy. Jaguary – straszne pływaki...

–I po co by tu przyplwał?

–Na zachodnim brzegu wyspy wiele, wiele żółwi. Jaguar lubi jeść żółwie.

Indianie słynęli jako wytrawni znawcy tajemnic przyrody i natury zwierząt. Niewątpliwie spostrzeżenia chłopaków były ściśle, ich wniosek – słuszny.

–A jeśli to stały ląd – zauważyłem – to czemuście nie przepłynęli cieśniny, by dostać się do swoich?

–Próbowaliśmy, panie, tratwą – świadczył Arnak. – W cieśninie silny prąd. Wypchnął nas na pełne morze. Tu potrzeba łodzi i dobrych wiosł...

Ongiś, owego dnia, gdy z bliska oglądałem cieśninę, to samo sobie pomyślałem. Lecz czym tu zbudować łódź, jeśli posiadaliśmy tylko jedno narzędzie, nóż myśliwski?

Mając teraz więcej swobody zabrałem się do garncarstwa. Przy ognisku mogliśmy piec na różnie, natomiast nie mogliśmy gotować z braku garnków. Szczep Arawaków znalazł sztukę wyrabiania naczyń z gliny palonej. Przy wydajnej pomocy chłopaków wkrótce otrzymałem niezłe wyniki. W pobliżu Jeziora Obfitości znaleźliśmy zdatną glinę, obok mej jaskini zbudowaliśmy z kamieni piec. Zaczęliśmy lepić i wypalać. Przypomniałem sobie z książki, jak przy tej pracy męczył się Robinson Kruzo. I nam nie udawało się od pierwszego razu; garnki z początku pękały, ale jakoś to poszło.

Możliwość gotowania potraw bardzo nam się przydała. Mięso w różny sposób teraz przyrządzane lepiej smakowało, a niektóre jarzyny, jakie chłopcy znosili, szczególnie wszelkie

korzenie, jedynie w gotowanym należało spożywać stanie.

Wspomnienie Robinsona Kruzoa przywiodło mi na pamięć różne jego przypadki, a zwłaszcza jego przeżycia z Piętaszkiem, przeciw Indianinem, tak samo jak Arnak i Wagura. Robinson nie żywił do czerwonoskórych tego uprzedzenia, jakie żywiłem ja, urodzony na kresach lasów wirginijskich, człowiek walki, więc jemu łatwo przyszło pokochać swego Piętaszka, jak dobry patriarcha kocha swego oddanego sługę. Ale też i Piętaszek był całkiem inny niż moi młodzi towarzysze. Jak się cieszył, że mógł służyć swemu dobrodziejowi; z jaką rozkoszą kładł jego nogę na swym karku na znak poddaństwa; jakim nieustannym, podnieconym szczęściem napawała go radość wiernego służenia swemu panu aż do ostatniego tchu!

Urzekająca wizja tak pocziwego, szlachetnego dzikusia nie dawała mi teraz spokoju i czasem, w chwilach wytchnienia, pobudzała we mnie dziwne, acz niedorzeczne – przyznam się – marzenia. Moi towarzysze nie umieli wprawiać się w zachwyty tak jak Piętaszek, nie mieli głośnych, dziecięcych wybuchów, szczególnie Arnak był opanowany, ale pracę zawsze wykonywali chętnie, co prawda bez uniesienia i pośpiechu, wszakże i bez ociągania się. Gdyby – kusiała mnie myśl – gdyby z tych dwóch zrobić sobie takich nowych Piętaszków? Gdyby obrobić ich, przerobić w gorliwych, oddanych mi do ostatniego tchnienia sługusów, którzy przez całe życie towarzyszyliby swemu panu wszędzie jak cienie, jak nieodstępne wyżły, nawet w lasach Wirginii czy Pensylwanii?

Ja byłem biały, oni Indianie. Utartym w tych stronach Ameryki zwyczajem mógłbym brutalnie narzucić im niewolę i uczynić z nich swych niewolników. Tego nie chciałem zrobić. Raczej woląłem wpoić im ideał służenia, iżby sami poszli za mną, ich panem, jak w dym, szczęśliwi na wzór Piętaszka. Opętała mnie myśl, że warto było pokusić się o to samo, co tak dobrze udało się Robinsonowi.

Do sprawy zabrałem się z chytryością człowieka, który jasny wytknął sobie cel i krętą do niego zmierza ścieżką.

Pewnego dnia o zachodzie słońca siedzieliśmy dokoła ogniska, syci spożytą wieczerzą i zadowoleni z siebie.

–Opowiem wam – odezwałem się do chłopców – niezwykle dzieje człowieka, Anglika, jak ja, który kilkadziesiąt lat temu jako rozbitek przeżył połowę swego życia na bezludnej wyspie, gdzieś tu w naszej okolicy... Czy chcecie posłuchać?

Chcieli posłuchać, a Arnak zapytał:

–Na bezludnej wyspie – to tutaj, na tej naszej?

–Nie- odrzekłem – bo tamta wyspa, pierwotnie bezludna, później zaludniła się angielskimi i hiszpańskimi kolonistami... Rozbitek nazywał się Robinson Kruzoa...

I najprostszymi słowy opisałem im dzieje rozbitka, jak je znałem z książki. Kiedym doszedł do

przybycia ludożerców na wyspę, dokładniej rozważałem się nad oswobodzeniem Piętaszka, nad jego niepomierną wdzięcznością, jego chwalebny przywiązaniem do Robinsona. Najcieplejsze słowa poświęciłem jego wiernej, dożgonnej służbie swemu panu, służbie, którą Piętaszek uważał za swe największe szczęście życiowe, tak wielkie, że innego nie chciał zaznać.

Chłopcy słuchali z ogromnym zaciekawieniem, była to wszakże historia i niezmiernie zajmująca, i rozgrywała się tuż w pobliżu ich ojczyzny, i dotyczyła rówieśnika, wiekiem i pochodzeniem bardzo do nich samych podobnego. Arnak miał, jak zwykle, twarz niewzruszoną i oczy spokojne, ale w tych oczach tliła się iskra, jakiej dotychczas w niej nie było.

–Ciekawa historia, prawda? – przerwałem długie milczenie,

jakie przy ognisku zapanowało, gdym skończył opowiadać.

Skinieniem głowy przyznali mi słuszność.

–Ów Piętaszek – ciągnąłem – doświadczył wielkiej rado

ści życia, że mógł tak pięknie przysłużyć się swemu panu. Dni

upływały mu, jak to się mówi, na kwiatach. Wiele ludzi chcia

łoby być na jego miejscu i zazdrościliby mu szczęśliwości, ja

kiej zażywał...

Chłopcy milczeli zapatrzeni sztywno w ognisko. Mieli niewyraźne jakieś miny.

–Czy nie podzielacie mego zdania? – zapytałem zdziwiony. Po chwili Arnak bąknął pod nosem:

–Nie, panie.

–Nie?!

–Nie – powtórzył Arnak i spojrzał na mnie lękliwie.

–To chyba nie zrozumiałeś mego opowiadania?

–Zrozumiałem.

–I nie myślisz, że Piętaszek był szczęśliwy?

–Nie myślę, panie...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się stropił. Obawiał się mego gniewu.

–Powiedz szczerze, co masz na myśli – zachęciłem go życzliwie.

–Piętaszek – oświadczył Arnak – Piętaszek był niewolnikiem pana Robinsona...

Przyznam się, że w pierwszej chwili osłupiał.

–Niewolnikiem?

–Tak, panie. Biednym niewolnikiem.

Zacząłem odgadywać drogi myślenia Arnaka. Znałem nieźle życie i obyczaje Indian północnoamerykańskich i to mi teraz pomogło wniknąć łatwiej w świat pojęć mych towarzyszy.

Pierwotne, na pół dzikie plemiona indiańskie, a tym samym z pewnością i Arawakowie, tworzyły luźne społeczności ludzi wolnych, spełniających tylko najprostsze czynności dla utrzymania życia, słowem, nie znających owych złożonych form pracy i zależności jednych od drugich, które cechują nasze społeczeństwa ludzi cywilizowanych. Indianie zdobywali jeńców na wojnie, owszem, ale po to, ażeby wcielić ich do swego szczepu na prawach równych z równymi albo zabić dla jakowychś ciemnych obrzędów religijnych. Niewolnictwo – przynajmniej tego rodzaju co nasze – o ile mi wiadomo, u nich nie istniało, zaprowadzili je w Ameryce dopiero Europejczycy, i to najbrutalniejszym sposobem, na swych plantacjach i w kopalniach. U Indian nie istniała również żadna inna służba pracy, dobrowolna czy przymusowa, toteż dla Arnaka i Wagury stosunek oddanego duszą i ciałem Piętaszka-sługi do Robinsona był czymś zgoła niepojętym, niewyobrażalnym. Jeśli Piętaszek pracował przez całe życie dla Robinsona, to był niewolnikiem białego pana – w prostym rozumieniu mych młodych towarzyszy – a jeśli przy tym jeszcze się radował, to był niespełna rozumu.

Zdałem sobie sprawę, że chcąc dobić do celu i wdrożyć młodych Indian do roli Piętaszków, będę musiał przelamywać niejedne opory, ale to mnie nie odstraszało. Przeciwnie, wzbierało we mnie zniecierpliwienie. Może odzywała się znowu duma nieodrodnego Wirginijczyka. Górowałem nad młokosami inteligen-

cją, doświadczeniem, wiekiem, krzepą mięśni, już nie mówiąc o przytłaczającej sile mej woli – dlaczego by nie narzucić im swej woli, nie nagiąć ich do swoich potrzeb?

Jeszcze raz przedstawiłem im w ponętnych barwach życie Piętaszka, wykładając jak najprzystępniej różnicę między dobrowolnym sługą a niewolnikiem. Chłopcy słuchali roztargnieni zamknięci w markotnym milczeniu. Kiedy do syta nachwaliłem zalety oddanego Piętaszka, zwróciłem się do Arnaka:

–Wzorem Robinsona Kruzoe nadam ci nowe imię. Od dziś nazywać się będziesz Piętaszkiem.

–Ja Arnak, panie – skromnie odrzekł chłopak, nieznacznie rozweselony. – Arnak, nie Piętaszek!

–Piętaszek! – przemówilem dobitnie. – Dziś umarł Arnak, narodził się Piętaszek..

Spojrzał na mnie uważnie, jak gdyby zbadać pragnął moje zamysły. Po chwili zapewnił mnie z poważnym wyrazem twarzy

–Nie, panie, Arnak żyje!

–Nieprawda! – zaprzeczyłem głośniejszym głosem – Arnak przestał istnieć. Jesteś Piętaszkiem – i koniec!

Chłopak obstając przy swoim wycedził z całym spokojem

–A-r-n-a-k, panie!

Jego niewzruszony upór rozdrażniał mnie. Był dla mnie czymś nowym, niespodziewanym w jego usposobieniu. Skądże brało się tyle nieustępliwości w młodym czerwonoskórym?

Postanowiłem dokonać próby sił, chociażby przyszło mi schłostać go za nieposłuszeństwo.

–Piętaszku! – odezwałem się do Arnaka nakazującym tonem. – Podaj mi tę tykwę z wodą!

Tykwa leżała na ziemi o kilka kroków od ogniska.

Chłopak zgadł, że to wyzwanie. Zamarł w ruchu, powstała w nim chęć przeciwstawienia się. Spojrzał na mnie twardym wzrokiem. Ale niezawodnie odbicie wewnętrznego nastroju, widoczne na mej twarzy, ostrzegało go przed burzą. Zmiękł. Powstał, wolnym krokiem odszedł od ogniska i przyniósł mi tykwę z wodą.

Przyjaźnie uśmiechnąłem się do niego. Popiłem łyk wody.

–Dziękuję ci, przyjacielu Piętaszku! – rzekłem.

Chłopak siadł na swym miejscu obok ogniska. Przyglądał się nerwowo włosy. Patrząc w ogień wyjaśnił mi grzecznie, acz z oględnym naciskiem:

–Arnak przyniósł ci wodę, panie!

A to harda sztuka! – pomyślałem z podziwem, choć brała mnie złość.

Pora dżdżysta mijała, deszcze ustawały. Słońce, które do niedawna w godzinach południowych świeciło na północy, powoli wracało ponad nasze głowy. Skwar z dniem każdym wzrastał straszniejszy. Ciężką pracę wykonywaliśmy tylko rano, od świtu i po południu, aż po mrok.

Pole uprawne, moja chluba, sprawiało mi połowiczną jeno radość. Kukurydza strzeliła tak bujnie i zdrowo, że serce do niej się śmiało, natomiast jęczmień zawiódł do szczytu. Dziwne działy się z nim rzeczy. Nie dość, że wyrastał niemrawo, ale z trudem wydzwignawszy się na lichą stopę, jakby przerażony tym zuchwalstwem, zaczął skręcać się, nikiemnieć, usychać. Nie

miało mu się na życie. Nieodgadnioną pozostawało dla mnie zagadką, że jęczmień Robinsona Kruzoje tak pięknie się pienieł na wyspie i tak obfite wydawał ziarna. U mnie – fiasko. Gorący, tropikalny klimat nie nadawał się do uprawy jęczmienia. Chociaż znalazłem się na rolnictwie tylko w naszej Wirginii, a nie w krajach gorących, przecież jasne dla mnie się stało, że jęczmień, roślina klimatu umiarkowanego, za nic nie znosiła słońca tropikalnego.

Za to moja kukurydza – jak pięknie się rozwijała! Jednak kiedy wyrosła ponad wysokość człowieka i kiedy dojrzewały owoce w postaci kaczanów nabitych dokoła licznymi ziarnami, nieoczekiwane powstały dla nas tarapaty. Wszelkie hultajstwo, ptasie tudzież czworonożne, ostrzyło sobie dzioby i zęby na me pole i żarłocznie wykradało plon. Zastępując się wzajemnie, sprawowaliśmy ścisłą straż od świtu do mroku, a wkrótce przez całą dobę, bo wykryliśmy, że i w nocy schodzili się amatorzy kukurydzianego smakołyku.

Straż odbywałem na równi z Indianami. Pewnego dnia, podczas przypadających na mą wartę godzin, wypadło mi skoczyć do kniei, gdzie ustawiłem nowy rodzaj sideł na zajączki. Arnakowi, który nie miał w tej chwili zajęcia, poleciłem, by mnie zastąpił.

–Piętaszku! – zawołałem. – Muszę iść do sideł w lesie.

Popilnuj tymczasem kukurydzy!

Przekonany, że mnie usłuchał, poszedłem. Po powrocie z kniei zastałem go ku memu osłupieniu w tym samym miejscu, w którym go opuściłem.

–Czemuś nie tam, przy kukurydzy? – oburzyłem się. Obrzucając mnie zawziętym spojrzeniem, nic nie odpowiedział.

–Czy Wagura jest na polu? – spytałem.

–Nie wiem.

–Kukurydza bez dozoru?

–Być może.

Chwycił mnie dziki gniew.

–Co to znaczy? Kazalem ci tam iść!

–Nie, panie.

–Co? Nie? Jeszcze do tego kłamiesz?! – ryknąłem. Zakipiało we mnie. Podniosłem rękę, by grzmotnąć go w. łeb.

Oczekując ciosu ani drgnął.

Nie uderzyłem go. W jego oczach obok zaciętości ujrzałem przerażenie i jakby prośbę. Ręka mi opadła. Była to niema prośba, bym go nie sponiewierał. Opamiętałem się.

–Arnak – oznajmił chłopak przez zdławione gardło – Arnak nie kłamie.

–Nie kłamiesz? – zacisnąłem pięści. – Czy nie kazałem ci pilnować pola?

–Nie, panie. Nie mnie.

–Więc komu, do diabła?

–Piętaszkowi. Potem ciszej dodał:

–Jam nie Piętaszek. Ja Arnak.

Powoli otwierały mi się oczy. Poznawałem zakamarki jego duszy. Nie był to zwykły upór zasępionego Indianina.

14. Bunt młodych Indian

Mijały tygodnie wspólnego życia. Utwierdzałem się coraz silniej w przeświadczeniu, że Indianie nie żywili wrogich względem mnie zamiarów. W każdym razie nie zauważyłem u nich nic podejrzanego. Raczej przeciwnie: to ja w nich budziłem wciąż jakieś obawy. Często chwytalem ich na rzucaniu ku mnie ukradkiem lęklwych spojrzeń. Nie mogłem tego sobie wytłumaczyć, bo współpraca nasza na ogół układała się zgodnie, a ja rychło zaniechałem myśli o nadaniu im innych imion natrafiając na taką ku temu niechęć.

–Czego się boicie? – kiedyś zagadnałem ich bez ogródek.

Spojrzeni na siebie, nic nie odpowiadali. Ich milczenie było

dla mnie dostatecznym dowodem, że m się nie mylił. Zawsze postępowałem z nimi sprawiedliwie, często okazywałem im życzliwość. Więc dziwiłem się ich nieufności.

–Arnak! – domagałem się. – Jesteś starszy i rozumniejszy!

Żądam, żebyś mi powiedział, dlaczego mnie się boicie! Żem biały?

Arnak zwlekał z odpowiedzią. Był zakłopotany.

–Czy przyczyną to, że m biały? – nalegałem.

–Nie to, panie – odrzekł wreszcie. – Nie całkowicie to...

–Więc mówże już jasno, do ciężkiego licha...

–Byłeś na okręcie...

–Na okręcie?

–Tak, panie.

–No i co z tego? Wszakżem na okręcie chciał ci pomóc Czyś już zapomniał o tym?

–Nie, panie. Ale okręt był zły... Napadał na nasze wsie, zabijał Indian, porywał ludzi do niewoli, okrutnie ich katował... Tyś należał do załogi...

–Więc myślisz, że m taki sam złoczyńca i pirat jak tamci inni?

–Nie całkowicie taki sam, ale...

–Ale jednak pirat, co?

–Tak, panie! – odparł Indianin otwarcie.

–Mylisz się, Arnak! Jam nie pirat ani złoczyńca! Przysze-

dłem na okręt kaperski z przymusu, nie z własnej woli... A może boicie się, że was kiedyś sprzedam do niewoli?

–Nie sprzedasz, panie, bo nie zgodzimy się nigdy na to. Będziemy walczyli do upadłego.

–Niepotrzebnie to mówisz, chłopcze. Nigdy do tego nie dojdzie. Nigdy nie użyję wobec was przemocy... Jeśli stąd kiedyś się wydobędziemy – bo przecież raz to nastąpi – to wy popłyniecie do waszej wsi, a ja do mej ojczyzny na północy...

Dla dodania tym słowom mocy, opowiedziałem im w przystępny sposób o moich ostatnich przejściach w Wirginii, tłumacząc, dlaczego znalazłem się niechcący na kaperskim okręcie. Indianie słuchali w wielkim skupieniu, ale gdy skończyłem opowiadanie, z ich zamkniętych twarzy nie mogłem wyczytać, czy rozważałem ich wątpliwości, czy nie. Sądziłem, że raczej tak.

Wieczorami przy ognisku rozmowy nasze często wracały, do tego, jak wyswobodzić się z naszego wyspiarskiego więzienia. Postanowiłem dotrzeć razem z chłopakami do ich wsi rodzinnej, której położenia domyślaliśmy się gdzieś niedaleko na wschód od nas, u wybrzeży stałego lądu. Wiedziałem, że sztorm, zanim rozbił nasz okręt „Dobrą Nadzieję”, dryfował go przez wiele dni na południowy zachód, więc teraz należało szukać na wschodzie zarówno ujścia rzeki Orinoko, jak i wsi rodzinnej moich towarzyszy. A będąc już w tej wsi, łatwiej stamtąd dotarłbym przy pomocy Indian do zamieszkałych przez Anglików Wysp Antyl-skich.

Pewnego dnia udałem się z Arnakiem – Wagura pozostał przy kukurydzy – na południową stronę wyspy, ażeby jeszcze raz obejrzeć cieśninę między nami a stałym lądem. Cieśnina nie była szeroka, miała może osiem, dziewięć mil, ale prąd morski, jak zapewniał Arnak, parł wzdłuż niej nader wartki, od wschodu na zachód, a potem zbaczał na północ, na pełne morze. Ustaliliśmy miejsce, skąd by najlepiej odbić od naszej wyspy, ale na czym?

–W tym sęk, na czym przepłyniemy? – rzekłem głośno,

więcej do siebie niż do towarzysza. – Najpewniej byłoby ło

dzią, ale jak długo przyjdzie nam budować łódź jednym niewiel

kim nożem?

–Wypalić drzewo, panie – podsunął Arnak.

–Wypalić – to też potrwa wiele miesięcy. Myślę, że jeszcze raz spróbujemy tratwą. Co ty na to?

–Wielki prąd... Tratwę zbudujemy mocną i zwinną, a poza tym ustrugamy trzy dobre wiosła. Postawimy żagiel i wyruszymy tylko wtedy, kiedy wiatr zawieje od północy w stronę lądu.

Przezwyćmy wielki prąd.

–Żagiel? – zapytał Indianin.

–Tak, prosty, niewielki żagiel. Brak nam na to płótna, ale od czego mamy hojną przyrodę. Utkamy sobie z cienkich lian szczelną ścianę, która będzie mocna i lekka jak płótno. Pokryjemy ją szerokimi liśćmi – zrobimy żagiel jak się patrzy...

Byłem pełen wiary w powodzenie i wiara ta udzielała się Arnakowi. Przepłynięcie we trójkę cieśniny przy trzech wiosłach i za pomocą prostego żagla wydawało nam się przedsięwzięciem wykonalnym. Nie wątpiłem w rychłe opuszczenie wyspy. Postanowiliśmy przystąpić zaraz po zebraniu kukurydzy do budowy tratwy.

Gdy dotarliśmy do południowego wybrzeża, wcześniej było jeszcze. Do południa brakowało sporo czasu. Dzień, przyprószone chmurami i niezbyt skwarny, pozwalał rażno poruszać się. Więc wzdłuż morza poszliśmy dalej, na zachodnią stronę wyspy, której dotychczas wcale nie znałem. Potwierdziły się opowiadania chłopaków; wiele napotykaliliśmy tu śladów żółwi wychodzących nocą z morza na ląd. Żółwie żerowisko było szczególnie obfite na wysuniętym w morzu cyplu. Tu i owdzie leżały pancerze tych gadów, których na lądzie zaskoczyła śmierć.

–Skorup niemało – zauważyłem. – Ginęły tu gadziny...

–To jego sprawka! – wyjaśnił Arnak. – On lubi żreć żółwie.

–Jaguar?

–Tak jest, panie.

–To rzeczywiście jaguar z łądu przepływa cieśninę, jakeś mi mówił?

–A jakże.

–Pomimo prądu?

–On, widać, mocniejszy niż prąd.

Przetrzęsaliśmy z brzegu gęstwinę, zaczynającą się zaraz za wydmami morskimi i długo nie trwało, a znaleźliśmy żółwia. Okaz średnich rozmiarów, miał jakie pięćdziesiąt funtów wagi. Przewróciliśmy go na grzbiet, zarżnęli i mięso wycięli spomiędzy pancerzy. Obwinawszy je w liście włożyliśmy do dwóch koszyków, jakie nosiliśmy na plecach.

Zanim zabraliśmy się do drogi powrotnej, Arnak w pobliżu dokonał ciekawego odkrycia. Poderwał mnie ostrzegawczym okrzykiem. Szykując luk do strzału pobiegłem w jego kierunku.

–On! – szepnął Indianin wskazując na ziemię.

Wyraźnie rysowały się ślady jaguara, wyciśnięte na piasku

i w trawie. Przyjrzawszy im się dokładniej, zrozumiałem ostrzeżenie Arnaka. Siady były świeże. Jeszcze rano tego dnia grasował tu drapieżnik. Nie ruszając się z miejsca powiedliśmy oczyma po okolicznych zaroślach.

–Uchodźmy stąd, panie! – tchnął mi w ucho towarzysz.

Przejęcie malowało się na jego twarzy, która przybrała oło

wianą barwę.

Niedaleko było do brzegu morza. Kilkanaście susów przez kolczasty gąszcz i już wypadliśmy z zarośli na bezpieczniejsze miejsce. Trzymając się blisko wody rozpoczęliśmy powrót.

–Może spał blisko nas – tłumaczył Arnak nabierając znów zdrowej, brązowej cery.

–Bardzo możliwe! – przyznałem. – Mielibyśmy się z pyszna gdyby go przypadkiem zbudzić.

Spojrzałem na nasze dzidy i luki, które lubo sporządzone ostatnimi czasy z najodpowiedniejszego drzewa, stanowiły jednak niedostateczną broń na tak potężną bestię jak jaguar.

Po kilku godzinach drogi zbliżyliśmy się do znanych okolic w pobliżu naszej jaskini. Gdy przechodziliśmy obok grobu kapitana, zboczyłem o kilkadziesiąt kroków, by dojść do tego miejsca. Arnak nic nie mówiąc kroczył za mną. Grobu nie znalazłem. Deszcze wyrównały ziemię zacierając wszelkie ślady.

–Tu gdzieś leży pochowany – odezwałem się do Indianina

śledząc z ukosa wyraz jego twarzy.

Wiedział, o kim mówię, bo nie pytał się, kto leży pochowany. Nie okazywał żadnego niepokoju ani zmieszania.

–Gzy długo z nim walczyliście? – zagadnąłem go zniecacka. – Nie, panie – odparł spokojnie, patrząc mi prosto w oczy. Po raz pierwszy poczułem podziw dla jego odważnej prawdomówności.

–Kiedyście na niego napadli? – dopytywałem się. – Czy zaraz, gdy wyszedł z wody?

–Nie.

–Powiedz mi, jak to się stało.

Opowieść jego była prosta i wstrząsająca.

Fale wyrwały Arnaka z tonącego statku. Trzymając się ostatkiem sił na powierzchni wody, pomimo burzy dopłynął do wyspy i legł na piasku. Po długiej chwili zobaczył kogoś żywego. Był to Wagura, którego fale również wyrzuciły niedaleko na ląd. Razem taszczyli się dalej. Na brzegu zarośli usłyszeli kogoś wzywającego pomocy. Podeszedłszy, znaleźli się oko w oko z kapitanem leżącym na ziemi. Był przytomny, ale z trudem się ruszał, jakby naderwał sobie ścięgna u nogi. Gdy ich poznał, zerwał się na łokcie, sięgnął po pistolet. Widząc, że zamierzają uciec, rozkazał ochryplym głosem, jakim zwykł był krzyczeć do nich na okręcie: „Arnak, do mnie, psie!”

Uciekli. Po ochłonięciu z przerażenia uświadomili sobie, że muszą go zabić. Jeszcze wtedy nie wiedzieli, że znajdowali się na wyspie i że zabicie nieludzkiego kapitana było nieodzownym warunkiem ich życia. Szybko w zaroślach uzbroili się w dwie pałki i wrócili do kapitana. Zastali go leżącego na otwartym piasku nadmorskim. Wyczołgał się z gąszczu, widocznie w obawie przed zaskoczeniem.

Niewiele się namyślając dopadli do niego. Powstał. W lewej ręce miał pistolet, w prawej gruby kij. Chciał strzelić, wymierzył broń w Arnaka, ale wystrzału nie było. Podniósł kij do uderzenia. Arnak straszliwym ciosem pałki w głowę zwałił go na ziemię. Widząc, że nie żyje, uciekli na południową stronę wyspy, obawiając się innych piratów, którzy może uszli z życiem tak samo jak kapitan i oni.

Arnak skończył opowiadanie. Wlepił we mnie przenikliwe spojrzenie i wcale nie miał wyglądu winowajcy. Po chwili zapytał mnie głosem, w którym brzmiała harda, niemal zaczepna nuta:

–Czy dziwisz się, żeśmy go zabili?

Zdumiony taką postawą, pełną poczucia własnej godności u dwudziestoletniego Indianina, przebiegłem myślą wszystkie przeżycia, jakie z nim miałem. Jakże ów młodzieniec przekreślał moje dotychczasowe pojęcia o czerwonoskórych, pojęcia utarte, wyświechtane, powierzchowne i – aż przykro mi przyznać się – jakże błędne! A ja, naiwny, chciałem z niego urobić sobie drugiego Piętaszka, jakowegoś potulnego anioła w postaci dzikusa, żyjącego jedynym szczęściem, że mógł służyć swemu białemu panu jako wierny niewolnik! O śmieszny, naiwny Janie!

Ponieważ Arnakowi nie odpowiadałem, a on czekał, zadał mi nowe pytanie:

–A ty, panie, na naszym miejscu nie postąpiłbyś tak samo?

–Pewnie – odmruknąłem.

Przecież nie zapomniałem o tym, że na okręcie kaperskim sam nosiłem się z zamiarem zabicia kapitana podczas burzy, uważając to za konieczny akt samoobrony.

Kukurydza na polu była już dojrzała. Zaraz następnego dnia po wycieczce na południe i zachód wyspy przystąpiliśmy do sprzętu. Nierozległe pólko nie nastroczało wiele pracy. Ze ścinaniem

kaczanów i odłupywaniem z nich ziaren uporaliśmy się w ciągu niespełna jednego dnia. Uzbierała się plonów wcale pokaźna kupa, chyba półtora korca, które po wysuszeniu ziaren pomieściliśmy w kilku koszykach.

Można sobie wyobrazić, jak nam smakowały pierwsze placuszki, upieczone z roztartej na mąkę kukurydzy. Spożyte z żółtymi owocami, rajskimi jabłkami, i z usmażonym mięsem żółtym wydawały nam się królewskim specjałem, chociaż przypuszczam, że wybredny kucharz ofiarowałby je chętniej pieskom niż ludziom na pokarm. Ale my na bezludnej wyspie nie byliśmy wybredni i ciesząc się w tym okresie zdrowiem, znakomicie nam dopisującym, jedliśmy wszystko, co przysparzało sił.

W trzy czy cztery dni później przeżywałem podniecenie, jakiego jeszcze nie zaznałem na wyspie, chyba jedynie w ową noc, kiedy Arnaka zaskoczył przy zajęczym dole i wziął go do niewoli.

Poszliśmy w trójkę na orzechy kokosowe, rosnące o milę na północ od naszego wybrzeża. Chłopcy wchodzili na palmy i zrywali owoce, ja stałem na dole. Przypadkiem rzuciwszy okiem na pełne morze zdrętwiałem. Płynął tam duży statek, oddalony od nas o jakie cztery, pięć mil. W porannym słońcu jaśniały białe żagle. W pierwszej chwili myślałem, że to złudzenie oczu.

–Arnak! Wagura! – huknąłem pokazując im statek.

Fala radosnego uniesienia zalała mi serce. Alem dawno już przewidywał taką możliwość i natychmiast wiedziałem, co czynić.

–Do jaskini! – krzyknąłem do towarzyszy i co sił pobiegłem naprzód.

Ognisko po porannym śniadaniu jeszcze się żarzyło. Łacno udało mi się rozdmuchać płomień i dorzucić suchych gałęzi. Indianie przyszli za mną, ale nieco później. Widocznie niezbyt szybko biegli.

–Na górę! – zawołałem. – Zabierzcie paliwa, ile zdołacie udźwignąć!

Sam chwyciłem płonąca żagiew i zacząłem się wspinać. Góra, u której podnóża była jaskinia, wznosiła się jakie sto pięćdziesiąt stóp ponad poziom morza. Gdym zziąjany i spocony dotarł do szczytu, żagiew jeszcze nie wygasła.

Wszędzie w pobliżu, na stokach i na samym wierzchołku góry, rosły krzewy. Narwałem z nich moc gałęzi i roznieciłem ognisko. Zabuzowało się bujnie, ale mało dymu wytwarzało, bo krzaki były suche, jałowe, zresztą pełne kolców.

Z góry oko szerszy obejmowało widnokrąg. Statek uwydatniał się na morzu jak na dłoni. Szedł pod pełnymi żaglami ze wschodu i zmierzał w prostym kierunku na wielką wyspę, której zarysy majaczyły na północy. Stała mi w pamięci rozmowa z młodymi Indianami na temat zaludnionej wyspy Margarity i nasze domniemanie, że jest nią właśnie widniejąca na północy ziemia. Teraz kierunek statku jak gdyby potwierdzał ówczesne domysły. Czyżby to w istocie była Margarita?

Należało żwawo podsycić ogień soczystym paliwem, by gęstszy wydostać dym. Spojrzałem w dół, gdzie guzdrali się chłopacy. Dostrzegłem ich na zboczu góry, powoli wchodzących.

–Hej, szybciej! – zawołałem do nich.

Wcale nie przyśpieszyli kroku. Krzyknąłem jeszcze raz. Wtedy zauważyłem ze zdziwieniem, że nie przynosili z dołu drzewa, jak kazałem, lecz – czy mnie oczy myliły? – w ręku mieli tylko łuki i strzały. A to niesforni smarkacze! Zasłużyli sobie na burę i ją popamiętają!

Gdy zbliżali się, uderzył mnie ich zawzięty wyraz twarzy.

Podeszli na kilkanaście kroków, stanęli.

–Panie! – odezwał się Arnak ponuro i zaczepnie, głosem stanowczym. – My nie chcemy, żeby był ogień!

Jak gdyby mnie wodą oblano.

–Arnak, co ty gadasz?... Bez ognia nie zauważą nas.

–Nie powinni zauważyć!

–Czyś rozum postradał?

–Nie, panie!... Ognia nie będzie!

Oniemiałem. Zaległo milczenie. Tylko trzask dogasającego ogniska przerywał ciszę. Nie pojmowałem zaciętości Indianina. Wlepiwszy w jego twarz karcący wzrok podchodziłem do nich.

–Panie! – zawołał Arnak pośpiesznie. – Proszę, nie zbliżaj się do nas!

Łuki trzymali napięte, jakkolwiek strzały skierowane ku ziemi. Nie bacząc na ich słowa ani łuki kroczyłem dalej. Zaczęli się cofać. Unikali starcia.

–Co wam wpadło do głowy! Mówcie, do licha! – nakazałem surowo.

–Nie chcemy być niewolnikami! – oświadczył Arnak.

–Nie będziecie! Nikt wam tego nie narzuci!

–Mylisz się, panie! To źli ludzie! – wskazał oczyma na statek. – Oni nas wezmą do niewoli.

–Czyś tego tak pewny?

–Tak, panie. To z pewnością statek hiszpański.

–A jeśli inny? Angielski, holenderski?...

Arnak nie odrzekł ani słowa, tylko smętnie pokiwał głową na znak, że to wszystko jedno.

Miał słusność chłopak i zdrową orientację. Nauka życia jego nie poszła w las. Znowu żywo stanęła mi w pamięci prawda oczywista: tu, na bogate wody Morza Karaibskiego, wszelkie morskie nacje europejskie wysyłały swe najciemniejsze kreatury. Tu historię tworzyli, a wyspy dla swych państw zdobywali piraci tudzież ludzie o pirackich charakterach i obyczajach. Tu nieustannie wrzała lotrowska wojna każdego z każdym, ażeby wyrwać tamtemu łup, już zdobyty prawem pięści na innych. Natomiast wszyscy oni zgodnie prześladowali ludność indiańską uważając ją wszędzie za zwierzynę, którą należy ograbiać, tępić albo łapać do niewoli. Marynarz William niejedną raz o tym mi opowiadał i o mroźnych krew sprawkach naszych angielskich ziomków.

Upojony nagłą radością, że po tylu miesiącach ujrział pierwszy znak ze świata cywilizowanego, nie zastanawiałem się nad tym, czy to był zwiastun dobrej czy złej wróżby. Dla moich towarzyszy – niewątpliwie złej wróżby, a dla mnie czy z całą pewnością dobrej? Prawdopodobnie płynął tam Hiszpan, na co wszelkie wskazywały pozory, więc wpadłszy w ręce Hiszpanów, jakiego nędznego losu musiałbym się spodziewać, nawet gdyby ukryć się dała rzecz mego pływania na okręcie kaperskim. Anglicy i Hiszpanie, wiadomo, rywalizując od pokoleń na tych wodach, straszną pałali ku sobie nienawiścią.

To wszystko przebiegłem lotem błyskawicy.

–Dobrze! Nie będzie ognia! – postanowiłem ku uciesze towa

rzyszy i nogą rozrzuciłem nie dopalone resztki ogniska.

Schodząc z góry, zastanawiałem się nad dziwną stanowczością powiedziałbym więcej: nieugiętością chłopaków. Czy było to wynikiem wyjątkowo twardej szkoły życia?

Po tylu tygodniach zgodnego współżycia był to pierwszy nieprzyjemny zgrzyt, starcie wyraźnie nieprzyjazne, a przecież można było sprawę inaczej podnieść i wyjaśnić równie dobrze, bez uciekania się do przemocy. Jeszcze zanim przybyliśmy do jaskini, wygarnąłem im od serca:

–Niedobrze, chłopacy! Tak przyjaciele nie postępują!

Spojrzeni na mnie zaniepokojeni.

–Jeśli macie coś na wątrobie – mówilem – przyjdźcie do mnie i pogadajcie po ludzku, szczerze, po przyjaźni...

Później dodałem z wyrzutem:

–A luki zachowajcie na wrogów!

Arnak spąsował na brązowej twarzy, Wagura westchnął.

–Tak jest, panie – rzekł Arnak.

–Tak jest, panie! – powtórzył za nim jak echo młodszy towarzysz.

Aż do późnego wieczora śledziliśmy statek. Szedł niewątpliwie do wyspy na północy. Więc jednak to wyspa zamieszкана, i to prawdopodobnie Margarita? Indianie co do tego nie mieli już żadnych wątpliwości. Sama myśl o tym budziła w nich trwogę: była to przecież wyspa okrutnych poławiaczy perł i Indian.

Następnego dnia statku nie było widać. Puste znowu morze szumiało bijąc falami o naszą wyspę.

15. Groźny gość

Pojawienie się na naszych wodach statku miało także i dobrą stronę. Zdałem sobie sprawę, że nie wolno nam było spodziewać się pomocy od ludzi morza, bo niepewny a smutny mogli nam zgotować los – i pierwotny plan dobicia własnym przemysłem do stałego lądu okazywał się najwłaściwszy.

Z ochoczym zapalem zabraliśmy się do pracy. Chodziło przede wszystkim o zbudowanie lekkiej, mocnej a zwrotnej tratwy, łatwej do kierowania. Mając za narzędzie tylko nóż myśliwski nie myśleliśmy o ścinaniu drzew, zresztą było to niepotrzebne. Szukaliśmy obumarłych a suchych pni, ale takich, które jeszcze stały, leżące bowiem na ziemi łatwo ulegały zgniciu. Zbieraliśmy budulec w pobliżu strumyka, gdzie las w głębi wyspy rósł najgęstszy i skąd mniejsze pniaki bez trudu udawało nam się podczas przyływu splewić strumykiem do morza. Tu urządziliśmy naszą „stocznię”.

Po zgromadzeniu dostatecznego zapasu pni chłopcy znosili liany, na których gatunkach świetnie się znali. Darte z tych roślin długie łyka, służące do wiązania ze sobą pni, przez spory czas zachowywały także w wodzie moc powrozów konopnych.

Chcąc zwiększyć wytrzymałość tratwy postanowiliśmy dać jej dwie warstwy pni, zbudowane jedna na drugiej, przy czym górne pnie miały leżeć poprzecznie do spodnich. Wtedy powstało pytanie, czy zamiast tych górnych pni nie użyć lepiej desek, które swego czasu pozbierane z rozbitej łodzi ratunkowej „Dobrej Nadziei”, posłużyły mi do zbudowania klatki dla papuga.

Atoli zanim rozstrzygnęliśmy tę sprawę, zaszły wypadki, które o mało nas nie doprowadziły do śmierci, a opóźniły wyruszenie z wyspy o długie miesiące.

Pewnej nocy zbudził mnie Wagura gwałtownym odsuwaniem kamieni zamykających wejście do mej jaskini. Chłopcy, jak wiadomo, spali na dworze we własnym szalasiu tuż w pobliżu.

–Co się dzieje?! – krzyknąłem zrywając się.

Chłopak był tak przerażony, że wykrztusił jeno jakiś niezrozumiały belkot.

–Gdzie Arnak? – zapytałem.

Równocześnie odrzuciłem kamienie od wewnętrznej strony.

–Przy ognisku... – wymamrotał.

Przez otwarte w mig wejście zdyszany Wagura wpadł do środka. Wtem światło rozdarło ciemności na dworze. To Arnak rozdmuchał spod popiołu ogień, a rzuciwszy nań z gorączkowym pośpiechem gałęzie przyskoczył bez tchu do nas. Pośpiesznie zaczął zatykać wejście kamieniami. Pomogłem mu.

–On! – jęknął.

–Kto? Jaguar?

–Tak, panie.

Przez szpary wśród kamieni widzieliśmy teraz cały dziedziniec, oświetlony jasnością ogniska.

–Jakście go zauważyli?

–Podkraść się do naszego szałas. Krzyknęliśmy, cofnął się. Poszedł w gąszcz. Tam siedzi.

Nie słyszałem ich okrzyku, widocznie głęboko spałem. Ognisko wciąż rzucało blask, wszakże długo to nie trwało. Dopóki światło nie zamarło zupełnie, wyteżalem wzrok, ażeby coś wysledzić w okolicy. Dzikie zwierzęta stronią od takiego blasku, więc niewielem spodziewałem się ujrzeć, a jeśli tam w istocie był jaguar, to czał się pod osłoną krzewów.

–A możeście mieli tylko przywidzenie bestii? – półżartem.

zagadnąłem towarzyszy. – Nie śniło wam się?

Obruszeni do żywego stanowczo zaprzeczyli.

–Nie, panie, on był! On był! – zapewniali obydwaj.

Tymczasem płomień ogniska opadły zupełnie, pozostał tylko'

żar popiołu, zapanowała ciemność nocy. Po chwili Wagura, mający doskonały węch, trącił mnie szepcząc::

–Czy czujesz, panie?

Rzeczywiście czułem. Był to ostry zapach, od czasu do czasu niesiony do nas wraz z nieznacznym powiewem wietrzyka. Taki zapach wydają z siebie drapieżne zwierzęta.

Niebawem wszelkie rozproszyły się wątpliwości, gdy ujrzeliśmy na polanie przed nami podłużny, ogromny kształt zwierza. Wypełził z ciemnej ściany zarośli i czołgał się w kierunku papuziej klatki. Wszyscy trzej widzieliśmy, nie było złudzenia.

Nagle rozległo się donośne uderzenie i ostry trzask łamanego drzewa. To klatka rozwalila się pod obuchem ciężkich łap drapieżnika. Jednocześnie przerażone papugi wrzasnęły i załopotały skrzydłami.

–Poszedł w drzazgi wierzchni pokład naszej tratwy – rze

kłem z cierpkim humorem.

Papugi darły się wniebogłosy. Widocznie jaguar łapał je i rozszarpał. Słyszeliśmy przedśmiertne ich skrzeki. Lecz niektórym ptakom udawało się wymknąć. Otumanione kołowały w powietrzu z ciężkim łopotem skrzydeł. Siadały na pobliskich drzewach i tam wrzeszczały.

Po kwadransie nastąpiła cisza. Także przy szczątkach klatki ustał hałas. Wytężyliśmy wzrok, ile mogliśmy; nic nie było widać. Jaguar jak gdyby przepadł.

Płonne nadzieje! Naraz trzask łamanych gałęzi i obłądny z przestrachu ni to kwik, ni świst. Jaguar dobrał się do dołu z zajęczkami. Wskoczył do niego, przebijając pokrywę z gałęzi, i oto z całym spokojem urządzał rzeź wśród naszych gryzoni. Słyszeliśmy dokładnie. Nie było mu spieszno. Ofiary nie mogły mu uciec z dołu. Dobrą chwilę dochodziły nas ich rozpaczliwe piski tudzież odgłosy chrupanych kości, wespół z jego mlaskaniem i czasem pomrukiem, nie wiadomo, zadowolenia czy wściekłości.

Fotem gdy wszelkie kwiki zajęczków ucichły, jaguar wyskoczył z dołu i długi czas, może godzinę, może dwie, krążył w pobliżu. W poświacie gwiazd widzieliśmy go często na polanie, nie dalej od nas niż piętnaście, dwadzieścia kroków. Mruczał, stękał, czasem wydawał z siebie tłumiony ryk zniecierpliwienia.

–Szuka nowej ofiary – szepnął Arnak. – Czuje nas węchem, ale nie wie, jak się do nas dostać.

Opowiedziałem chłopcom o moim z jaguarem spotkaniu w pierwszych dniach pobytu na wyspie. Drapieżnik mógł wtedy łatwo rzucić się na mnie, ale jak gdyby w ostatniej chwili stchórzył. Może był to inny jaguar?

–To był ten sam! – zapewnił Arnak. – Znamy go. Tylko jeden przypląwa tu z lądu.

–To uważasz, że tak się zmienił? Takiego nabrał zuchwalstwa?

–Tak, panie. On umie śledzić i myśleć. On wie, żeśmy bez bronni.

Ach, bezbronni! Ileż w tym słowie tkwiło tragicznej bezsilności! Jeden strzał ze strzelby, jeden potężny huk z lufy, lubo w nocy nie wyrządziłby żadnej napastnikowi szkody, przecie strachem wślzłby mu w kości i przepłoszył go za siódmą górę raz na zawsze.

Nowy trzask tuż niedaleko jaskini targnął naszą uwagę. Domyśliliśmy się, że to szalas moich towarzyszy poszedł w rozsypkę. Potem ucichło do samego rana.

Dopiero gdy słońce weszło, zdobyliśmy się na odwagę i opuścili jaskinię. Żalność ścisnęła nam serca. Klatka rozbita, deski połamane, dół rozwalony, wszystkie zajęczki – trupem, aczkolwiek połowa tylko zżarta; szalas zburzony, ziemia wszędzie poryta. Drapieżca z zapalczywością pastwił się nad wszystkim, co nasze, potłukł część garnków, nawet rozgryzł gotowe wiosło Arnaka, mozolnie strugane nożem przez kilka dni.

Zdjęci nierozumnym popłochem, pobiegliśmy nad strumyk do naszej tratwy, na pół zbudowanej. Była nienaruszona. Oczywiście jaguar burzył tylko to, co znajdował tuż blisko naszego siedliska. Na szczęście koszyki z kukurydzą leżały bezpiecznie w jaskini.

Kilka papug, które przeżyły nocną katastrofę, tłukło się jeszcze w pobliżu. Nieco oswojone, dały się złapać na drzewach zwinnym chłopakom.

Jaguary mają zwyczaj powracania następnej nocy do resztek swej uczty. Chcąc temu zapobiec zakopaliśmy głęboko w ziemi nie dożarte ciała zajęczków, jak również pozostałości poszarpanych papug. Następnie z rozbitej klatki wyjęliśmy wszystkie nie połamane deski. Była ich jeszcze wystarczająca na tratwę ilość. Nowego szalasu nie wznosiliśmy. Chłopcy mieli spać u mnie w jaskini w ciągu tych kilku czy kilkunastu dni, jakie pozostały nam na wyspie.

Podczas gdy ja natychmiast zająłem się dalszą budową tratwy i struganiem wiosel, Indianie ruszyli na polowanie. Chodziło nie tylko o zdobycie mięsa, lecz uzbieranie takich korzeni i owoców, jakie można było wziąć na podróż. Pod wieczór byliśmy znów razem w jaskini.

Jak przewidywaliśmy, następnej nocy jaguar się zjawił. Chodził po polanie, warczał, niepokoił nas to łamaniem gałęzi, to szurganiem, to rykiem. Nie zmrużyliśmy oka. W połowie nocy skoczył na wzniesienie ponad naszą pieczarą i pazurami szarpał ziemię. Wyraźnie słyszeliśmy go nad sobą. Chciał od góry dostać się do nas. Niczego nie dopiąwszy w twardej skale, zaniechał skrobania i usiłował wtargnąć do nas od strony wejścia. Ale i tu kamienie przemyślnie ułożone były dlań niepokonaną przeszkodą.

Napastliwość czworonożnego myśliwego, jego krwiożercza uporczywość w stosunku do nas miała w sobie coś upiornego. Staraliśmy się odstraszyć go dzikim krzykiem i strzelaniem z łuku poprzez otwory w kamieniach – śmieszne wysiłki. Obchodziły go tyle, co bzyk muszki. Spokojnie, cierpliwie, zawzięcie dalej robił swoje.

Brzask na niebie dopiero ostudził jego apetyt na ludzkie mięso. Zwierz, gniewnie ryknawszy, jak gdyby na pożegnanie, odstąpił od nas i dał pokój. Zaszył się w gąszczu.

Po dwóch nie przespanych nocach zrozumieliśmy, że trzeba przedsięwziąć stanowcze środki ratunku, inaczej groziła nam prędzej czy później zguba ze strony tak zacieklego wroga. Nie był to już równy bój.

Siedząc rano przy ognisku, rozłożyliśmy na ziemi całą naszą

broń i oceniali ją krytycznie. Był to wyjątkowo potężny jaguar, sami Indianie to przyznawali, a posiadana broń – luki, strzały, dzidy, pałki, nóż – jakże niewystarczająca. Gdy patrzałem smętnie na ten prymitywny arsenał, przywoływałem sobie na pamięć sposoby Indian południowoamerykańskich, o których kiedyś słyszałem.

–Czy to prawda – odezwałem się – że wy znacie trucizny, które natychmiast zabijają?

–Tak, panie, są takie trucizny – ożywili się chłopcy.

–Że zatruwacie nimi strzały, które zadrasną zwierza i już po nim?

–Tak, panie, to się zgadza.

–A umiecie przyrządzić te trucizny?

–Umiem – odparł Arnak.

–Z czego się robi?

–Z owoców pewnej liany. Warzy się je...

–A tu, na wyspie, rosną te liany?

–Rosną, panie, widzieliśmy je.

–To już, pędźcie po nie!

Chłopcy ochoczo zerwali się z ziemi. Jednak szybko przygasł ich zapal.

–Trucizna – odezwał się Arnak – potrzebna będzie dzisiejszej nocy?

–Tak, dzisiejszej!

–Nie uda się, panie! Owoce trzeba gotować przez kilka dni, inaczej trucizna nie działa...

To, niestety, była niepokonana przeszkoda. Sprawa użycia zatrutych strzał upadła, przynajmniej na razie. Szukaliśmy innego wyjścia. Wypytywałem się chłopaków, jak ich 'plemię w lasach polowało na jaguary.

–Moje plemię nie poluje na nie – odrzekł Arnak poważnie. – Moje plemię boi się ich i uważa za bóstwa... Składamy; im ofiary...

–W ludziach?

–Nie, panie. Jakiego psa, gdy zdechnie, albo część zwierzyny, gdy wiele upolujemy...

–A tego jaguara czy pomożecie mi zabić?

–Tak, panie, pomożemy.

–Nie boicie się bóstwa?

–Nie, my już nie wierzymy w takie bóstwo... Spojrzałem na chłopców zaciekawiony. Nigdy dotychczas nie

przyszło nam poruszać przedmioty ich religijnych wierzeń. Czyżby czteroletnia niewola i otrzaskanie na szerokim świecie miały przynajmniej ten dodatni wpływ, że rozproszyły ich przesady?

–I nikt u was w szczepie nie polował na jaguary, nikt? –

staralem się dociec.

Okazało się, że był czarownik, który potrzebował skór, kości i kłów jaguarów do swych obrzędów, ale sam nie polował. Kazał wojownikom plemienia kopać głębokie doły-pułapki i wiązał przy nich na wabia żywego psa. Gdy jaguary grasowały w okolicy, czasem wpadały do dołów, z których nie mogły się wydostać. Wtedy czarownik zabijał je oszczepem.

–A ty, Arnak, kopalesz takie doły?

–Kopałem, panie.

–Więc załatwione. Spróbujemy.

16. Walka z jaguarem

Po rozważeniu myśl dołu-pułapki wydała nam się znakomita. Na przynętę mieliśmy resztki zajęczków, pułapkę zaś można było wykopać pogłębiając dotychczasowy dół na zajęczki. Kilka łopat z żółwich pancerzy mieliśmy pod ręką.

Niezwłocznie zabraliśmy się do roboty. Dół na zajęczki mierzył troszkę ponad chłopa głębokości. Należało pogłębić go prawie trzy razy, i to w ten sposób, ażeby tworzył lej zwężający się ku spodowi. W razie wpadnięcia weń jaguara głęboka a ciasna na samym spodzie dziura miała utrudniać mu ruchy.

Pracowaliśmy na zmianę bez wytchnienia przez cały prawie dzień. Z początku kopanie szło łatwo, ale wnet tylko na jednego było miejsce do pracy w dole.

Dwaj inni, stojący na powierzchni ziemi, za pomocą lian wyciągali do góry w koszykach wykopany piasek. Wagura, jako najslabszy z nas trzech, pracował tylko na wierzchu.

W godzinach popołudniowych dzieło dobiegało końca. Istna przepaść rozwierała się pod nami. Na pierwszy rzut oka otchłań wydawała się bezdenna, taka głęboka. Pełni zarówno otuchy, jak i zawziętości, patrzeliśmy z zadowoleniem w czeluść, wiedząc, że co tam runie, niesładnie się wyrwie.

Przykrycie wierzchu gałęziami tudzież rozłożenie wydobytych z ziemi resztek ciał zajęczych nie zajęło nam dużo czasu. Jeszcze tylko ułożyliśmy wielki zapas paliwa, ażeby mieć jasno, jeśli wypadki tej nocy się potoczą – i to już wszystko.

Na godzinę mniej więcej przed zachodem słońca Wagura pośpieszył do gąszczu, by zajrzeć do założonych na zajęczki sideł. Ledwie wyszedł, gdy przybiegł siny z przerażenia, bez tchu, z oznakami pomieszania w oczach.

–On!... – wykrztusił. – On zaszedł mi drogę... Goni mnie...

Uciekajcie!

I chłopak popędził do jaskini. Chwyciliśmy za broń i stanęli w pobliżu schronienia.

W istocie, o niespełna sto kroków od polany zamigotał w zaroślach podłużny, żółtawy kształt. Spotkanie z groźnym drapieżnikiem byłoby zbyt niebezpieczne. Uznaliśmy naszą bezsilność i ukryli się w jaskini.

–Jeśli tak dalej pójdzie – zauważyłem – źle się skończy...

Już za dnia poluje na nas!

Liczyliśmy na to, że jaguar wyskoczy na polanę i, złakomiony wystawioną przynętą, wpadnie

do pułapki. Lecz nie pojawił się.

Nie wychodząc już tego wieczora na dwór spożyliśmy wieczerzę w mroku jaskini i zabarykadowaliśmy się kamieniami. Razem z nami były papugi.

Czuwaliśmy na zmianę. Kiedy po północy kolej przyszła na mnie, wciąż nieprzerwany panował spokój. Poprzedniej nocy dawno już o tej porze mieliśmy nieproszonego gościa.

–Czy nie przyjdzie? – myślałem zawiedziony.

Po upływie mojej wachty, trwającej około dwóch godzin, zbudziłem Arnaka. Zaledwiem legł na posłaniu, zasnąłem na oba uszy, zmordowany po całodziennej pracy i dwóch nie dospanych nocach.

Nagle zbudził mnie niezwykle odgłos, jak gdyby głuchego ryku. Indianie również zerwali się.

–On! – szepnął Arnak.

Nadstawiliśmy uszu i wyteżyli wzrok. Siniejące na wschodzie niebo zwiastowało bliski brzask. Polana i czarne za nią zarośla tonęły w ciszy, jeno zwykły dochodził nas szum i bzyk tropikalnych owadów nocnych.

Wtem od strony pułapki – ostry szurgot i wściekły pomruk! Jasne: jaguar wpadł do dołu. Oszolomiony, chwilę siedział cicho, teraz zaczął się rzucać.

–Wychodźmy! – krzyknąłem zdławionym głosem.

Kamienie z jaskini odsunęliśmy jak najciszej, pozbieraliśmy

broń, wylegli. Skradając się podeszliśmy ostrożnie do krawędzi dołu. Ćma nocna wciąż zalegała przyrodę, więc baczyliśmy, żeby nieopatrznym krokiem nie runąć w przepaść. Dół był nadal pokryty gałęziami, tylko w jednym miejscu roztwierała się dziura, którejdy wpadł drapieżnik. Widocznie zwierz usłyszał nas podchodzących, bo przyczaił się.

Kazałem rozniecić nie opodal ognisko i przy świetle głowni trzymanej przez Arnaka zajrzałem w głąb. Siedziała bestia! Wtłoczona w dziurę, potworna, z błyszczącymi, zielonymi ślepiami, z wysuniętymi do góry łapami. Nawet w tej pułapce przedstawiała obraz przerażającej grozy i okrucieństwa, był to bezsporny władca puszczy. Ciarki brały na myśl – gdyby człowiek przypadkiem zwałił się do jamy. Jaguar warcząc głucho, zaczajony, szczyrzył na nas okropne kły.

–Poświeć lepiej! – polecilem Arnakowi.

Napiąłem łuk jak najmocniej i puściłem strzałę w dół. Jaguar zaryczał. Strzałę, która uwięzła w karku, wyrwał pazurami i pyskiem. Rozjuszony usiłował wyskoczyć – daremnie. Ziemia mu

się obsuwają pod pazurami.

Wnet się uspokoił. Wybrałem najdłuższą dzidę, jaką posiadaliśmy, i z całych sił wbilem mu ją w kark. Czulem, jak weszła głęboko w cielsko. Ale drapieżnik jednym zamachem złamał broń, przy czym drzewcem tak tęgie otrzymałem w ramię uderzenie, że m potoczył się o kilka kroków i legł jak nieżywy.

Jaguar wśród okropnego ryku znowu miotał się w dole. Niebawem przycichł i wtedy z niepokojem zauważyliśmy, że niezmożony zwierz, szarpiąc ściany pułapki, wiele usypał ziemi pod siebie. Był znacznie wyżej niż wprzód.

Korzystając z chwili spokoju odstąpiliśmy od jamy. Świt szarzał na dobre. Ramię dotkliwy sprawiało mi ból i nie wiem, jak wyglądałem, natomiast towarzyszący mi lęk, zmieszanie oraz podniecenie odbijały się w osłupiałych oczach i na twarzach.

–Tak nie dojdziemy do celu! – stwierdziłem. – Jeśli szybko nie zabijemy go, gotów uciec.

–On nie ucieknie, panie! On najpierw na nas się rzuci.

–Właśnie!

Jaguar, nie napastowany, siedział w dziurze spokojnie. Postanowiliśmy tedy czekać, dopóki nie rozwidni się zupełnie, i potem zasypać go strzałami jednocześnie z trzech luków. Strzał mieliśmy prawie trzydzieści. Należało pośpiesznie strzelać, ażeby pierwszej pozbawić go sił, niżeli on, srożąc się, usypie sobie stos ziemi dość pokażny, by wyskoczyć z dołu.

Czekaliśmy pół godziny. Słońce weszło. Podczas tej przerwy spożyliśmy naprędce po kilka żółtych jablek stojąc z lukami w pogotowiu. Zwierz zaczął się nie wydając żadnego głosu. Wiedzieliśmy, że śmiertelnej nie zadał mu rany.

–Mierzyć w oczy! – upomniałem, – Nie w czaszkę, bo nie

do przebiccia. Zachować spokój! Od celnych strzałów wszystko

teraz zależy.

Obstąpiliśmy dół dookoła, każdy z innej strony, i na dany znak zerwaliśmy pokrycie z gałęzi obnażając pułapkę.

Jaguar zmrużył ślepią, zniżył łeb, ciało sprężył jak gdyby do skoku, lecz nie skoczył; przywarował. Wlepił w nas pałający wzrok. Tyle nienawiści buchało z jego strasznych gał, że mi mrowie przeleciało po plecach. Sierść miał żółtą, nakrapianą czarnymi plamami. Był to olbrzym. Żółcizną swoją wypełniał cały spód dołu.

Strzeliliśmy prawie równocześnie. Najcelniej Arnak, bo strzała jego poszła drapieżnikowi w

sam ślep. Czy wbiła się w mózg, nie wiadomo. Przeróżliwy ryk, gwałtowny podskok. Strzałę zwierz wyszarpał łapą. Jaguar w skoku nie osiągnąwszy górnej krawędzi zwałił się ciężko w dół, aż ziemia jęknęła.

–Dalej! Szybciej strzelać! – huknąłem ogarnięty szalem.

Strzelaliśmy zapalczywie, zapamiętale, pełni nieprzytomnej mściwości.

–W drugi ślep! W drugi ślep! – krzyczeli chłopacy.

Pomimo że jaguar rzucił się obłądnie, strzały były łatwe. Na

tę nieznaczną odległość prawie wszystkie grzęzły w jego cielsku. Najwięcej pocisków szło w kark. Krew tryskała na wszystkie strony. Ale życie potwora zdawało się niezniszczalne. Był naszpikowany strzałami, a wciąż z niepojętą siłą wspinał się, rozszarpywał ściany pułapki, spychał zwaly ziemi. Przy tym ryczał, zgrzytał i parskał, że aż uszy puchły.

Porywała mnie rozpacz: zapas strzał dobiegał końca, tymczasem on, upiorny i niezwalczony, pienił się nadal z niezmienną wściekłością. Jeszcze kilka minut, a do reszty zasypie dół i wydostanie się na wierzch.

–Kamienie! Przynieście kamienie! – krzyknąłem do chło

paków wskazując na wejście do naszej jaskini.

Zrozumieli. Skoczyli. W tym czasie oszczepem spychałem jaguara w dół. Przydźwigali kamienie. Oburącz chwyciłem pocisk wielkości trzech cegieł i staranie wymierzywszy cisnąłem w leb jaguara, ile sił w mych ramionach. Zwierz glucho jęknął i oszołomiony opadł na spód jamy. Nowe kamienie do garści i dalejże w niego! Ale on ku naszemu zdumieniu zaraz przyszedł do siebie, powstał i dalej się srożył jak wprzód. Jego żywotność przejmowała nas taką grozą, że na chwilę ustaliśmy oniemiać.

Do namysłu nie było czasu. Jaguar pozrywał ściany do tego stopnia, że wkrótce mógł wyskoczyć z dołu. Wypadki toczyły się z błyskawiczną szybkością. W ciągu następnej minuty walka musiała się rozstrzygnąć. Pozostał jeszcze jeden, rozpaczliwy środek: ogień.

–Wagura! – krzyknąłem. – Roznieć wielkie ognisko! Tu,

przy samym brzegu!

Stos suchych gałęzi leżał od dnia poprzedniego na polanie. Wnet buchnęły wysokie płomienie.

–Jeszcze za mało! – zawołałem. – Nałóżcie więcej paliwa!

Arnak, pomóż jemu!

Z zaciętością człowieka na poły odurzonego i walką, i rozpaczą patrzałem na okrutnego wroga. Nadszedł jego kres. Twardszy był niż nasze strzały, dzidy i kamienie, ale od ognia nie ustrzeże się.

Wspólnymi siłami zepchnęliśmy w dół olbrzymi stos ogniska. Ogień przykrył spód jamy wraz z jaguarem. Ogluszający ryk. Drapieżnik sprężył się, uczynił ogromny skok – dosięgnął. Przednimi łapami chwycił o krawędź dołu. Dopadłszy do niego wbilem mu oszczep w kark usiłując strącić go do dziury. Ale ogień dobył w nim obłąkanej krzepy. Nie powstrzymałem zwierza. Zanim Arnak i Wagura przyskoczyli mi na pomoc, bestia wydostała się na sam wierzch. Ślepa na jedno oko, krwawiąca z niezliczonych ran, a przecież furia wciąż niepowstrzymana, przerażająca w swym rozjuszeniu.

Stało się to w oka mgnieniu: jaguar wyrywając mi oszczep z rąk, jednym uderzeniem łap obalił mnie na ziemię. Zwalil się na mnie. Bezwiednie wystawiłem lewe ramię, by osłonić gardło i twarz przed jego kłami. Chwycił ramię w paszczkę i zgryzł. Resztkami przytomności zobaczyłem Arnaka, jak z rozpędem wsadził mu dzidę w bok i zepchnął go ze mnie.

Jeszcze słyszałem ryk i widział zwierza doskakującego do Arnaka. Potem ogarnęła mnie noc. Straciłem zmysły.

17. Zacieśnienie przyjaźni

Rozkoszna muzyka pieściła me ucho. Do łagodnej melodii wplatał się urzekający śpiew wesółych ptaków. Potem kojący szum, ni to cichego morza, ni ciepłego wietrzyka, dolewał słodczy miodowej. Powstawały barwy i bezkształtne obrazy, coraz jaśniejsze, coraz różowsze, dopóki powoli nie rozwarły mi się powieki. Na chwilę tylko, ale wystarczającą, by wzdrygnąć się na widok koszarnej rzeczy: jaguara. Gdy przewyciężywszy rażące światło dnia ponownie otworzyłem oczy, przekonałem się, że to nie senna złuda. Jaguar, a raczej jego skóra wisiała rozpostarta między dwiema najbliższymi agawami susząc się na powietrzu.

Uczulem przyływ gwałtownej radości.

–Zginał! – z zadowoleniem szepnąłem do siebie.

–Tak, panie, zginał! – usłyszałem głos przy moim legowisku.

Zwróciłem tam głowę. Obok mnie leżał Arnak. Chciałem się

podnieść, ale nie mogłem, taki mnie przeszył ból w całym ciele. Rozejrzałem się. Leżeliśmy we dwójkę przed jaskinią. Po słońcu poznałem, że to poranek.

–Gdzie Wagura? – zaniepokoiłem się.

–Poszedł do lasu. Polować i po zioła...

–A ty? Co z tobą?

–On poszarpał mi nogę. Nie mogę chodzić. Przypomniały mi się ostatnie chwile walki z jaguarem, kiedy

zwierz miał mnie już pod sobą. Gdyby nie odważne natarcie Arnaka, rozszarpałby mnie bez wszelkiej wątpliwości. Spojrzałem na dzielnego chłopaka z wielką wdzięcznością i uznaniem.

–Spisałeś się pięknie! – pochwaliłem go. – Jeszcze chwila, a byłoby po mnie!

–To był jego ostatni wysilek, panie – odrzekł Indianin z prostotą.

–Dziękuję ci, Arnak – powiedziałem.

Chłopak wskazał mi ręką grupę kaktusów, wylaniającą się z zarośli o trzysta od nas kroków w południowym kierunku.

–Czy widzisz? – zapytał.

Kołowały tam w powietrzu liczne czarne sępy, inne siedziały na krzakach.

–Teraz one mają ucztę! – wyjaśnił. – Do tego miejsca on

dowlókl się i tam zdechl. Wagura zauważył ptaki... Poszedł i zna

lazł go martwego... Ściągnął zeń skórę... Teraz ptaki żrą jego pad

linę, a my żyjemy...

Arnak uśmiechnął się obnażając swe zdrowe zęby.

–Jak długo leżymy? – spytałem.

–Piąty dzień, panie.

–Już piąty dzień! Tak długo spałem?

Było ze mną niedobrze. Jaguar zadał mi pazurami – głębokie rany na piersi i pogryzł mięśnie lewego ramienia, na szczęście nie łamiąc kości. Istniała obawa, że nastąpi zatrucie krwi i gangrena. Pomyślnym zbiegiem okoliczności Wagura nie poniósł żadnego uszczerbku w przygodzie, a że ongiś w rodzinnej wsi pomagał czarownikowi, coś niecoś znał się na ziołach. Umiejętność ta znakomicie nam się teraz przydała i kto wie, czy jej nie zawdzięczaliśmy życia. Chłopak zaczął znosić z lasu wszelakie leki, z których jedne tamowały krew, obficie lejącą się z ran, inne zapobiegały zakażeniu, jeszcze inne, do ust wlewane, powodowały oczyszczanie organizmu z trujących paskudztw. Arnak, lubo nie tak ciężko ranny jak ja, tę samą przechodził kurację. W pierwszych dniach życie moje wisiało na włosku, ale jakoś przebyłem te tarapaty i kiedym odzyskał przytomność na piąty dzień, czułem, że najcięższe chwile mam poza sobą.

Wypadki z jaguarem i ich skutki szkaradnie pokrzyżowały nasze plany rychłego z wyspy wyjazdu. Rany dzięki opiece Wagury zablizniały się nie najgorzej, ale powrót do całkowitego zdrowia włókl się żółwim krokiem. Siły odzyskiwałem nader powoli: tygodnie mijały i miesiące. Trza się było uzbroić w wielką cierpliwość i leżeć, nieustannie leżeć.

Pokarmu nie brakowało nam, pomimo że tylko jeden Wagura chodził do lasu. Przyroda w bród dostarczała owoców, orzechów, jarzyn i korzeni. Zajączków co prawda było coraz mniej; zdaje się, że w naszej części wyspy je wyłowiliśmy. Na mięsie w ogóle nam zbywało, ale jakoś obchodziło się bez niego. Na wyprawy po żółwie na zachodniej stronie wyspy było zbyt daleko, a rojne kiedyś wylęgowisko papug na północy leżało wciąż puste, jak o tym przekonał się Wagura. Widocznie jeszcze nie nadszedł odpowiedni okres parzenia się.

Kiedym tak w przyniewolnej bezczynności spoczywał całymi tygodniami, osobliwe mi myśli napływały do głowy. Patrząc na uwijającego się Wagurę, bez którego pomocy zginałbym z głodu, miewając częste z Arnakiem o jego rodzinnym plemienu rozmowy, wielkie przeżywałem w sobie przemiany. Tajalo we mnie dawne nedorzeczne uprzedzenie do Indian.

Dziś dochodziłem do jądra prawdy: jakże się myliłem! Mylili się Wirginijczycy i mylili się

purytanie Nowej Anglii, kiedy haniebnie ograbiając tubylców z ich ziem, obrzucali ich błotem pogardy i nienawiści dla przewrotnej spokojności własnego sumienia. Cieleśną zdjęty niemocą na tej bezludnej wyspie, jasno ujrzałem prawdę dalekich rzeczy, jakoby w świetle błyskawicy.

Ujrzałem zawily związek między chciwością grabieżców a ich niesprawiedliwym sądem o ograbianych.

Już wprzód, przed wielu tygodniami, spostrzegłem, że moi dwaj towarzysze to bynajmniej nie istoty bezmyślne. Kiedym dokładniej i bliżej im się przypatrywał, odkrywałem w nich te same cechy, jakie znamionują nas, ludzi Europy. Młodzi Indianie podlegali tym samym co ja wzruszeniom, podobne mieli troski i podobne uciechy, zdolni byli do nienawidzenia nieprawości i do miłowania tych zalet, jakie i u nas uchodzą za godne szacunku przymioty.

Chciałem z nich kiedyś zrobić swych Piętaszków, ażeby mi wiernie służyli. Jakaż z mej strony pomyłka! Oni oparli się moim zakusom, nie chcieli być sługami, nie byli ulegli, ale gdy przyszła ciężka godzina próby, bez namysłu ratowali mi życie, jak najlepsi przyjaciele, sami się narażając.

Wzbierał we mnie wstyd, że dotychczas w życiu tak niesprawiedliwie oceniał Indian, i wzbierał we mnie żal do mych angielskich rodaków tam, na północy. Z dniem każdym coraz wyraźniej uświadamiałem sobie krzywdę, jaką biali najeźdźcy wyrządzali ludom tubylczym. Postanowiłem mocno, że gdy kiedyś wrócę do ludzi cywilizacji, będę im otwierał oczy i starał się ruszyć ich sumienie tragicznym a nie zawinionym losem Indian. Powziąłem zamiar pogłębienia w przyszłości swej wiedzy i zdobycia kunsztu pisarskiego na to, ażebym zdolny był opisać me obecne doświadczenia i przedstawić mych brązowych towarzyszy w świetle prawdy, na jaką zasługiwali.

Arnak znacznie wcześniej niż ja odzyskał zdrowie. Często teraz chodził z Wagurą na wycieczki po żywność, ale przy tym nie zapominał o sprawie najpilniejszej: o tratwie. Tyle było jeszcze rzeczy do wykończenia. A to wiosła, a żagiel, a ster, a widłowate dulki do wiosel, nie mówiąc już o samej tratwie. Pilnej pracy było zatem moc.

Jedna troska nie schodziła mi z głowy. Po doznaniu biedy z jaguarem wołałem teraz dmuchać na zimne. Czując się lepiej któregoś dnia, przywołałem chłopców do siebie i podjąłem rozmowę na temat poruszony ongiś w gorące dni jaguarowej przygody.

–Gdybyśmy mieli gotowe zatrute strzały wtedy, gdy nas jaguar napadł – powiedziałem – to jakże łatwo dałoby się pokonać bestię!

–To prawda, panie! – przyświadczyli Indianie.

–A jeszcze nie wiadomo, co nas czeka! – prawilem dalej. – Dostaniemy się na stały ląd. Tam niejedno czyhać będzie na nas niebezpieczeństwo. Musimy mieć zatrute strzały! Im rychlej, tym lepiej!

–To inną pracę odłożyć? – spytał Arnak.

–Może nawet odłożyć. Mówiliście, że truciznę trzeba warzyć przez kilka dni, zanim nabędzie siły. Można warzyć, a przy tym robić co innego.

–Można, panie.

Zamierzali odejść. Zatrzymałem ich. Jeszcze jedną miałem do nich sprawę. Spojrzałem im serdecznie w oczy. Wspólna dola i niedola, a szczególnie niedawna walka z jaguarem ogromnie zbliżyła nas do siebie.

–Słuchajcie! Czemu wy do mnie mówicie zawsze tak: „Można, panie; nie, panie; tak, panie”. Nie mówcie w ten sposób. Jesteśmy przyjaciółmi i przestańcie z tym „panem”.

Byli nieco zaskoczeni. Arnak, zmieszany, nie wiedział, co czynić z rękoma, w których trzymał napoczęte wiosło. Spąsował na twarzy.

–No co, zgoda? – spytałem.

–Tak... panie! – odrzekł nieśmiało, a spostrzegłszy swoją pomyłkę zaśmiał się.

–Janie, Janie! – zawołałem grożąc żartobliwie palcem.

Wagura stanął między nami i wskazując kolejno na nas palcem, jak gdyby przedstawiając, podawał imiona:

–Wagura, Arnak, Jan!... Jan, Arnak, Wagura!

Trujące liany właśnie owocowały, więc chłopcy, zachowując wszelkie środki ostrożności, zebrali koszyk tych owoców, podobnych do naszej tarniny. Początkowo gotowali je w dzbanie, ale gdy wywar stawał się gęstszy, przelewali go do wydrążonego kamienia i przykrywszy żółwią płytą, dalej ogrzewali na stałym ogniu. Potem do gęstszego już ukropu, koloru brudnozielonego, wsadzali na kilka godzin groty strzał. Gdy obeschły, były gotowe do użycia.

Próby wypadły nadspodziewanie. Kurowaty ptak, podobny do indyka, zraniony, biegł jeszcze kilkanaście kroków i padł rażony. Chwilę podrgał nogami, wnet przestał żyć.

–Ależ to piorunem działa! – zdziwiłem się. – A jak długo trucizna zachowa moc w strzałach?

–Przez wiele księżyców – odparł zadowolony Arnak.

Ostrza strzał, równie niebezpieczne dla nas, jak dla zwierząt,

chłopacy trzymali zawiązane w woreczkach z zajęczych skórek.

W tym okresie zacząłem powoli wstawać i choć osłabiony, próbowałem pomóc w niektórych cięższych robotach. Jeszcze miesiąc, a nie tylko zagoiły się rany, lecz odzyskałem prawie dawne siły. Na mej piersi i lewym ramieniu pozostały tylko głębokie blizny.

Po listopadzie, który często darzył nas ulewą, nastął pogodniejszy grudzień. W początkach stycznia pogoda się ustaliła. Słońce poszło na południe i jakkolwiek tęgo nam przygrzewało, nie prażyło takim żarem jak w poprzednich miesiącach, kiedy przechodziło ponad nami.

Przygotowania do wyjazdu były ukończone. Tratwę pokryliśmy nie deskami, jak to pierwiej zamierzaliśmy, lecz tyczkami bambusowymi, które były dość mocne, a znacznie lżejsze. Bambus rósł za Jeziorem Obfitości. W kilku niedalekich wycieczkach na morze wypróbowaliśmy dzieło wielotygodniowego trudu. Tratwa dobrze nosiła.

–Czy lepsza niż ta, na której nie udało wam się przepłynąć

przez cieśninę? – spytałem Indian.

–Och, Janie! – odrzekł Arnak. – Nie ma porównania!

Nadeszły ostatnie chwile pobytu pod naszą górą. Prawie rok

cały tu spędziłem, więc przed odjazdem wypadało odwiedzić ustronia, z którymi się zżyłem. Przyznam, że z niejakim rozrzewnieniem patrzałem po raz ostatni na Jezioro Obfitości, na strumyk, który słodką poił mnie wodą, na część lasu, nazwaną kiedyś Ustroniem Zajęczym, gdzie dawno wytrzebiliśmy ostatniego zajączka, i na polanę jaszczurczą, na której od miesiący nie było jaszczurek.

Nie wiedzieliśmy, co począć z żywymi papugami, których mieliśmy osiem. Były oswojone, ale zabierać je w drogę nie miało celu. Puściliśmy je na wolność. Pofrunęły na drzewa w pobliżu jaskini i na ich wierzchołkach okrutnie wrzeszczały, jak gdyby z dziwacznej żalości. Nie zamyślały wcale odlatywać.

Pewnego bezwietrznego dnia zapakowaliśmy zapasy na tratwę i spokojnym morzem odbyliśmy pierwszy etap rejsu. Wylądowaliśmy o trzy mniej więcej mile dalej na południe, na cyplu, który wysuwał się z wyspy u jej wschodnio-południowego wybrzeża. Stąd postanowiliśmy przepłynąć wskroś cieśniny przy sprzyjającym wietrze, to jest dmącym z północy na południe, w stronę stałego lądu.

Teraz, kiedy lada dzień mieliśmy opuścić wyspę, myśli moje często wybiegały naprzód, do przygód, jakie mnie jeszcze czekały w przyszłości. Małom wiedział o usposobieniu i obyczajach plemienia Arawaków, do którego się wybieraliśmy, krom tego, że nienawidzili białych

najeźdźców i – uprawiali ludożerstwo. O tym ludożerstwie dosyć się nasłuchałem groźnych opowiadań i naczytałem chociażby w książce o Robinsonie Kruzo.

Po przybyciu na cypel i rozłożeniu się obozem zapytałem młodych towarzyszy, jak to będzie, czy Arawakowie nie zechcą przyjąć mnie jak wroga i zarżnąć jak zajączka?

Chłopcy spojrzeli na mnie wielkimi oczyma.

–Dlaczego mieliby przyjąć ciebie jak wroga?

–Jestem biały człowiek...

–Biały, tak, ale nasz przyjaciel!

–A jeśli was nie usłuchają, to co?

–Muszą usłuchać, bo wodzowi opowiemy wszystko, co się zdarzyło, i to, że ty zawsze byłeś naszym przyjacielem, i... i...

–I to wystarczy?

–Wystarczy, Janie!

Po chwili zadumy Arnak podniósł na mnie wzrok nie ukrywający żalości i takie dał wyjaśnienie:

–Biali ludzie biorą nas za okrutnych dzikusów, bliższych zwierzętom niż ludziom. Biali ludzie myślą, że u nas nie ma ani uczucia, ani porządku i że każdy postępuje jak głupie stworzenie bez rozumu. Tak nie jest, Janie!

–Wiem o tym, Arnak!

–Ty wiesz, inni nie wiedzą. Jeśli ja w szczepie oświadczę, żeś moim i naszym przyjacielem, to wszyscy Arawakowie, gdziekolwiek w lasach czy na stepach, uważać cię będą także i za swego przyjaciela. Nikt nie śmie nawet palcem ciebie ruszyć. Tym może różnimy się od białych ludzi! – dodał Arnak z cierpkim uśmiechem. A jak z owym ludożerstwem? – zagadnąłem go. – Powiedz mi tak szczerze, istnieje czy nie istnieje?

–Istnieje – odrzekł chłopak z prostotą – a raczej istniało niegdyś, ale nie takie, jak je u nas chcieli widzieć biali. U nas jadło się ciało pokonanego wroga z innych przyczyn, nie z głodu...

–Z obrzędu religijnego?

–Tak jest, Janie! My wierzyliśmy, że odwaga wroga przejdzie na zwycięzcę, jeśli spożyje serce albo inną część ciała zabitego...

18. Fatalny prąd morski

Na trzeci dzień warunki były pomyślne. Morze spokojne, wiatr łagodny od północy. W godzinę po wschodzie słońca zepchnęliśmy naładowaną tratwę na głębszą wodę i zajęli w niej przeznaczone miejsca. Niewielki żagiel z plecionych lian, przymocowany w poprzek tratwy, dobrze pochwycił wiatr. Przy wiosle z lewej strony ja siedziałem, z prawej Arnak, przy sterze Wagura.

Niewieleśmy wiosłowali, wiatr wybornie nas pchał. W niedługim czasie oddaliliśmy się od brzegu o dobre ćwierć mili. Wszystko szło gładko, lekkie fale pluskały o krawędź tratwy.

Znowu ogarnęło mnie wzruszenie, kiedym ostatnie rzucił spojrzenia na brzeg rozpoznając bliskie sercu ustronia: wzgórze z jaskinią, znajome połacie gąszczu, płytkie ujście rzeczki, poszczególne palmy, wszystko to, na co tak długo napatrzyłem się od innej strony, od strony lądu.

–Ciekaw jestem – odezwałem się – czy ta wyspa ma jakąś nazwę.

–Myślę, że tak – odparł Arnak.

–A może nie. Pomyśl, Arnak, że jest bezludna, żadnych śladów, nawet dawnych, ludzkiej obecności nie spostrzeżliśmy. Wydaje mi się, że byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy zamieszkali tu.

–Pewnie, Janie.

–Wobec tego, Arnak, nazwijmy jakoś tę wyspę! Ale jak?... Już wiem: Wyspą Robinsona. Obojętne, czy Robinson istniał, czy nie istniał, obojętne, że nigdy na tej wyspie nie był, ale ja przecież na niej żyłem jak Robinson na swym odludziu. Często wspominałem tu książkę o tym rozbitku... Tak, będzie to nasza Wyspa Robinsona!... Czy zgadzacie się, Arnak, Wagura?

–Zgadząmy się, Janie!

Po godzinie odbiliśmy od wyspy już tak daleko, że brzegi jej, roślinność oraz góra przysłoniły się lekką mgielką nadającą wszystkiemu jednostajny, niebieskawy kolor. Wietrzyk, z początku rzeźwy, w miarę wychodzenia na morze, niestety, tracił na sile, aż w końcu całkiem ustał. Zabraliśmy się do wiosel. Po paru godzinach tęgiej pracy przebyliśmy chyba jedną trzecią drogi. Wyraźniej majaczyły; kształty brzegów, ku którym zmierzaliśmy.

Morze była tak spokojne, że miejscami przypominało gładź wielkiego jeziora. Ale kiedyśmy dotarli mniej więcej na środek cieśniny, zauważyliśmy przed sobą pas morza dziwnie zmarszczonego – niby licznymi a drobnymi falami. Miejsce to odcinało się od reszty powierzchni barwą ciemniejszą, ciemnogrnatową. Indianie okazywali zaniepokojenie.

–Czyżby tam wietrzyk wiał? – wskazałem przed siebie.

–Nie, Janie, to nie wietrzyk – odparł Arnak. – To prąd! Znamy to.

–Więc wkrótce zacznie się zabawa?

–Oj, zacznie się!

Spożyliśmy posiłek, składający się z placków kukurydzianych i słodkich, żółtych owoców, naszych „rajskich jablek”.

Miejsce przy dulkach zajmowaliśmy jak dotychczas. Ja przy lewym wiosle, bo z tej strony mocniej należało ciągnąć, ażeby przeciwstawić się sile prądu, Arnak przy prawym wiosle, Wagura zaś z tyłu tratwy przy sterze. Rzecz prosta, że my, wioslarze, siedzieliśmy plecami do przodu, więc niewiele widzieliśmy, co się z nami dzieje, ale niebawem jakoweś zmiany wyczuliśmy w wiosłach. Ruch wody powstrzymywał je niewidzialnymi łapami, trza było potężniej wiosłować, a także i Wagura twardziej

teraz zapierał się sterem, ażeby nie zboczyć z kursu: wchodziliśmy w sferę prądu.

Prąd toczył się jak gdyby rzeką szeroką na parę mil, od wschodu na zachód, wzdłuż ziemi poczytywanej przez nas za stały ląd. Im bardziej wdzieraliśmy się w jego nurty, tym bardziej przybierał na sile. Woda z głośnym bulgotem biła o pnie tratwy. Nie zdołaliśmy utrzymać się na wyznaczonym kursie pomimo nadludzkich wysiłków. Prąd nie tylko nas spychał w bok, na zachód, ale na domiar okręcił naszą tratwę raz i drugi dokoła, jak gdyby naigrawając się z niej.

–To nic! – zawołałem do towarzyszy, wyciągając na chwilę wiosło z wody. – Nie traćmy sił nadaremnie. To co, że prąd zepchnie nas na zachód o kilka mil? Miarowo, cierpliwie wiosłujmy w kierunku lądu, a ostatecznie powoli przebijemy się przez ten diabelny nurt...

–A czy tratwa wytrzyma? – zapytał Wagura, nieufnie patrząc na pnie. – Jak trzeszczy!

Rzeczywiście trzeszczała. Napór ścierających się prądów stwarzał istotne niebezpieczeństwo. Tratwa mogła rozlecić się i na to nie było rady. Liany, jakimi wiązaliśmy pnie, wybieraliśmy najmocniejsze; na razie nieźle trzymały. Należało ufać, że wytrwają do końca.

Mało zwrotna tratwa stała się w końcu igraszką porywających ją to tu, to tam wirów. Kiedy dziobem była w kierunku stałego lądu, wtedy gwałtownie wiosłowaliśmy, ażeby zbliżyć ją choć odrobinę do celu. Żmudna to była praca, bo prąd – porywisty, ale jakoś ani na chwilę nie traciłem otuchy.

–Przecież jednak zbliżamy się do lądu! – zauważyłem. –

Byle nie upaść na siłach!

Indianie potakująco kiwali głową. Palmy kokosowe, rosnące na stałym lądzie, wylaniały coraz wyraźniej swe szerokie pióropusze ponad niższe zarośla.

–Jeszcze tylko trzy mile, najwyżej cztery! – ocenilem przez strzeń dzielącą nas od upragnionego brzegu.

Towarzysze nic nie odpowiadali, tylko z nie ukrywaną trwogą śledzili szybki dryf tratwy ku zachodowi. Już minęliśmy połud-

niowe wybrzeże Wyspy Robinsona i znajdowali się na wysokości jej zachodnich krańców.

–Wtedy tak samo pędziliśmy – mruknął Arnak. – Zaraz porwą nas zmienne prądy...

Niestety, słowa jego zbyt wcześnie się sprawdziły.

Dalej na zachodzie stały ląd nagle urwał się. Linia wybrzeża skręcała tam ostro ku południowi, a ocean tworzył tu głęboką zatokę. Z tej zatoki parły ku północy silne prądy, które wpadając na nurt zachodni, jaki nas unosił, tworzyły wiry, by potem wzburzonym masom wodnym nadać kierunek północny.

Zanim dostaliśmy się w to kotłowisko, rozpaczliwie wiosłowaliśmy, by przebić się na południe, ale czymże były nasze wiosła wobec porywającego pędu wody? W tym piekielku kołujących wód tratwa zdała próbę wytrzymałości, niestety, zamiar nasz dotarcia do lądu doznał zupełnej klęski. Prądy z niepowstrzymaną siłą odpędzały nas od celu i parły ku północy.

–Przegraliśmy! – zgrzytnąłem odkładając na bok wiosło, gdy dalsza walka okazała się bezowocna. Ledwom łapał powietrze w płuca, pot lał się ze mnie strugami. Towarzyszom nie lepiej się wiodło. Z nienawiścią pokonanych myśleliśmy o wrogim żywiole.

Na odpoczynek nie było czasu. Jeśli dotychczas usiłowaliśmy przedostać się na południe, to obecnie stanęliśmy w obliczu nowej walki, nowe powstało przed nami zadanie: jak wrócić na Wyspę Robinsona. Leżała na wschód od nas, a prąd niósł naszą tratwę ku północy, gdzie coraz wyraźniej wychylała się z morza domiemana wyspa Margarita. Była to – jak teraz naocznie sprawdziliśmy – rozległa połać ziemi, ciągnąca się na przestrzeni dwudziestu chyba mil, a może i więcej, od wschodu na zachód.

–Oj, źle, źle! – wołali Indianie. – Tam okrutni ludzie!

Prąd porywał nas w stronę wyspy. Wiosłowaliśmy wszyscy

trzej jak szaleni, by wydostać się spod jego przemocy. Udało się. Po półgodzinnym wysiłku zauważyliśmy, że nurt dookoła nas nie jest już tak porywisty i łatwiej teraz przebijać się przezeń ukosem. Jeszcze kilkaset wyężonych uderzeń – i otoczyła nas cicha woda. Prąd pozostał gdzieś za nami. Krzyknęliśmy z radości.

Do Wyspy Robinsona mieliśmy około dwóch mil. Morze było tu spokojne. Wiosłując bez pośpiechu, dobiliśmy pod wieczór do północno-zachodniego brzegu naszej wyspy. W ciągu dnia okrążyliśmy ją olbrzymim, wielomilowym półkolem. Zmordowani byliśmy jak psy, przygnębieni doznaną porażką, wszakże sprawiło nam radość, gdy tratwa ze zgrzytem wbiła się w brzeg wyspy, a przyjazny piasek zaskrzypiał pod naszymi stopami.

Noc przespaliśmy w miejscu lądowania. Następnego dnia tratwę przeciągnęliśmy brzegiem na wschodnią stronę wyspy do ujścia naszej rzeczki i wprowadziliśmy się do starej siedziby.

W pobliżu jaskini oswojone papugi, które jeszcze nie uciekły, powitały nas ochoczym wrzaskiem, co ujęło nas za serce, bo na chwilę mogło nam się zdawać, że wróciliśmy pod rodzinny dach.

19. Bitwa morska

–Popelniliśmy dwa błędy – oświadczyłem Indianom, kiedyśmy siedząc przy ognisku zastanawiali się zarówno nad przyszłością, jak nad tym, co było. – Popelniliśmy dwa błędy i dlatego wyjazd nam się nie udał!

–Wiem! – zawołał Wagura. – Tratwa kiepska!

–Zgadłeś. Tratwę trzeba zbudować inną: lżejszą i węższą, żeby była zwrotniej sza.

–Ale jak – lżejszą? – zapytał Arnak. – Przecież wzięliśmy suche pnie.

–Weźmiemy teraz tylko same bambusy. Nad Jeziorem Obfitości rośnie ich pod dostatkiem. Bambusy są najlżejsze, a przy tym wytrzymałe.

Arnak miał co do tego pewne wątpliwości, zatem uzgodniliśmy, że tratwę zbudujemy z bambusów, lecz wzmocnimy jej brzegi niezbyt grubymi, suchymi pniami.

–A drugi błąd? – przypomniał Arnak.

–Prąd porwał nas zbyt szybko... Musimy w przyszłości unikać wirów na zachodzie. Więc spokojnym morzem wysuniemy się jak najdalej na wschód i już tam zaczniemy przebijać się przez prąd do stałego lądu.

W tej chwili ulewny deszcz lunął z donośnym praskiem i trze-

131

ba nam było schronić się do jaskini. W ostatnich dniach przelewało się przez wyspę po kilka w ciągu doby burz, gwałtownych, acz krótkotrwałych, zapowiadających zbliżanie się pory deszczowej.

Nawałnica szybko minęła, słońce wróciło. Wychodząc na dwór poruszyłem sprawę kukurydzy.

–Jak sądzicie, czy warto zasiać nowe pole? – zapytałem to

warzyszy. – Trochę ziarna kukurydzy pozostało nam na siew.

–To myślisz, Janie, że tyle miesięcy tutaj jeszcze pobędziemy?

–Nie wiem, co myśleć. Was się pytam i wy radźcie!

–Szkoda rąk! – obruszył się Wagura. – Kukurydza dojrzeje, gdy my dawno już będziemy w ojczystej wiosce.

–A jeśli znowu coś wejdzie w drogę, jakaś nieprzewidziana przeszkoda?

Ostatecznie obmyśliliśmy wspólnie przygotować pole i korzystając z pory deszczowej obsiać je kukurydzą.

Następne tygodnie upływały nam w skrzętnej pracowitości. Polowaliśmy, zbieraliśmy owoce i korzenie, budowali nową tratwę i również oczyszczali nad rzeczką od krzewów i chwastów szmat ziemi pod uprawę. Mięsa teraz nam nie brakowało, bo papug, jak zeszłego roku, zleciała się chmara do wylęgowiska w gaju na północy, a z wyprawy na zachód wyspy przewieźliśmy na starej tratwie kilkanaście sporych żółwi, które żywcem trzymaliśmy.

Pewnego dnia, korzystając z pogody, właśnie obsiewaliśmy kukurydzą pole, gdy nagle wszyscy trzej zerwaliśmy się od pracy jak oparzeni. Zamienieni w słuch, osobiwe łowiliśmy odgłosy idące z oddali. W owym czasie często rozlegały się grzmoty piorunów nad wyspą, ale to, cośmy usłyszeli, nie było zwykłym gromem. Słońce świeciło, a przecież częsty huk rozdzierał powietrze.

–To nie burza! – krzyknął Arnak.

–Od morza idzie! – stwierdził Wagura.

Rzuciliśmy łopaty i skoczyli ku wzgórz. Gdyśmy wdarli się na zbocze ponad wierzchołkami drzew i spojrzeli na morze, oczom-naszym przedstawił się wstrząsający widok: dwa okręty widniały na wodzie nie dalej od wyspy niż o milę. Oddalone jeden od drugiego o ćwierć mili, ostrzeliwały się wzajemnie. Widać było wybuchy armatnich strzałów. Kłęby dymu od spalonego prochu otaczały obydwie okręty. Natężywszy wzrok widzieliśmy nawet uderzenia kul, padających z rozpryskiem do wody w pobliżu walczących.

Z zapartym oddechem śledziliśmy bitwę. Po omasztowaniu poznałem, że to brygantyny dwumasztowe, każda uzbrojona w liczne armaty. Kanonada była piekielna.

–Ależ to zażarte psy! – zawołałem.

Okręty stale zmieniały swe położenie, chcąc widocznie ustawić się tak do przeciwnika, by najskuteczniejszym móc go prażyć ogniem. Niektóre pociski trafiały w kadłub i olinowanie rozrywając wanty i części żagli, lecz pomimo tych szkód, niezbyt zapewne groźnych, walka niezmiennie toczyła się dalej.

–Kto oni, Janie? – pytali się towarzysze. – Czy to piraci?

Na głównym maszcie brygantyny, która była bliżej wyspy, wisiała bandera i choć snujące się dymy ograniczały widoczność, przecie rozpoznałem, że to bandera hiszpańska. Na tamtym, nieco dalszym okręcie, niczemu nie mógł wypatrzeć i pewnie znaku tam wcale nie było.

–Głowę dałbym, że tamten to pirat! – rzekłem. – A ten

bliższy to Hiszpan.

Okręty ustawicznie manewrując przesunęły się troszkę na północ, w okolicę pięciu niedużych skał, sterczących z wody w odległości niespełna pół mili od brzegu. Były teraz bliżej wybrzeża, więc z góry wyraźniej widzieliśmy szczegóły walki.

Był to zacięty bój. Okręt piracki – jeśli tak go już nazwać – usiłował dopaść do boku przeciwnika i pewnie zdobyć jego pokład białą bronią, ale Hiszpan strzegł się i zmyślnie unikał przywarcia. Wszakże co się trochę odsunął, to tamten tym gwałtowniej nacierał. Miał Hiszpan chwilę triumfu osiągając niemalą nad piratem przewagę, gdy celną kulą zerwał mu przedni maszt i walnie pomniejszył jego obrotność. Lecz w kilka minut później nastąpił na jego własnym pokładzie straszliwy wybuch prochu i okręt stanął cały w płomieniach. To rozstrzygnęło walkę na korzyść pirata. Działa zamilkły.

Z płonącej brygantyny Hiszpanie ratowali się skacząc do morza. Spuszczono na wodę dwie łodzie. Marynarze, wiosłując pośpiesznie, oddalali się od miejsca pożaru. Zmierzali w stronę naszego wybrzeża.

Arnak kurczowo uchwycił me ramię i wskazując na łodzie jęknął:

–Nieszczęście! To źli ludzie!

–Uciekajmy stąd! – zawołał Wagura i chciał biec.

–Spokojnie, przyjaciele, spokojnie! – powstrzymałem ich. – Jeszcze nic złego nam nie grozi!

–Tobie może nie! – oświadczył Arnak chmurząc czoło. – Ale nam: tak!

Zniecierpliwiony huknąłem na nich:

–Nie gadajcie głupstw. Nie ma różnicy między wami a mną!

Nasz los jest wspólny! Cokolwiek się stanie, nie porzucę was i nie

dopuszczę, żeby krzywda wam się działa. Żyjemy razem i broni

my się razem! Wasi wrogowie są i moimi wrogami!

Coś z lekka zamigotało w oczach Arnaka, jak gdyby przebłysk wdzięczności. Indianin zadał mi pytanie:

–A ci w łodziach to twoi wrogowie?

–Moi wrogowie! – odpowiedziałem.

Dwóch łodzi, zbliżających się do wybrzeża wyspy, nie spuszczaaliśmy z oka. Siedziało w nich około dwudziestu pięciu marynarzy. Żwawo robili wiosłami i, widać, spieszno im było, bo jakoweś drągi jak maszty postawili na sztorc, rozpinając na nich żagle.

Nie minęło i pół godziny, a dobili do lądu o pół mili od naszej góry. Wszyscy wysiedli, jedną łódź, większą, zakotwiczywszy nieco z dala od brzegu. Obawialiśmy się, że zechcą pójść w głąb wyspy, ale przybysze rozłożyli się obozem nad samym morzem, nie schodząc z przybrzeżnego piasku.

Z daleka widzieliśmy, że wszyscy natężoną uwagę zwracali na to, co działo się na morzu. Tam nadal płonął ich okręt. Zwycięska brygantyna podpłynęła doń na odległość strzału z muszkietu, po czym odczepiła się od jej burty łódź z uzbrojonymi ludźmi.

Ci na ładzie tym widokiem mocno się zaniepokoiли, zapewne w mniemaniu, że to za nimi pościg. Biegając tam i sam wzdłuż brzegu, szukali dogodnych stanowisk do obrony i przysposabiali broń do walki. Jakeśmy zdołali zauważyć, co drugi prawie marynarz posiadał rusznicę. Ale obawy ich nie sprawdziły się. Szalupa z pirackiego okrętu pozostała przy palącej się brygantynie opływając ją dokoła. Po stwierdzeniu, że nie można było dostać się wskutek płomieni na pokład, łódź wróciła do swego okrętu, który niebawem rozwinął wszystkie nie uszkodzone żagle i oddalił się w kierunku wschodnim. Pod wieczór straciliśmy go z oczu za widnokretem.

20. Rozbitkowie

Zatem nowa spadała na nas troska, wielkie zawisło nad nami niebezpieczeństwo. Jakże na wodach Morza Karaibskiego każdy człowiek był człowiekowi wilkiem, skoro owych obcych nieznanym przybyszów z palącego się okrętu z góry uważaliśmy za wrogów i za źródło trwogi!

Najważniejszą rzeczą było wywiedzieć się, kim oni i jakie knują zamiary. Korzystając z zarośli podkradliśmy się na odległość stu pięćdziesięciu kroków od ich obozu i przycupnęli wśród gęstych krzewów. Widzieliśmy stąd wszystko jak na dłoni. Na wszelki wypadek mieliśmy ze sobą łuki z zatrutymi strzałami.

Naliczyliśmy ich dwudziestu trzech. Po odzieży poznałem, że to nie Anglicy ani Holendrzy. Odejście pirackiego okrętu nieco ich uspokoiło, ale teraz rozprawiali między sobą z wielkim ożywieniem i widać było, że wywiązała się między nimi jakowaś kłótnia. Jedni krzycząc wskazywali na północ, gdzie rysowały się na widnokręgu szczyty rzekomej wyspy Margarity, inni wymachiwali w przeciwnym kierunku, w stronę stałego lądu. Łatwo nam było odgadnąć, o co idzie spór, i niezmiernie nas cieszyło, że przybysze szybko zamierzali opuścić wyspę.

Trochę na uboczu od głównej grupy widzieliśmy ich broń palną, ustawioną w kozły. Było tam kilkanaście strzelb różnego kalibru, w tym potężnych rozmiarów muszkiety. Chciwym pozeralem okiem te skarby, o których od roku próżno marzyłem, i mimo woli zacząłem przemyślać, jak by nimi zawładnąć.

Wbrew memu oświadczeniu, że przybyszów uważam za wrogów, tłukł mi się po zakamarkach głowy zbłąkany pomysł pójścia do nich i pogadania. Przecież, od tak długiego czasu odcięty od ludzi mego świata, pragnąłem jak kania dżdżu zetknąć się z nimi. Ogromnie ciekaw byłem, jak by mnie przyjęli! Wobec Anglików nie wahałbym się zbyt długo. Ale to nie byli Anglicy. Jeden z nich, który głośniej krzyknął, iż słowa dotarły do naszego ukrycia, rozwiał wszelkie wątpliwości: byli to Hiszpanie. Ludzie, których jak ognia wystrzegać się należało zarówno moim indiańskim towarzyszom, jak i mnie samemu.

Pochłonięty ponętym widokiem strzelb, pilnie baczyłem na zachowanie się Hiszpanów. Nie poczułem, że Arnak łagodnie trąca mnie w bok.

–Janie! – szepnął wreszcie Indianin. – Spójrz tam, na wodę!

–Na wodę?

–Nie widzisz?

–Widzę dwie łodzie.

–Tak jest, dwie łodzie!

Wypowiedział to tak przejętym głosem, że od razu zrozumiał tok jego myśli. Łebski chłopak z tego Arnaka, nie ma co! Umiał bystro patrzeć. Podczas gdy ja pożerałem wzrokiem ponętą broń, on pilniejszą rozważał sprawę, mianowicie, jak wydostać się z wyspy. Były tam dwie w żagle uzbrojone łodzie, z których mniejsza – jakby stworzona dla naszych celów. Ale jak ją zagarnąć? Do połowy wyciągnięta dziobem na piasek, leżała tuż obok rozsiadłych nad brzegiem ludzi. Mysz nie przedostałaby się do niej nie spostrzeżona, a cóż dopiero człowiek! Druga szalupa, większa i z głębszym zanurzeniem, stała na kotwicy o dwadzieścia kilka od brzegu sążni.

–: Łódź przydałaby się! – mówilem raczej do siebie niż do towarzyszy. – Ale nie sposób do niej dotrzeć.

Dzień skłaniał się ku wieczorowi. Na północno-wschodnim widnokregu wyrastał znad oceanu czarny obłok nadziany piorunami. Pora deszczowa co dzień zsyłała nam rzęsiste ulewy.

Skoro Hiszpanie zauważyli zbliżającą się burzę, kilku z nich dobyło z łodzi siekier i tasaków i pobiegło do zarośli. Ledwośmy przed nimi chyłkiem uszli. W gąszczu rozległy się odgłosy uderzeń. Wnet przytaszczyli pnie i wielkie gałęzie, z których na skraju gęstwiny zbudowali trzy przestronne szalasy. Gdy skończyli, pierwsze, wielkie krople zaczęły bić po liściach i piasku. W lot poznosili pod dach broń i co który miał tłumoków i sami się schowali.

Był wieczór. Burza się rozsrożyła. Morze huczało, wicher wyl. Łodzie leżały osamotnione; Hiszpanie żadnej nie wystawili straży, zapewne przekonani, że wyspa jest bezludna. Szalasy wznosiły się nie dalej od brzegu wody niż o dwadzieścia kroków, ale sprzyjała nam gęsta ulewa. Wśród zapadającego szybko mroku nie sposób było nawet z tej niewielkiej odległości zobaczyć, co dzieje się przy łodziach.

Czekaliśmy jeszcze tylko na zupełną ciemność, ożywiemi nadzieją, że wszystko uda się znakomicie. W tych okolicznościach, kiedy nieprzezorność Hiszpanów szła nam na rękę, nietrudno było ukraść mniejszą łódź.

Deszcz był zimnawy, trzęsło nas chłodem. Chwile niemrawo mijały w cierpliwym oczekiwaniu. Przemyśliwaliśmy nad tym, co nastąpi później, po zdobyciu łodzi.

–Hiszpanie – odezwałem się do towarzyszy – nie będą wiedzieli, kto im zwędził czółno. Burza zatrze wszelkie ślady. Pomyślą sobie, że fale uniosły. Ale co dalej? Może jutro będą szukali zguby na wybrzeżu?

–Puśćmy się od razu na morze! – poddał Wagura. – Uciekajmy zaraz z wyspy!

–Gadasz brednie – ofuknął go Arnak. – Przez pół nocy, do rana, niewiele upłyniemy. Jutro Hiszpanie łącznie by nas odkryli. Zresztą, jak wyruszać w taką pogodę?

–To co zrobimy?

–Zaraz wyruszać na pełne morze nie damy rady – przeciałem łagodnie spór. – Trzeba pierwaj poznać się na żaglu i wiosłach. Musimy zatem ukryć łódź...

–Ale gdzie?

–Może przeprowadzić ją wybrzeżem na drugą stronę wyspy? – podsunął Arnak. – Tam Hiszpanie szukać nie będą.

–Po co tak daleko? Myślę, żeby zaciągnąć ją w górę naszej rzeczki i tam ukryć wśród zarośli.

–Słusznie! Tak najlepiej! – zawołali Indianie. – Zataszczy-my ją do rzeki!

–Hiszpanie robili wrażenie, że chcą szybko wynieść się z naszej wyspy. Ale jeśli zbraknie im jednej łodzi, to czy odpłyną?

–Odpłyną, Janie, odpłyną! Pomieszczą się wszyscy na większej łodzi!

Nie byłem tego tak pewny. Sprawa: odpłyną czy nie odpłyną – była dla nas niemal sprawą życia i śmierci. Gdyby Hiszpanie pozostali przez dłuższy czas na wyspie, odkryliby nas prędzej czy później. Temu należało zapobiec za wszelką cenę.

–Jedyna rada – oświadczyłem – to przetrwać w ukryciu

przez jutrzejszy dzień i zaraz z nastaniem nocy opuścić wyspę.

Tymczasem pogoda ulegała zmianie raczej niepokojącej. Burze na naszej wyspie, jak już wspomniałem, miały charakter uderzeń gwałtownych, acz nietrwałych. Takoż i teraz nawałnica szybko przeminęła, niebo przecierało się, między chmurami błysnęły gwiazdy. Po sztormie wiatr wzbijał jeszcze wysokie fale i szum był potężny, ale na ziemi i morzu stało się widniej niż wprzód, na początku nocy.

Przystąpiliśmy do wykonania planu. W wyprawie brał ze mną udział tylko Arnak; Wagura miał czekać opodal na brzegu. Zrzuciwszy z siebie przepaski, o kilkaset kroków od szalásów weszliśmy do wody, aż sięgała nam do szyi, po czym brnęliśmy równolegle do brzegu morza, miejscami brodząc, miejscami przepływając głąbizny. Zabrałem ze sobą nóż myśliwski, przeważnie trzymając go w zębach.

Niebo przeczyszczalo się coraz bardziej z chmur i lubo miesiąca nie było, dostateczne światło gwiazd pozwalało nam odróżniać rzeczy na kroków kilkadziesiąt. Gdy zamajaczyły przed nami ciemne kształty łodzi, baczyliśmy, ażeby tylko głowy wystawały z wody.

Najpierw dotarliśmy do większej szalupy, zakotwiczonej z dala od brzegu. Jak się spodziewaliśmy, żywej duszy w niej nie było. Przeskoczywszy przez jej burtę, dostaliśmy się do środka. Na spodzie pełno było wody od burzy. U dzioba sterczał stos zwiniętych żagli. Pośpiesznie przeszukaliśmy cały pokład, by znaleźć coś pożytecznego. Nic nie znaleźliśmy.

–A pod żaglem? – szepnąłem do Arnaka. – Zajrzyj no

tam! – Wkrótce usłyszałem, jak Indianin prychnął z radości.

–Co tam? – doskoczyłem do niego.

–Skrzynia jakaś...

**Rozwarliśmy jej wieko i znaleźliśmy w niej części starej odzieży. Przedmioty w tej chwili bez
nijakiej dla nas wartości. Ale macając dalej po ciemku natknęliśmy się obok skrzyni na coś
twardego. Siekierę.**

–Ooo! – ucieszył się młody towarzysz i z lubością machnął zdobyczą w powietrzu.

–Dobrze! Zabierz ją ze sobą! – rzekłem. – Przyda się.

**Nic więcej nie odkrywszy ześliznęliśmy się cichaczem do wody i zwrócili ku brzegowi. Morze
stawało się coraz płytsze, więc legliśmy na czworaki i dalej pełznąć dotarliśmy do łodzi, o którą
nam chodziło.**

**Z daleka widziała nam się niezbyt wielka ani ciężka, ale gdy teraz przyszło ściągać ją z piasku
na wodę, nie lada jakiego trze-ba było dobyć wysiłku. Wreszcie udało się ją ruszyć.**

–Zobacz, czy są w niej wiosła i żagiel – szepnąłem do Arnaka.

–Są! – upewnił się, podczas gdy ja usiłowałem upchnąć łódź pod fale.

**Tak całkowicie pochłonięci byliśmy niezwykłym trudem, że zapomnieliśmy o świetle. Wtem
usłyszałem osobliwy zgrzyt piasku. Odwróciwszy głowę, z przerażeniem ujrzałem człowieka
zdążającego ku nam. Szedł od strony szalasów. Skoro zauważył łódź nie w swoim miejscu,
przystanął na chwilę jak wryty.**

–Caramba! – wrzasnął na całe gardło i dalej wykrzykiwał

jeszcze kilka innych hiszpańskich słów.

**Susem, niby jaguar, skoczył do wody, by przytrzymać odpływającą szalupę. Być może, że
dotychczas jeszcze nas nie spostrzegł, bo pędził w naszą stronę jak głupi. Arnak gracko zdzielił
go siekierą w głowę. Hiszpan tylko cicho jęknął i nieprzytomny zwałił się do wody. Ale krzyk,
jakiego przedtem narobił, zbudził ludzi w szalasach. Wypadli i teraz pędzili ku nam.**

**Nie było innej rady, jak tylko puścić łódź i ratować się ucieczką. Padliśmy na wodę.
Nieznacznie dla oka, aczkolwiek żwawo oddaliliśmy się od łodzi. Zrazu pływaliśmy na mieliznie,
kolanami dotykając piasku, potem szło już normalnie. Za nami rozległy się bezładne wołania
Hiszpanów.**

Upewniwszy się, że nas nie ścigają, przestaliśmy pływać, ciekawi wydarzeń w obozie hiszpańskim. Rozniecono tam na piasku ogień, łódź wyciągnięto zupełnie z wody, nieprzytomnego wciąż Hiszpana cucono. Odnosiliśmy wrażenie, że nie domyślano się naszej obecności.

–Bywaj, łódeczko! – zgrzytnąłem.

Byłem wściekły. Nie tylko nie zdobyliśmy łodzi, ale na domiar złego w czasie ucieczki zgubiłem w wodzie nóż myśliwski tracąc wiernego od roku przyjaciela.

–Czy masz siekierę? – warknąłem do Arnaka.

–Mam! – odrzekł.

Dzielny zuch! On przynajmniej nie zawiódł.

–Pilnuj jej jak oka w głowie! Nóż zgubiłem...

O kilkaset kroków od obozowiska zastaliśmy na umówionym miejscu Wagurę. Razem z nim podkradliśmy się znowu pod szalasy i przywarłszy do krzewów śledzili Hiszpanów.

Tymczasem powalony przez Arnaka człowiek odzyskał przytomność i snadź groźne o napaści opowiadał towarzyszom, bo w obozie powstało podniecenie. Na większą szalupę wysłali natychmiast dwóch uzbrojonych strażników, mniejszą zaś zaciągnęli na piasek, jeszcze dalej od wody. Pewnie w obawie ataku nie spali przez resztę nocy, krążąc w pobliżu szalaszów nad brzegiem morza.

–Przewąchajii diabli! – odezwał się Arnak – żeśmy na wyspie!

–Może rano będą nas szukali? – zaniepokoił się Wagura.

–Przecież nie wiedzą, ilu nas jest – oświadczyłem.

–To myślisz – podjął Arnak – że wobec tego dadzą nam spokój?

–Tak.

Poszło jeszcze lepiej, aniżeli przypuszczałem. Przed świtem zauważyliśmy w ich obozie wzmogoną krzątanie, a gdyśmy podeszli bliżej, nie lada doświadczyliśmy radości: Hiszpanie zabierali się do odjazdu. Gorączkowo biegali tam i sam; śpieszyli się, jak gdyby sam Lucyfer deptał im po piętach.

–Liczcie dokładnie, ilu ich wsiada! – poleciłem Indianom.

Podpełzliśmy jeszcze bliżej, ażeby niczego i nikogo nie prze

oczyć.

–Czy obawiasz się, Janie, że mogą urządzić jakąś zasadzkę? – zapytał Arnak.

–Na ostrożności nikt nie stracił.

Gdy wsiadali w łodzie, trudno było nam doliczyć się ich w zamieszaniu, ale wyglądało, jakoby wszyscy Hiszpanie byli obecni i nikt nie pozostał. Nareszcie odbili od brzegu, błoga cisza zapanowała dokoła. Skoro rozedniało, ostrożnie przetrząsnęliśmy całą okolicę, ale nikogo tam nie było.

Wielka spłynęła na nas ulga. W pierwszych promieniach wschodzącego słońca jaśniały na widnokręgu dwa rozwinięte żagle zmierzające ku północy, w stronę rzekomej wyspy Margarity.

Udaliśmy się na miejsce, gdzie uprzednio na piasku leżała łódź. Szukając na chybił trafił w wodzie, mieliśmy szczęście. Wagura znalazł na mieliźnie nóż myśliwski i tak się tym uweseliłem, że ogromnie wyściskał młokosa.

21. Zdobywamy broń

Byłby w błędzie, kto by sądził, że na tym skończyła się niecodzienna przygoda. Okazało się, że wczorajsza ulewa ugasiła pożar na hiszpańskiej brygantynie, a burza zapędziła szczątki jej kadłuba na jedną z pięciu skał, w pobliżu których odbyła się ostatnia walka, i tam ją osadziła. Dziób okrętu, w zupełności wypalony, zapadł się, a rufa jak gdyby ocalała, lubo wciąż jeszcze z jej wnętrza dobywał się dym.

Podjęliśmy tego rana zwykle czynności. Około południa strzeliła mi do głowy myśl. Aż dziw, że mi wcześniej nie wpadła. Wrak! Szczątki brygantyny niechybnie zawierały siła przedmiotów nader dla nas użytecznych, może nawet deski, młoty i gwoździe, którymi dałoby się zbić niezgorszą łódź. Wrak, stojący o pół mili od wybrzeża, łatwo był osiągalny przy użyciu naszej tratwy.

Zaraz po południu zabraliśmy się w trójkę do dzieła. Wzięliśmy ze sobą siekiere, nóż oraz kilka pustych koszyków. Morze było dość spokojne, przeprawa nie nastroczała trudności.

Z głębi kadłuba okrętu wciąż jeszcze buchał szczelinami dym, wszelako nadbudowa na rufie, stercząc wysoko w powietrzu, widziała mi się niezbyt zniszczona pożarem.

Przybiliśmy wprost do samego pokładu. Gdzie spojrzeć, tam ponure ślady spustoszenia. Wszakże ogień nie pochłonął wszystkiego. Niektóre belki były tylko nadwęglone. Choć żagle popaliły się do szczytu, maszty częściowo ocalały. Także i olinowanie nie wszędzie uległo zniszczeniu.

–Patrz, Janie! Ile tych lin! – cieszyli się chłopcy.

Jeszczem nie miał jasnej myśli, co zabierzemy, ale plon zapowiadał się bogaty.

Uwiązawszy tratwę do masztu wspięliśmy się na pokład. Spadzisty był; chwytając się różnych poręczy i lin wleźliśmy na rufę. Ogień jakoś oszczędził tylną część okrętu, być może dlatego, że twardy dąb nadbudowy oparł się płomieniom. Tam znajdowały się kajuty, do których można było zaglądać przez okrągłe otwory, tak zwane bull-eye'e. Ażeby dostać się do środka, musieliśmy rozbijać drzwi siekierą. Nie pożałowaliśmy wysiłku. Mieszkali tu widocznie oficerowie brygantyny, którzy uciekając niewiele ze sobą zabrali rzeczy. Wszystko to leżało teraz bezładnie porozrzucane, a takim wydawało mi się bogactwem po roku dzikiego na wyspie żywota, że nie wiedział, czym najpierw poić olśnione oczy.

Baraszkowaliśmy i śmieliśmy się jak dzieci. Indianie ponakładali na siebie szaty przeróżne jak na maskaradę, ja ubrałem się w jakiś dostojny mundur, bogato wyszywany złotymi galonami. Na głowę włożyłem wspaniałą kapelusz hiszpańskiego granda.

–Wyglądasz jak kapitan podczas parady! – wołali Indianie patrząc na mnie z zachwytem i z odrobiną lęku. Tyle wycierpieli od ludzi noszących podobne mundury, że nawet sam widok

odzieży budził w nich trwożne uczucia.

–Dość zabawy! – rzekłem. – Rozbierać się! Wróćmy do własnej skóry.

–Nie zabieramy odzieży? – pytali rozczarowani.

–Nie! Potrzeba nam rzeczy pożyteczniejszych.

Szukaliśmy przede wszystkim narzędzi i broni. Znalazłem pistolet rzucony w kąt, ale był zepsuty, brakowało mu kurka. Woreczek, schowany pod koją, wywołał naszą ciekawość. Gdym zajrzał do wnętrza, aż mi się gorąco zrobiło z nadmiernego wzruszenia; w worku był proch! Kilkanaście funtów prochu. Pistolet, który posiadałem w jaskini, już służyć będzie nie tylko do krzesania ognia. Odkryliśmy także spory zapas ołowiu. Od miesięcy tylem się nie radował, jak w tej chwili. Jak gdyby ciężki kamień spadał mi z serca. Przeciżem niedaremnie był myśliwym w lasach wirginijskich; umiałem docenić posiadanie prawdziwej broni palnej!

I znowu gotów byłem tańczyć z chłopakami taniec zwycięstwa.

Szperając dalej w kajucie, będącej niezawodnie kajutą kapitana, natknęliśmy się na lunetę. Długa była na półtora łokcia, a precyzyjnie działała, bo gdym należycie ją nakręcił i nastawił na wyspę, liście odległych palm kokosowych tak wyraźnie ujrzałem, jak gdyby strzałą z łuku dosięgnąć się dały. Towarzysze, którzy nigdy nie patrzyli przez lunetę, oniemieli i gotowi byli wierzyć w diabelskie czary. Wyśmiałem się z nich serdecznie, lunetę pieczołowicie schowałem do futerału i podałem Wagarze, żeby pilnował jej jak skarbu.

–Czy zabierzemy tę rurę? – zapytał Arnak.

–Ma się rozumieć!

W kapitańskiej kajucie jużśmy nic więcej ciekawego nie znaleźli. Natomiast po rozbiciu następnych przedziałów – było ich razem cztery – w ostatnim natrafiliśmy na istny arsenał. Leżało tam kilkanaście strzelb różnego kalibru, od zgrabnych guldynek do ciężkich muszkietów, i kilka baryłek prochu, i worki z ołowiem. Ręce mi drżały.

–Na co tyle broni mieli?! – zdziwił się Arnak.

–Podejrzewam ich – wyraziłem przypuszczenie – że i oni byli piratami.

Wskazując na broń powiedziałem:

–Wszystko to zabierzemy na tratwę! Arnak wybałuszył na mnie zdumione oczy.

–Wszystko? – zapytał. – Nas jest tylko trzech!

–Wszystko! – uczyniłem stanowczy ruch ręką. – Ani jednej

strzelby nie zostawimy.

–Ależ Janie! Na co nam tyle? Szkoda dźwigać! Z wyspy tego wszystkiego nie wywieziemy!

–Obojętne! – uparłem się. – Jeśli jest broń, to brać Ją... Przenośmy!

Sam przyznaję, że. miałem bzika na punkcie broni, ale trudna rada; ani o krok nie myślałem ustąpić od swego zamiaru. Arnak z miną przekorną postawił swój warunek:

–Dobrze, Janie, niech tak będzie! Ale pozwól, że zabierzemy na wyspę wszystkie ubrania!

–Wszystkie? Może i ten mundur ze złotymi galonami?

–Tak jest. I mundur, i kapelusz!

Machnąłem przyzwalająco ręką, bo tratwa była pojemna.

Przenoszenie zdobyczy nie trwało długo. Rozglądałem się po pokładzie, szukając desek na budowę łodzi, ale odpowiedniego budulca nie było. Za to dobyliśmy z kajut kilka ławek, stołów i krzeseł i zrzucili je do wody. Uwiązaliśmy to wszystko na linie, ażeby móc ciągnąć za tratwę.

Przebywaliśmy na okręcie około trzech godzin. W ostatniej godzinie niepokojąco wzmógł się dym idący z głębi kadłuba. Dusił nas i łzawił oczy. Niektóre miejsca pokładu były gorące od szerzącego się wewnątrz ognia.

Chciałem jeszcze zdobyć jakieś narzędzia, ale prócz. siekiery nic się nie znalazło. Odplynęliśmy tedy od okrętu i obładowaną tratwę skierowali ku wyspie. Pogoda dopisywała piękna. Spokojnym morzem szczęśliwie dobiliśmy do brzegu.

W nocy czerwona luna rozjaśniła niebo nad grupą Pięciu Skał. Ogień przeżarł się przez pokład i dopalał reszty brygantyny.

22. Lądowanie tajemniczych ludzi

Pracę podjęliśmy tam, gdzieśmy ją przerwali na odgłos morskiej bitwy: na polu kukurydzianym. Zapasem ziaren, jaki nam pozostał, sumiennie zasialiśmy żyzną glebę nad rzeczką, lubo każdy z nas tuszył, iż pierwej opuścimy wyspę, aniżeli plon dojrzeje.

Z ławek i stołów, ściągniętych z brygantyny w nadziei zbitia z nich łodzi, nic nie wyszło. Brakowało nam potrzebnych narzędzi, piły, hebla, młotka, gwoździ, poza tym budulec okazał się nieodpowiedni, oporny, więc trzeba było powrócić do pierwotnego planu z tratwą. Kilkakrotnie ją przebudowywaliśmy doświadczając jej zdatności w wycieczkach na morzu. W owej pracy nabywaliśmy już dawniej wprawy.

W czasie tych tygodni nie zaniedbaliśmy nauki strzelania. Zależało mi na tym, ażeby chłopaków wykształcić na wyborowych strzelców. Od dawna, podczas niewoli, dość nawąchali

się prochu i otrzaskali z hukiem dział, choć nigdy do ręki broni nie dostali. Teraz szybko nauczył ich nabijać, przykładać, celować, strzelać, a także i czyścić. Waliliśmy zawsze do tarczy utworzonej z dwóch, wzniesionych jedna za drugą, płyt stołowych. W ten sposób nie traciliśmy ołowiu, który można było wydłubywać z drzewa.

Po wypróbowaniu wszystkich strzelb dwie odrzuciliśmy jako niezdatne, a z pozostałych jedenastu wybraliśmy dla siebie trzy najlepiej bijące: dwie guldynki dla chłopców, ciężki muszkiet dla mnie. Z tą bronią postanowiliśmy nie rozstawać się podczas podróży do wsi indiańskiej, zawsze mając ją w pogotowiu.

–Teraz widzicie, dlaczegośmy zabrali na wyspę wszystką broń! – wyjaśniłem towarzyszom. – Strzelba strzelbie nierówna. Przydało się mieć ich tyle, ażeby wybrać najprzydatniejsze.

–Az resztą co zrobimy? – zapytał Arnak spoglądając żałośnie na osiem pokotem leżących guldynek i muszkietów.

–Pozostawimy tu, w jaskini.

–Co za szkoda! Jakie ładne! Toć i one nieźle biją!

–Trudno. Zbyt ciężkie, żeby się nimi obarczać. Tak samo z odzieży zabierzemy tylko najpotrzebniejsze części, resztę porzucimy.

Młokosom tak podobało się strzelanie do tarczy, że najchętniej pukaliby bez ustanku, alem wnet położył zabawie kres. Jak tylko Indianie doszli do takiej wprawy, że trafiali do celu na odległość stu kroków, naukę uważałem za ukończoną nie chcąc marnotrawić cennego prochu. Sporządziliśmy sobie ze skórek zajęczych po dwa woreczki na drogę, jeden do prochu, drugi do kul – ekwipunek był gotów.

Nic właściwie nie stało nam na przeszkodzie, by wyruszyć na morze. Okres burz minął, pogoda się ustaliła, skwarne powróciły dni, a wykończona tratwa czekała na rzece. Ale żal nam było rozstać się z polem kukurydzy. Rośliny powtórnie pięknie wyrosły. Jeszcze trzy, cztery tygodnie brakowało ziarnom do zupełnej dojrzałości. Postanowiliśmy tedy czekać i dopiero po żniwach opuścić wyspę. Tak jak zeszłego roku musieliśmy znowu pilnować pola, żeby szkodniki nie wyżarły nam dojrzewającego plonu. Niejeden przy tym ptak łakomy padał ofiarą naszych strzał. Strzelałem z łuku już po mistrzowsku, nie gorzej niż Arnak i Wagura.

Niezwykłe a przejmujące wypadki, jakie na wiele dni zburzyć miały spokój Wyspy Robinsona, niespodziewanie spadły na nas pewnego słonecznego dnia, kiedy nawet chmurki nie odkryłybyś na błękitnym niebie, a orzeźwiający wietrzyk od morza napawał rozkoszą. Rano tego dnia Wagura wybrał się na północ, by zajrzeć do papuziego gaju, czy tam ptaki jeszcze się legły. Po trzech godzinach pędem wrócił zdyszany, z wyrazem przerażenia w oczach.

–Ludzie... Ludzie... – bełkotał niezrozumiale, zasapany, nie

zdolny złapać oddechu.

Jak opętaniec wskazywał wciąż w tył, poza siebie.

–Co, ludzie?! Jacy ludzie?

–Wiele ludzi... Dużo... Dużo...

–Na morzu?

–Nie!... Wylądowali!

–Daleko stąd?

Wagura zakrztusił się, usta drgały mu jak w febrze. Po chwili dopiero zdołał odpowiedzieć.

–Koło gaju, gdzie papugi...

–Ile ich?

–Nie wiem... Mnóstwo... Cała chmara!

–Czy ciebie gonili?

–Nie.

–Nie odkryli?

–Nie.

–To dobrze!... A jacy to ludzie? Hiszpanie?

–Tak, Hiszpanie!

–Po czym poznałeś, że to Hiszpanie?

Wagura nie umiał odpowiedzieć, po czym ich poznał, ale zapewniał, że to Hiszpanie.

Myśl strzeliła mi do głowy, że to może karna wyprawa Hiszpanów z wyspy Margarity przeciwko nam. Co żywo skoczyliśmy do jaskini po broń. Nasze trzy strzelby były gotowe do strzału. Osiem pozostałych chyba nabiliśmy i ustawili je pod ścianą tak, by były na podorędziu.

Wleźliśmy na naszą górę z lunetą w garści, ale nawet z samego szczytu nie potrafiliśmy dostrzec jakiegokolwiek śladu przybyszów. Papuzi gaj, oddalony o trzy mniej więcej mile, ginał nam z oczu za przyłądkiem, jaki tworzyło tu wygięte łukowato wybrzeże wyspy.

–Trzeba im się z bliska przyjrzeć – oświadczyłem. – Podkradniemy się do nich.

–Jak dobrze, że mamy strzelby! – westchnął z zadowoleniem Arnak.

–I jak dobrze, żeście nauczyli się strzelać!

Sporo jeszcze brakowało czasu do południa, a dzień zapowiadał się uciążliwy i pełen niewiadomych niebezpieczeństw. Więc uszykowaliśmy sobie nieco prowiantu na drogę, starannie opatrzyli strzelby, ja poza tym wsadziłem za pas nabity pistolet, a oprócz broni palnej dobyliśmy luków: mogło się zdarzyć, że przyjdzie nam strzelać, ale bez zdradzania się hukiem.

Zrazu zamyślałem zostawić Wagurę przy jaskini, ażeby ją obronił na wypadek obcego najścia, wszakże młokosowi nie w smak to było i bardzo mu się zrobiło markotno.

–Co tobie? Nie chcesz zostać? – zdziwiłem się.

–Wolę iść z wami!

–Czy boisz się być sam? – zapytałem rozdrażniony. Kąśliwe me słowa odczuł boleśnie.

–Jam nie tchórz, Janie – zaprzeczył porywczo. – Ja nie

tchórz.

Żał mi się zrobiło, że tak pochopnie dotknął jego ambicji. Jakiż z niego byłby obrońca naszego siedliska, gdyby mu przyszło stawić czoło zgrai nieprzyjaciół? Może załamałby się, natomiast razem z nami mógł pożyteczną oddać usługę.

–Dobrze, Wagura! Pójdiesz z nami!

Dla pewności pozostawioną broń schowaliśmy; tak sprytnie, iżby nikt jej nie odkrył.

Wyruszyliśmy na wyprawę zwiadowczą, to znaczy, że nikogo

nie zamyślaliśmy napastować, najwyżej bronić się z bliska, jeśli

nas napadną – więc ciężki a dalekonośny muszkiet był mi tu

niepotrzebny. Zamiast niego wziąłem lżejszą guldynkę. Zmieni

liśmy także naboje. Wyjęliśmy kule i nabili strzelby ołowianymi

siekańcami, ażeby w razie potyczki więcej niż jednego razić na

pastnika

Milczkiem opuściliśmy jaskinię. Od samego początku każdy z nas miał się na baczności. Kroczyliśmy gęsiego – ja pierwszy, Wagura ostatni:- trzymając się brzegu zarośli. Często

przystawaliśmy łowiąc uchem odgłosy, ale krom szumu bliskiego morza i zwykłych krzyków ptactwa leśnego nic do nas nie dochodziło.

Po obejściu przylądka zauważyliśmy ich w odległości mili. Przyłożyłem do oka lunetę. Część przybyszów leżała na piasku przymorskim pod cieniem palm kokosowych i spała, jak gdyby śmiertelnym powalona znużeniem. Inni włóczyli się w pobliżu, szukając widocznie pożywienia, bo paru wlaźło na palmy i zrywało owoce. Naliczyłem około trzydziestu ludzi, ale więcej mogło być w gęszczy. Uderzyło mnie, że nie było widać na morzu żadnego statku, którym by tu przyплыnęli, i tylko trzy łodzie leżały nad brzegiem. Lunetę podałem Arnakowi, wzruszając ramionami.

**–Ośleplem czy co? Przyjrzyj no się dobrze! Jak oni tu przy
plynęli?**

Indianin dokładnie wpatrywał się w dal. Oslupienie malowało się na jego twarzy, gdy odłożył lunetę od oka.

–Nie widać statku! – rzekł. – Może wysadził ich na wyspie i odpłynął.

–Wątpię! Toby nie mieli trzech łodzi, tylko najwyżej jedną...

–Czy myślisz, Janie, że oni z daleka przyплыnęli na tych trzech łodziach?

–A jakże inaczej? Łodzie niewielkie. Musiały być bardzo przeciążone, by tyle luda udźwigać!

–Phi, nawet żagli nie mają! Samym wiosłem przyплыnęli. Ale skąd?

–Po prostu z wyspy Margarity...

–To w takim razie Hiszpanie?!

Cała rzecz wydała nam się dziwna i tajemnicza. Któż by rozumny puszczał się na pełne morze w daleką, bądź co bądź, wyprawę z tak niedostatecznym ekwipunkiem, na tak kruchych łodziach? I do tego w tak nadmiernej liczbie? Pogoda sprzyjała wiosłarzom, to prawda, ale spokojne dotychczas morze niechby się troszeczkę rozkołysało, a katastrofa gotowa. Dziwna obcych ludzi lekkomyślność.

–A może to Indianie? – wtrącił Wagura.

Spojrzeliliśmy jeszcze raz przez lunetę. Nie, nie robili wrażenia

Indian. Wprawdzie na tę odległość nie potrafiliśmy rozeznaczyć rysów ich twarzy, jednak nosili na sobie – niektórzy przynajmniej – odzież, to koszulę, to spodnie, znak, że to nie Indianie: tubylcy w tych stronach nie mieli podobnego odzienia. Zresztą trzy łodzie były wyraźnie pochodzenia europejskiego.

–Czy zauważyłeś u nich strzelby albo jakąkolwiek broń? – zapytałem Arnaka.

–Jeszcze nic nie odkrył – odrzekł Indianin.

–Mieliby być bez broni?

–Tak prawie wygląda, Janie...

Nagle chłopak, patrzący od pewnego czasu przez lunetę, wydał okrzyk zdumienia. Szybko podsuwając mi rurę, jeno wybąkał:

–Patrz sam!

Jedna z istot, śpiących dotychczas pod palmami, wstała. Była to kobieta. A obok niej pojawiło się coś mniejszego: dziecko. Zagadka coraz zawilsza, coraz bardziej nieodgadniona.

–Może tam jeszcze więcej kobiet leży na piasku? – mruknął Arnak.

–Bardzo możliwe. To jakaś wędrownka rodzin chyba. W każdym razie musimy dojść do sedna i zbadać, dlaczego tu przywędrowali.

Nie zanedbując środków ostrożności podjęliśmy pochód i jak poprzednio skradali się brzegiem zarośli. Wkrótce otoczyła nas gęstwina kolczastych krzewów. Rosły tu olbrzymie kaktusy.

W odległości około pięciuset kroków od koczowiska przybyszów wznosiły się pękate rośliny zbitą masą, dającą nam znakomite schronienie. Przycupnęliśmy. Stąd świetny otwierał się widok na ujście strumyczka, który wpadał tu do morza, następnie na wysokopienny las, nasz papuzi gaj, zieleniejący nieco dalej od wybrzeża, i na obóz obcych ludzi, tuż za ujściem strumyka, po drugiej jego stronie.

Przez lunetę dokładnie teraz śledziłem wszystko, co działo się w obozie, żaden szczegół nie uszedł mej uwagi. Natychmiast powiadamiałem towarzyszy o zauważonych odkryciach.

–Wśród leżących są kobiety i dzieci...

–Czy wiele ich? – pytał Arnak.

–Niewiele. Trzy, cztery – i tyleż dzieci...

–A mężczyźni mają wiele broni?

–Nie widzę jej wcale... Oho, jest! Jeden trzyma długi nóż, teraz ścina nim gałęzie... Drugi mu pomaga, też ma nóż...

–A luki znalazłeś?

–Ani śladu!

–I żadnej strzelby?

–Żadnej!

–Może pochowali broń?

–Ej, chłopcze! Na cóż mieliby chować i przed kim? Na wyspie bezludnej? Broń w takich okolicznościach trzyma się pod ręką, chyba że chodzi o wyprowadzenie kogoś w pole, o zgotowanie mu zasadzki. Tu tego „kogoś” nie ma!

–Ja bym im nie ufał! – wtrącił się Wagura.

Młokos wypowiedział to tak poważnym tonem, że chciało mi się wybuchnąć śmiechem. Wszaksem się powstrzymał, ażeby go nie peszyć niepotrzebną drwiną.

–Zapewniam ciebie – rzekłem – że będziemy mieli na nich

oczy otwarte i baczne. Aliści nie przesadzajmy w naszej podej

rzliwości...

Spozierając nadal przez lunetę poderwałem się ze zdumienia.

–Czekajcie! Coś dziwnego! Co to za niecodzienne towarzystwo! Nie ma tam ani jednego Hiszpana! Ani innego białego!

–Jak to?

–No, nie ma! To sami Indianie i... Murzyni!

–Murzyni?!

–Tak, Murzyni!

Wręczyłem Arnakowi lunetę, by sam się przekonał. Potwierdził me spostrzeżenie.

–Co ich tu przygnało?! – zastanawiał się chłopak.

–W każdym razie przyłynęli z okolic zamieszkanych przez białych ludzi – oznajmiłem.

–Z czego to wnosisz?

–Nie widzisz? Mają liche odzienie, noszone zazwyczaj przez niewolników na plantacjach, a poza tym – ci Murzyni. Żyjących na wolności Murzynów tu nie ma!

–Prawda.

Obecność wśród przybyszów kilkunastu Indian wywołała u mych towarzyszy zrozumiałe podniecenie. Mogli to być ludzie swoi, ale mogli i należeć do wrogiego szczepu. Nienawiść między niektórymi plemionami tak szkaradnie i głęboko zaczażdzala dusze tubylców, że czasem nawet okrutna niewola u obcych nie potrafiła wyplenić ani przytłumić wrogich uczuć. Stąd niepokój chłopców.

Po dłuższym przypatrywaniu się koczowisku doszedłem do przekonania, że ludzie ci nie przywędrowali tu w zaczepnych zamiarach. Byli zmordowani do cna, przygnębieni i często zatroskanym wzrokiem wodzili po północnym widnokręgu, skąd niezawodnie przybyli. Obawiali się, jakby stamtąd im coś groziło.

–Boją się pościgu! – stwierdził Arnak i ja też to samo odno

silem wrażenie.

Jeden z mężczyzn, człowiek słusznej postaci i muskularny, przybliżył się do strumyka. Łyknął z garści wody, potem zdjął koszulę i zaczął się zmywać. Arnak, który przez lunetę śledził jego ruchy, w nagłym uniesieniu potrząsnął Wagurę za ramię i kazał mu patrzeć przez lunetę. Obydwaj urywane rzucali sobie słowa w języku arawaskim, przejęci czymś doniosłym, to stwierdzając coś niebywałego, to wyrażając wątpliwości, to spierając się między sobą, a potem znowu łapali za lunetę, by się jeszcze raz upewnić. Jednom zmiarkował, że często powtarzali słowo: Manauri. Niezwykle ich ożywienie wzbudziło moją ciekawość.

–Co z tym Manauri czy jak tam? – zagadnałem ich.

–Ach, Janie! – odrzekł Arnak. – Ten, co się kąpie, ogromnie podobny jest do Manauriego.

–A Manauri kto?

–Manauri jest bratem matki Wagury i jednym z wodzów w naszym szczepie.

–Więc wasz bliski krewny?

–Nie jesteśmy pewni, czy to on. Mnie się widzi, że on, ale Wagura wątpi... Cztery lata nie widzieliśmy go. Mógł się zmienić, rozumiesz!...

–To nie Manauri! – zaręczał Wagura.

–A ja myślę, że Manauri! Z pewnością Manauri! – obstawał Arnak.

Kazałem im uciszyć się i oświadczyłem:

–Tu bardzo ważne, żeby uzyskać pewność. Dajcie nura

w chaszczce i podejźcie do niego jeszcze o sto kroków, ot tam, do

tej kępy! Może wtedy poznacie.

Wpadli z lunetą w knieję i czym prędzej sunęli w stronę strumienia. Żwawo pomykali, jednak niewiele to pomogło. Nie doszli daleko, kiedy Indianin wyszedł z wody, a obróciwszy się do nas tyłem, nałożył koszulę i wrócił do swoich.

Gdym dobrnął do chłopaków, wciąż byli poruszeni i niepewni, co sądzić o kąpiącym się człowieku.

W gęstwinie kaktusowej zetknęliśmy głowy jak najbliżej do siebie i mając baczne na obce koczowisko oko, nuże naradzać się, co czynić dalej. Należało coś powziąć stanowczego, bo przybysze, jak wynikało z ich zachowania się, nierychło zamierzali opuścić wyspę.

23. Yo amigo de todos!

Już dawno wprowadziłem w zwyczaj wspólne w trójkę narady przed każdym ważniejszym krokiem. Godziło się wysłuchać zdania chłopaków, bo zgraną i braterską tworzyliśmy kompanię, a poza tym takie do młodzików zaufanie okrutnie im się podobało. Zresztą całkiem na nie zasługiwali i przecież nieraz korzystałem z ich nader trafnych a słusznych uwag – szczególnie Arnaka.

Więc wspólnie teraz uchwaliliśmy, że lepiej będzie otwarcie pokazać się przybyszom, nim oni odkryją naszą obecność i przed-sięwzją jakieś wrogie w stosunku do nas zamysły. Widzieli nam się niegroźni; może nawet potrzebowali naszej pomocy, może ich pomoc nam by się przydała, mieli trzy łodzie.

Kiedym zabierał się do wyjścia z krzewiny, guldynkę odłożyłem na ziemię nie chcąc jej widokiem straszyć ludzi. Wystarczył mi pistolet wsadzony za pas i na pół ukryty.

–Czy my też pójdziemy bez strzelb? – zapytał Arnak.

–Nie pójdziecie wcale!

–Co? Co ty mówisz, Janie? Czemu nie? – chcieli opierać się chłopacy.

Patrzałem na nich z drwiącym nieco uśmiechem, co ich speszyło mocno i ostudziło.

–Widać – wyluszczyłem po chwili – żeście już dawno odwykli od życia w puszczy... Spodziewać się należy, że przed nami to przyjaciele, ale na razie, któż by na to przysięgał? A nuż strzeli im coś głupiego do głowy? W puszczy każdy obcy człowiek jest podejrzany i nigdy na początku nie wolno odkrywać wszystkich kart.

–Co to znaczy, Janie, odkrywać karty?

–Nie wolno pokazywać mu wszystkich swoich sił. Więc wyjdę ja Sam tylko i zobaczymy, jak oni się zachowają. Wy, moje wojsko, nadal pozostaniecie w ukryciu, dopóki nie dam wyraźnego znaku. Lepiej, że o was nic wiedzieć nie będą, chociażby sporo to miało trwać godzin... Czyście zrozumieli? Stanowicie po prostu mój ukryty odwód... Idę!

Ażeby nie zdradzić kryjówki Arnaka i Wagury, cofnąłem się krzewiną o dobre ćwierć mili i tam dopiero wyszedłem nad brzeg morza. Ciągnąc noga za nogą, jak gdyby przechadzka, w stronę koczowiska, zrazu miałem przed sobą palmy kokosowe, których pnie kryły mnie przed oczami przybyszów. Później wydostałem się na otwartą płaszczyznę. Ale widać tamci nikogo z tej strony nie spodziewali się, bom uszedł kawał drogi i był już blisko strumienia, kiedy nareszcie mnie odkryli.

Nieopisany popłoch! Kobiety w krzyk i w nogi. Pędząc do zarośli łapały po drodze dzieci.

Mężczyźni ujrawszy tylko mnie jednego nie umknęli, natomiast chwyтали za broń. Więc jedni za noże, drudzy za tęgie palki, i tak każdy, gdzie przypadł, zatrzymywał się jak wryty, palającym pożerając mnie wzrokiem. Po zgiełku pierwszej chwili zapanowała złowroga cisza.

Tym samym co dotychczas krokiem postępowalem dalej, aż dotarłem do ujścia strumyczka. Od najbliższych mężczyzn nie oddzielało mnie więcej niż trzydzieści, czterdzieści kroków.

Dzień był wyjątkowo spokojny, bezwietrzny. Strumyk, nawet niedaleko ujścia, miał gładką powierzchnię. Gdym doszedł do jego brzegu i spojrzał na wodę w poszukiwaniu przejścia, w odbiciu zobaczyłem siebie. Nie golona od przeszło roku broda wyrosła jak bujna puszcza dokoła dolnej szczęki, a długie niby lwia grzywa włosy zwisały mi na kark. Ażem się po troszku przeraził samego siebie, podobniejszego raczej do ludożercy niż do chrześcijanina.

**Uczyniłem przyjazny ruch rękoma i powitałem mężczyzn do
nośnym głosem:**

–Welcome – bywajcie!

Oczywiście po angielsku, bom znał tylko ten jeden język, jak wiadomo.

Oni się nie ruszyli nawet.

**–Good day – dzień dobry! – zawołałem i uśmiechnąłem się
przyjaźnie na całą gębę, chociaż diabli tam wiedzieli, czy cokol
wiek wydobywało się na zewnątrz poprzez okropną gęstwinę
zarostu.**

Na moje „dzień dobry” – znowu głuche milczenie,

–Czy nikt z was nie rozumie po angielsku? – zapytałem.

**Pytanie niedorzeczne, bo gdyby ktoś rozumiał, pewnie by już
przedtem odpowiedział.**

**Marynarz William nauczył mnie ongiś kilku słów hiszpańskich. Pozbierałem je teraz w
mózgownicy i krzyknąłem:**

–Buenos dias – dzień dobry!

**Z tamtej strony cisza, ani mru-mru. Tylko ktoś, stojący nieco dalej, poruszył ręką, a ktoś inny
jak gdyby z cicha westchnął. Zmiarkowałem po twarzach najbliższej stojących, że znali język**

hiszpański.

Po chwili znowu podjąłem:

–Amigo – przyjaciel! Bueno amigo – dobry przyjaciel!

Przy tym wskazywałem na siebie i uderzałem się w pierś, aże

by nie było wątpliwości, że ów dobry przyjaciel to ja.

Ale tamci jak gdyby w sople lodu się zamienili. Nie oczekiwałem tak nieprzychylnego przyjęcia. Czyżby aż tak okrutnie się przerazili widoku brodacza, iż całkiem odrętwieli, a język zamarł im w gębach?

Jeszcze nie dał za wygraną.

–Amigos – przyjaciele! – oznajmiłem i szerokim skinie

niem ręki zakreśliłem w ich stronę koło: łatwy do zrozumienia,

niedwuznaczny ruch, że ich wszystkich uważam za przyjaciół.

W ich gronie gdzieś rozległy się stłumione szepty, ale wnet ustały i znowum żadnej nie doczekał się odpowiedzi.

Już mi słów i dowcipu nie stało. Co by jeszcze zrobić, żeby ich rozruszać i przekonać? Domyślałem się, że po zaroście poznali we mnie Europejczyka i to ich taką przejęło do mnie nieufnością.

Jeszcze jeden pozostał mi sposób, ale bardzo niepewny.

–Manauri! – zawołałem.

Gdzieś z boku doszedł mnie odgłos zdumienia. Uczepiłem się go jak ostatniej nadziei.

–Manauri! – powtórzyłem wymawiając imię jak najwyraźniej.

–Ho! – odrzekł rosły Indianin i wyszedł spoza palmy, za którą dotychczas stał. Był to ten sam mężczyzna, który poprzednio kąpał się w strumieniu.

Fala radości zalała mi serce. A więc był to ziomek moich chłopaków, krewny Wagury.

–Manauri? – jeszcze raz powtórzyłem pytającym tonem,

ażeby się upewnić.

–Si, si – tak, tak! Manauri! – odparł Indianin.

Ogromne zdziwienie malowało się na jego obliczu. Żywom

sobie wyobrażał, co działo się w duszy tego człowieka: uciekł razem z innymi na bezludną wyspę, a tu wyrasta przed nim jak widmo obcy, brodaty chłop, Europejczyk, którego w życiu nie widział na oczy, i woła do niego po imieniu!

Manauri, wciąż z osłupieniem na twarzy, jął zbliżać się do mnie, kiedy z nienacka podskoczył do niego olbrzymi Murzyn i zatrzymał go. Podniecony, coś gwałtownie Indianinowi przedkładał, groźnie wskazując w moim kierunku. Niezawodnie ostrzegwał go przede mną.

Manauri był pokaźnego wzrostu, wszakże Murzyn jeszcze go przewyższał o pół głowy. Musiał to być silacz nie lada jaki; na tęgich ramionach i wypukłej piersi kłębiły się potężne zwoje mięśni. Jakem zdołał ocenić z oddali, miał bystre, przenikliwe oczy, żwawe ruchy i władczą, nakazującą postawę. Był to prawdopodobnie ich wódz.

Rozmowa między Manaurim a Murzynem miała burzliwy przebieg. Sprzecali się. Murzyn porywczo, Manauri z większym umiarem. Przeczuałem, że Murzyn silił się, aby go powstrzymać, a on chciał pójść do mnie i rozmawiać.

–Manauri amigo! – wołałem na całe gardło do Indianina

licząc na to, że nie ulegnie namowom tamtego. – Amigo Manauri!

W napięciu nerwów rozpaczliwie wyciskałem z pamięci wszelkie hiszpańskie słowa kiedykolwiek usłyszane. Chodziło o to, by przezwyciężyć wrogość olbrzymiego Murzyna i przekonać resztę o mych przyjaznych uczuciach.

Oporne słowa przychodziły mi niby płocze ptaki.

–Yo... amigo... de todos – ja przyjacielem wszystkich! – skle

cilem i rad, że mi się tak udało, gromko wykrzykiwałem po kil

ka razy, jak uroczyste zaklęcie.

Wielki Murzyn wydał szybkie rozkazy kilku towarzyszom, którzy na to biegiem wpadli do zarośli i przedzierali się przez nie, ażeby odciąć mi odwrót. Kiedym zrozumiał ich zamiary, głosem tudzież ruchami głowy i rąk wyraziłem sprzeciw, po czym dałem drapaką. Pędziłem przed pościgiem w odległości około stu kroków. Nie było mowy, żeby mnie dogonili, bom, ongiś słynny w Wirginii szybkobiegacz, na wyspie nie postradał od tego czasu ani krzty rącości.

Odwróciłem się do ścigających i kiwałem do nich, żeby mnie poniechali, ale oni sadzili tym zapalczywiej. Było ich sześciu czy siedmiu. Jeśli nie opamiętają się w ostatniej chwili, źle

będzie: poleje się krew, ich krew.

Pędząc ku kępie kaktusów, za którymi czatowali moi towarzysze, zacząłem do nich wołać już z daleka:

–Arnak! Wagura! Wskoczcie z ukrycia!... Strzelby! Pokażcie im strzelby!

Ileż w tej chwili zależało od tego, czy dobrze mnie zrozumieją i czy roztropnie się sprawią! Zależało i życie tych siedmiu w pościgu, a jeśli by już raz krew się polala – zapewne i nasze życie!

Na szczęście wszystko składnie się złożyło. Chłopacy znakomicie pojęli rozgrywającą się scenę. Wypadli z ukrycia nie tylko z groźnym wymachiwaniem guldynek, lecz ponadto z tak przeraźliwym krzykiem, że mogli być napędzić strachu i liczniejszemu przeciwnikowi. Gdy do nich dobiegł, Arnak rzucił mi do rąk przygotowaną dla mnie strzelbę i krzyknął:

–Już ich nie ma! Cofnęli się!

Jakoż strzelby samym pojawieniem się spełniły swe zadanie, jak należało – ścigającym odechciało się dalszej awantury. Kryjąc się w zaroślach, wzięli nogi za pas.

–Uchodźmy stąd! Szybko! – szepnąłem do chłopaków.

–Czy myślisz, że pogonią za nami? – zapytał Arnak.

–W tej chwili na pewno nie. Ale gdy ochłoną, to nie wiadomo... W każdym razie trzeba im zniknąć z oczu!

24. Zaciekłość Matea

Klucząc i zacierając za sobą ślady, ile się dało, wróciliśmy do jaskini. Słońce stało w połowie drogi między południem a wieczorem. Tego dnia nie spodziewaliśmy się niemiłych odwiedzin.

Spożyliśmy suty podwieczorek, po czym zabrałem się do ostrzenia noża myśliwskiego na kamieniu. Czynność ta tudzież gorliwość, z jaką ją wykonywałem, wydała się chłopakom tak cudaczna, że zrazu przypatrywali się z niedowierzaniem, potem pytająco spojrzeli na siebie, aż w końcu Wagura nie wytrzymał i zagadnął mnie kpiącym głosem:

–Kogo chcesz zarżnąć tak ostrym nożem?

–Siebie.

Zamilkł. Po chwili pokazując na swe gardło i czyniąc ruch podrzynania go prychnął:

–Tu?

–Zgadłeś, mądralo! Tu!

–To chcesz pozbawić się życia?

–Nie. Tylko brody.

–Aaa...

Indianie parsknęli wesołym śmiechem. Nigdy jeszcze nie widział ich w tak wyśmienitym humorze.

Nawet ponury zazwyczaj Arnak skory był do uciechy. Wiedzieli, że w ciągu kilku godzin, niezależnie od zlej czy dobrej woli wielkiego Murzyna, spotkają się ze współziomkiem Manaurim – to taką napawało ich radością.

Po naostrzeniu noża wyszukałem dwie odpowiednie deski i razem we trójkę poszliśmy nad rzeczkę. Włosy posmarowałem zajęczym tłuszczem, ażeby zmiękły, następnie wkładając je między deski kazałem ciąć blisko skóry.

–Będziesz mniej urodziwy! – z udaną troskliwością ostrzegł Wagura. – Będziesz mniej tygrysem!

–Za to będzie im się więcej podobał! – ocenił Arnak.

–Komu?

–No, tym kobietom. Nie widziałeś ich?

Śmiali się łobuzy moim kosztem i moim cierpieniem. Nóż, lubo ostry, nie był przecież brzytwą, włosy więcej wrywał, niż ciał. Po brodzie, z której pozostała znikoma resztką dawnej bujności, przyszła kolej na włosy na głowie. Coś jeszcze tam się ostalo, ale kark wyjrzał na światło dzienne. Gdym po skończonej operacji przejrzał się w wodzie, jakoś bardziej ludzki miałem konterfekt.

Oczywiście do siedziby naszej nie przyszliśmy tylko na podwieczorek i ścięcie włosów. Chodziło o ukrycie wszystkich ważniejszych przedmiotów na wypadek najścia w czasie naszej nieobecności. Więc obydwie tratwy przeciągnęliśmy w takie ustronie, gdzie gęste krzewy niby baldachim zwisały ponad rzeczka. Zapasową broń zakopaliśmy w kącie jaskini pod kupą sina. Co się dało, pochowaliśmy w okolicznych zaroślach, nawet uwiązaliśmy tam w kryjówce kilka wielkich żywych żółwi, które posiadaliśmy w naszym gospodarstwie.

Uspokojeni, że dostatecznie zabezpieczony został nasz dobytek, ponownie ruszyliśmy w drogę do koczowiska. Słońce właśnie zachodziło, kiedyśmy tam docierali. Dopóki było widno, przetrząsaliśmy gęstwinę w pobliżu naszego stanowiska, chcąc ustrzec się od zasadzki. Ale wszystko było w porządku, nikt w gąszczu nie siedział, przybysze koczowali na starym miejscu, po tamtej stronie ujścia strumyka.

Tym razem ja pozostałem w ukryciu z dwiema guldynkami pod ręką, a towarzysze poszli do obozu. Wzięli ze sobą strzelby, żeby tamci widzieli, iż jesteśmy uzbrojeni, ale obydwie te sztuki były zepsute i odłożone, a poza tym nie nabite: gdyby chłopakom miano zadać gwałt i odebrać im broń, na nic zdrajcom by się nie zdała.

Na odchodnym jeszcze raz dawałem młodym przyjaciółom ostatnie wskazówki niby żegnający ojciec:

–Więc idźcie i pogadajcie z Manaurim! Za nic w świecie nie zdradźcie nikomu, ilu nas tu jest. Nawet Manauri nie powinien na razie tego wiedzieć.

–A jak się zapytają o to?

–Oświadczcie, że surowo zakazałem wam mówić – i koniec! Nie wyjawiajcie także, ile mamy broni!... Zapewnijcie i Manauriego, i tego olbrzyma, że nie tylko człowiek uczciwy, ale przyjazny zarówno Indianom, jak Murzynom i chętnie im dopomogę, jeśli potrzebować będą mej pomocy.

–Tak powiemy, Janie! – oświadczył Arnak. – To szczerą prawdą!

–No, dobrze, dobrze... Oni, widać, są w srogim opale, coś ich okrutnie przycisnęło. Wszczynać jeszcze nierozumną wojnę ze mną byłoby szczytem głupoty.

–A jak nas ten olbrzym zechce zabić?

–To mało prawdopodobne, już chociażby ze względu na Manauriego. Ale może to szalenie

niespełna rozumu! Jeśliby groził, powiedzcie, że czatuję w pobliżu i zanim was skrzywdzi, dostanie kulą w łeb. Potrzeba wam tylko krzyknąć do mnie...

–Uważaj, Janie! Trzymać się będziemy koło ogniska, żebyś miał nas ciągle na oku.

–Doskonale!... Cokolwiek się stanie, będę was bronił jak własnego życia. Już raz wam to kiedyś powiedziałem, że nigdy was nie opuszczę w biedzie!

–Pamiętamy, Janie!

Poszli. Mrok gęstniał na dobre, więc podkradłem się za nimi aż do brzegu strumyka. Tu przywarłem do krzewu. Koczowisko znajdowało się o kilkadziesiąt kroków ode mnie i mogłem nie tylko słyszeć, jeśli coś głośniejsze mówiono, ale i widzieć, pomimo nocy, bo rozpalono dwa nieduże ogniska.

Wprędce doszły mnie donośniejsze, urywane głosy. To chłopacy zjawili się w obozie. Widziałem, jak kroczyli w stronę ogniska i jak zbierał się dokoła nich tłum ludzi.

Poprzez ciżbę trudno było śledzić, co się z nimi działo: zbite w kupę postacie zakrywały ich przede mną. Bacznie rozglądał się. O kilka ode mnie kroków rosła palma kokosowa. Przy ziemi pień wznosił się ukośnie i dopiero znacznie wyżej szedł w pion. Bosymi nogami łatwo wlałem na tę pochyłość i z góry doskonale ogarniałem wzrokiem cały obóz. Chłopacy stali przy ognisku, tak jak zapowiedzieli. Oddzielało nas jakie osiemdziesiąt kroków; kęssek za dużo, jak na strzał w nocy. Jedną strzelbę zabrałem do góry, by natychmiast mieć ją w pogotowiu; drugą położyłem na ziemi wedle pnia.

Widziałem Manauriego, jak poznał chłopaków i wzruszony, z nimi się witał. Równie serdecznie ścisnęło ich kilku innych Indian, niewątpliwie pochodzących z tego samego szczepu. Obecni Murzyni nie mniejszą okazywali radość, a nawet górujący o głowę nad wszystkimi olbrzym życzliwie przyjmował młodych gości. Kamień spadł mi z serca i pełen dobrej myśli oczekiwałem dalszych wypadków.

Arnak wydał otaczającym go ludziom donośne polecenie i ci przycupnęli na ziemi. Nie usiadł tylko on, Wagura, Manauri i wielki Murzyn.

Sprytna szelma! – z uznaniem pomyślałem o młodym India

ninie, gdyż na skutek jego zmyślnego zarządzenia lepiej ogarnia

łem całą scenę, do czego on widocznie zmierzał.. '

Rozmowa ich, przeciągająca się do późnej nocy, była ożywiona i dość zawila. Najpierw Arnak długo rozwodził się opowiadając niezawodnie o swych przeżyciach na okręcie kaperskim i na wyspie. Pokazywał swe ciało pełne blizn, a Wagura blizny na plecach i naderwane ucho. Arnak posługiwał się, rzecz prosta, językiem arawaskim, Manauri zaś tłumaczył niemal słowo w słowo

na hiszpański, ażeby zrozumieli wszyscy Murzyni. Potem sam Manauri w sposób zwięzły, acz dobitny wyłożył moim towarzyszom swe dzieje, związane, jakem wyczuł, z rozległą wyspą na północy, bo często wskazywał w tym kierunku. Prawił z wielką swadą, widać, człek przetarty życiowo i nawykły do wystąpień w licznym gronie a tubalny głos jego dźwięczał wśród palm i krzewów kaktusowych jak żwawy potok górski.

Gdy skończył, Arnak od nowa się odezwał i zapewne teraz mówił o mnie: Indianie słowom jego w wielkim skupieniu i życzliwie dawali ucha, za to wśród Murzynów, gdy Manauri przetłumaczył, nieprzychylnie zerwały się pomruki. Olbrzym wystąpił i okrutnie pomstował. Indianie przerywali, zaprzeczali. Srogi z tego zrobił się huczek, dopóki Manauri gromkim a rozważnym wywodem nie przemówił pokłóconym do rozumu i burzę uciszył. Doszło do jakiej takiej zgody, nastąpiło wyraźne odprężenie, a Arnak ruszył w moją stronę i wołając pytał, gdzie jestem.

Odkrzyknąłem mu. Gdy podszedł, w krótkich słowach wyjaśnił położenie:

–Wszystko w porządku, Janie!

–Jak to? – dziwiłem się. – A ta kłótnia?

–Indianie ufają ci i są po twojej stronie. Murzyni właściwie tak samo, tylko...

–Tylko co?

–Boją się wszystkich białych. Aleśmy ich przekonali.

–Czy na pewno?

–Chyba tak.

–A czemu ta cała grupa tu przyplłynęła? Co mówi Manauri?

–Na północy to rzeczywiście wyspa Margarita, nie myliliśmy się. Tam Murzyni i Indianie cierpią straszną niewolę. W ostatnich czasach były rozruchy. Niewolnicy zbuntowali się przeciw Hiszpanom. Ale przegrali. Właściciele bezlitośnie ich karzą, wielu mordują. Tym tutaj udało się porwać trzy łodzie, w nocy odplłynęli. Po dwóch dniach dostali się na naszą wyspę.

–I co dalej zamierzają?

–Uciec na stały ląd, a przedtem nieco odpocząć i zdobyć żywność. Mało im pozostało do jedzenia...

–To pobędą tu kilka co najmniej dni?

–A jakże.

–I nie boją się pościgu?

–Zdania są podzielone. Wypływali stamtąd w nocy, nikt ich nie widział. Dotychczas nie zauważyli pościgu. Myślą, że będzie tak dalej i cało dopłyną do stałego lądu.

–A wiedzą coś o prądzie?

–O tym nie wspominaliśmy.

Nie chcąc wywoływać wrażenia śmiesznego wojaka, chodzącego z dwiema strzelbami, jedną tylko zabrałem ze sobą, przewiesiwszy ją przez ramię, drugą zostawiłem opartą o palmę kokosową. Nikt tego nie zauważył: ciemność nad strumieniem panowała gęsta. Przebrnąłem przez wodę, sięgającą do łydek, i kroczyłem wprost na ognisko, przy którym stała starszyzna.

–Buena noche – dobry wieczór! – powitał mnie Manauri.

–Buena noche! – odpowiedziałem i zbliżywszy się podałem rnu rękę.

Uścisnęliśmy się mocno. Był to mężczyzna około czterdziestoletni, o spokojnym, rozumnym wyrazie twarzy budzącej zaufanie. Na uśmiech jego odpowiedziałem szczerym uśmiechem.

Ognisko otaczało kilku mężczyzn, Indian i Murzynów. Kolejno podchodziłem do każdego i witałem się podaniem dłoni. Wielki Murzyn, stojący na uboczu, zamyslał usunąć się cichaczem, ale pośpieszył doń i wyciągając rękę zawołał:

–Buena noche, amigo!

Wszyscy na nas patrzyli, więc jakoś nie wypadło odmówić mi podania dłoni. Ledwo jej dotknął. Miał wzrok skierowany ku ziemi; Murzyn wyglądał jak sowa odęta. Z twarzy jego bila nieprzeciętna bystrość i jakaś buńczuczna duma, ale zarazem i dzika zawziętość. Gdyby nie to zasępienie, w rysach jego można by dopatrzeć się pociągającego wyrazu. Ze zdumieniem stwierdziłem, że olbrzym był stosunkowo młody; najwyżej liczył lat dwadzieścia pięć, był zatem nieco młodszy ode mnie.

–Amigos! – odezwałem się do obecnych i przeszedłem zaraz

na język angielski. – Amigos! Jako rozbitek na tej wyspie od

przeszło roku, witam was serdecznie. Zapewniam was, że udzielię

wam wszelkiej pomocy, na jaką mnie stać, abyście mogli odzy

skać zupełną wolność...

Przemowa do wszystkich w obozowisku stanowiła nie lada kłopot, bo najpierw Arnak tłumaczył moją angielszczyznę na język arawaski, Manauri zaś z arawaskiego na język

hiszpański. Droga kręta, wszakże wiodła do celu.

Indianie słysząc me słowa nie ukrywali radości, a Manauri wyraził podziękę i oświadczył, że wspólnie dążyć będziemy do tej wolności, bo jak mu powiedział Arnak, i ja zamierzam pójść na stały ląd, a żem człowiek w przyrodzie doświadczony i z wyspą obeznany, chętnie słuchać będą moich wskazówek oraz rad.

Wyskoczył naprzód wielki Murzyn. Cały się zatrząsł, z oczu tryskały mu błyskawice gniewu.

–Ludzie! – krzyknął. – Czyście rozum stracili?! Czy nie widzicie, że to biały? Czy biały był wam kiedy przyjacielem?

–Mateo, uspokój się! – łagodnym głosem powstrzymywał go Manauri.

–Czy tak krótką macie pamięć, wy ptasie mózgi! – sierzcił się niepohamowany Murzyn. – Czy zapomnieliście już o krzywdach doznanych od tych bestii w białej skórze?... Kto nam na policzkach wypalił znak niewolników na całe życie?... Kto nam plecy porozrywał do kości?... I wy mu chcecie zaufać... Wy, głupi, wozem go jeszcze obieracie?

–Tylko na wyspie! – odezwał się jeden z Indian.

–On inny niż tamci! – zaręczył Manauri.

–Dlaczego inny? Sam jest w biedzie, więc lasi się. Ale niech tylko stąd się wydostanie!... Skąd wiesz, że on inny niż tamci?

–Arnak mówił..

–Arnak! Arnak! A może Arnak to pies jedzący z ręki pańskiej, co własnych braci rozszarpie, byleby panu się przylizać? Małoż to znamy takich sługusów? Skąd wiecie, że Arnak to nie taki?

–Znamy Arnaka...

–Z dawnych lat! Niewola zmienia!

–Niewola go zahartowała, jakem się przekonał.

–On inny! On inny! – gniewnie szyderczym głosem parskał Mateo, jak Murzyna nazywano, cedząc poprzednie słowa Manauriego. – Dlaczego inny? Czy nie był na okręcie pirackim? Był, sam Arnak to zdradził. A okręty pirackie czy nie napadają na spokojne wsie i nie łapią Indian do niewoli? Czemuś był na okręcie pirackim, powiedz nam, ty?!

Pałający wzrok lepił we mnie i czekał niby sędzia nieublagany. Gdy pytanie jego doszło do mnie – z hiszpańskiego języka poprzez arawaski na angielski – odrzekłem po prostu:

–Zmuszono mnie.

–Zmuszono ciebie? Czy byłeś niewolnikiem?

–Prawie że niewolnikiem. Uciekałem przed siepaczami, jak wy teraz uciekacie. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko okręt piracki.

–Jak to? Czyżby istnieli biali niewolnicy? Pierwszy raz to słyszę.

–On Anglik, nie Hiszpan! Nie zapomnij o tym! – wtrącił wyjaśniająco Manauri. – Hiszpanie nie mają białych niewolników, ale u Anglików, jak wiadomo, są tacy. Czy to prawda?

Na pytanie zwrócone do mnie wyjaśniłem, że prawda. – I pracują na plantacjach jak inni niewolnicy? – prychnął Mateo niedowierzająco. – Pracują tak samo, dopóki po latach nie wykupią się.

–To dziwne mi się wydaje!... Wiem, że Anglicy nie lepsi od

Hiszpanów. Na wyspie Jamajce wymordowali Indian i sprowa

dzili tysiące murzyńskich niewolników. Katują ich tak samo jak

Hiszpanie. Alem o białych niewolnikach nie słyszał... I ty byłeś

takim niewolnikiem, powiedz?

Urągliwy, pyszałkowaty sposób jego odzywania się zaczął działać mi na nerwy. Budził we mnie sprzeciw. Mógłbym odpowiedzieć, że byłem niewolnikiem, i krótkim toporzyskiem załatwić sprawę. Ale wobec zarozumialca nie chciałem poniżyć się do kłamstwa, chociażby nikłego.

–Takim niewolnikiem nie byłem! – odparłem.

–Czy słyszycie, że przyznaje się? – Mateo krzyknął triumfująco do Indian.

–Ale ścigano mnie – dodałem podnieconym, gniewnym głosem – i musiałem zbiec na okręt piracki!

–I żądasz od nas, żebyśmy temu wierzyli? – zaśmiał się złośliwie.

–Żądam, tak! Bom sam uczciwy i was za uczciwych biorę!

Mateo zmienił się na twarzy, spoważniał. Godną chwilę ważył coś w myślach, zapatrzony w buzujące ognisko. Potem podniósł oczy, w których przebijała głęboka troska, i rzekł do Indian:

–Była dotychczas zgoda między nami, wspólna niedola nas łączyła. Razem wyrwaliśmy się z niewoli i przyłynęli na tę wyspę. Tu weszło nam w drogę wielkie niebezpieczeństwo, zjawił się

biały człowiek. Biały człowiek zawsze był nam wrogiem. Wy powiadacie, że ten biały człowiek to wyjątek, to przyjaciel...

–Mateo! – przerwał mu Manauri zaklinającym głosem. – To naprawdę nasz przyjaciel, wierźcie mi!

–Jak mam ci wierzyć, kiedy wiem, że ty znasz go tak krótko i skąpo! Zastanów się, druhu!

–Musisz wierzyć, trudno!

–Nie mogę wierzyć, bo tu na szali zbyt ważne rzeczy, los nas wszystkich... Ale czekajcie! Sęk w czym innym! Dajmy na to, że masz słuszość, Manauri, że to człowiek porządny. To Anglik, prawda? Pamiętajcie, że te otaczające nas wyspy i ten stały ląd, dokąd zmierzamy, i to morze dookoła należy nie do Anglików, lecz do Hiszpanów, wrogów Anglii. Jeśliby Anglik wpadł tu w łapy Hiszpanów, równy zgotowałiby los jemu jak nam, a kto wie, czy nie gorszy jemu niż nam!

–Do czego zmierzasz, Mateo?

–Do prostej rzeczy. Teraz – to on może dobry. Ale jeśli zetkniemy się z Hiszpanami, co prędko może nastąpić i może nawet dojdzie do walki z nimi, to czy on, Anglik, nie uprzytomni sobie wtedy, że jest białym człowiekiem, i czy w ostatniej chwili nie zdradzi nas, ażeby ratować swą skórę? Czy nie sprzeda naszego życia za cenę własnego życia?

Głuche zapanowało milczenie. Słowa Matea wywarły głębokie wrażenie. Tkwiła w nich niesamowita, zniewalająca siła urzekania. Był to człowiek nie tylko krzepki ciałem, ale i mózg posiadał jednako tęgi. Tok jego myśli był ścisły i rozumny, nie można mu było odmówić słuszości, jeżeli – i tu Mateo popełniał błąd – jeżeli za bezsporną uważać pewność, że miał charakter słaby i chwiejny. W tym Mateo dopuszczał się niesprawiedliwości...

Z gorliwą pomocą pośpieszył mi Arnak. Przypomniał, żeśmy już dwa razy zetknęli się z Hiszpanami – raz, kiedy pojawił się statek u wybrzeży i można go było łatwo przywabić ogniem, innym razem, kiedy Hiszpanie wylądowali na wyspie z palącego się okrętu – a zawsze postępowałem jak szczerzy przyjaciel Indian i wróg Hiszpanów.

–Posądzać – kończył Arnak – posądzać tego człowieka, że jest niestały i niskiego charakteru – to śmieszne!

–Wypadki, które wymieniasz – odparł Mateo – nie przekonywają: biały człowiek mógł być postępować tak albo siak. Wtedy nie był przyciśnięty do muru i nic nie tracił... Ale kiedy będzie miał nóż na gardle, kiedy zdradą będzie mógł okupić życie własne...

Nie dokończył podsuwając słuchaczom domysły tego, co się potem stanie.

25. Rozłaka

Zaciekłość i podejrzliwość Matea ścinały mrozem dusze strapionych zbiegów. Złowieszcze to były słowa, przygnębiające tym bardziej, że dużo zawierały cech prawdopodobieństwa.

Po długiej chwili kłopotliwego milczenia Manauri odezwał się do Matea:

–Więc co radzisz zrobić? Czy masz jaką dobrą radę?

–Mam!

Wszyscy w napięciu patrzyli na Murzyna. On ogarnął mnie złym, zimnym wzrokiem. Takie zimne i przygaszone ślepie mają drapieżne bestie, gdy gotują się do skoku na ofiarę. Mimo woli dotknąłem mej strzelby, ażeby przekonać się, czy wisi na ramieniu.

–Uczciwy on czy nieuczciwy – zawarczał Mateo – zły czy

dobry, to w tej chwili nieważne. Natomiast samo jego istnienie

jest wielką dla nas groźbą. Bezpieczni bylibyśmy jedynie naów-

czas, gdyby on nie żył!

Skoro Arnakowi i Wagurze przetłumaczono te słowa, chłopacy srogim okrzykiem wyrazili swe oburzenie i złapali za strzelby.

W nocnej ciszy, jaka na chwilę nastąpiła, rozległ się trzask odwiedzionych kurków.

–Nie tak krewko, chłopaczki, nie tak krewko! – ostrzegająco rzucił ku nim Mateo. – Jeszcze nie skończył... Wiem, że białego darzycie jakimiś wyjątkowymi względami. Wiem, że omamił on tych dwóch młokosów, a także i was, dorosłych, dziwnie opętał. Więc nie żądam jego śmierci! Niech żyje! Ale żądam czego innego. Żeby nie mógł nam zaszkodzić, przetrzymamy go związanego tak długo, jak będziemy na tej wyspie. Dopiero uwolnimy go wtedy, gdy ją opuścimy. Niech sobie tu dalej żyje!

–Nie! – gwałtownie zaprzeczył Arnak. – Tak się nie stanie! Wy go nie zwiążecie! A tu nie pozostanie, jeno z nami pojedzie na stały ląd!

–Milcz, chłystku! – zgromił go olbrzym. – Nikt ciebie nie pytał.

Wagura doskoczył na pomoc przyjacielowi.

–On się nie da! – wrzasnął rozsierdzony. – On ma broń!

Mamy wiele broni!

Mateo zbył go wzruszeniem ramion i dmuchnął lekceważąco:

–To dobrze, że ma! Przyda nam się jego broń!

Znowu zapadło milczenie. Murzyn obrzucił starszyznę Indian niecierpliwym spojrzeniem i rzekł do niej z wyrzutem:

–Młodziki językiem pytlują trzy po trzy i puszą się jak starzy, a starzy języka zapomnieli w gębie i milczą!

–Męczysz nas! – rzekł rozgoryczony Manauri.

–Ja męczę?! To on was męczy swoją obecnością, nie ja!

–Wprawiasz nas w kłopot...

–Może i tak! Ale trzeba się decydować! Jam jasno wypowiedział swe zdanie. Wyjawcie i wy swoje.

–Zaczekaj!

Tak jak stali, Indianie odbyli na miejscu krótką naradę. Prawie każdy zabierał głos. Mówili po arawasku, niewiele rozumiałem, wszakże nie uszło mej uwagi, że jedni jak gdyby mocno byli za mną, inni się wahali.

Obojętne, co by tam uradzili, położenie moje było wysoce kłopotliwe. Staliśmy niedaleko ogniska, ale płomień, nie podsycane należycie od pewnego czasu, nieco przygasły. Ściskając kurczowo rękojeść strzelby, nieznacznie się rozglądał, gdzie by skoczyć w chwili niebezpieczeństwa. Kierunek ku strumieniowi wydał mi się najodpowiedniejszy, bo mało tu było ludzi, a po kilkunastu susach już w gęstych przepadłbym ciemnościach. Na szczęście do tego nie doszło. Indianie oświadczyli się na moją korzyść. Mateo, gryząc wargi i z trudem panując nad swym wzburzeniem, wysłuchał do końca wyjaśnień, jakich mu udzielał Manauri. Potem krzyknął na cały głos:

–Czy wiecie, co to znaczy? To znaczy...

–To znaczy – wpadł mu w słowo Indianin – że mamy sojusznika, który wielce nam dopomoże do ucieczki swoim doświadczeniem i swoją bronią, której mnóstwo tu posiada.

–Nie, Manauri! To znaczy, że ja się na to nie zgodzę! Ja białemu człowiekowi nie ufam! Ja z nim razem przebywać nie będę! Ja i moi ludzie!

–Więc co zrobisz, do licha? Czy chcesz siać niezgodę i gubić nas wszystkich we wzajemnym żarciu się?

–Jeśli nie zmienicie zdania, odejdę od was z moimi ludźmi, pójdziemy samopas. Nic o was nie

chcę słyszeć!

–Odlączysz się?

–Tak, odłączę się!

–Żartujesz chyba, Mateo?

Nie. Mateo nie żartował. Uparł się i żadne przemawianie do rozsądku nie odnosiło skutku. Było już nade dniem. O świcie grupy zamierzały się rozdzielić.

Wziąłem na bok Manauriego i namówiłem go do przeniesienia swego oddziału w pobliże mej jaskini, gdzie nietrudno było zdobyć żywność ze względu na łatwy dostęp do Jeziora Obfitości.

–A Mateo dokąd zamierza pójść? – zapytałem.

–Nie wiem. On sam pewnie jeszcze nie wie.

–Może by poszedł na zachodni brzeg wyspy, bo moja jaskinia leży na wschodzie. Tym sposobem nie wejdziemy sobie w drogę i łatwiej każdy znajdzie pożywienie w swoim rejonie.

–A czy na zachodzie jest dość żywności?

–O, pod dostatkiem! Roślinność mniej więcej ta sama co tutaj, a zwierząt – z pewnością obficie, bo tam nie polowaliśmy. Co więcej, na południowo-zachodnim cyplu wyspy wychodzą na ląd morskie żółwie, które dla Matea i dla nas powinny stanowić główny pokarm w tych dniach.

–Zobaczę, co na to Mateo. Pogadam z nim...

Mateo zgodził się, bo pragnął być jak najdalej ode mnie. Dobytku do podziału zbiegowie nie mieli wiele, najważniejsze były trzy łodzie, jedna większa i dwie nieco mniejszych rozmiarów. O te łodzie szkaradna powstała chryja. Grupa Manauriego była znacznie liczniejsza, składała się bowiem z dwudziestu dwóch Indian wraz z kobietami i dziećmi, podczas gdy Mateo miał tylko piętnastu ludzi. Mimo to żądał dla siebie dwóch łodzi tłumacząc to obecnością większej niż u Manauriego ilości kobiet i dzieci.

–Co za różnica? – zawołał Indianin. – U ciebie trzy kobiety, u nas dwie. U ciebie czworo dzieci, u nas troje. A kobiety i dzieci przecież mniej zajmują miejsca w łodziach niż mężczyźni!

–To mi obojętne. My potrzebujemy dwóch łodzi!

Mateo, wściekły na Indianina, że nie uległ mu w sprawie białego człowieka, zaciął się w takim gniewie, iż był ślepy i głuchy na wszystko. Uporu jego nie dało się przelamać. Pragnąc uśmierzyć zatarg i w ogóle kres położyć niesnaskom szepnąłem Indianinowi, ażeby ustąpił.

–Mamy dwie tratwy. Jakoś sobie poradzimy! – wyjaśni

łem. – Teraz, kiedy wioślarzy nam nie zbywa, damy sobie radę!'

Więc Manauri zgodził się na odstąpienie dwóch łodzi, z tym że otrzyma największą szalupę, na co Mateo przystał. Olbrzym był zadowolony, że woli jego stało się zadość.

Pierwsza bladeść na wschodnim niebie zwiastowała koniec nocy. Wagurę posłałem na drugi brzeg strumienia, ażeby przyniósł mi guldynkę, pozostawioną tam pod palmą.

Podczas gdy ludzie w obozie zbierali swe ubogie manatki, Manauri, Mateo, Arnak i ja wciąż staliśmy przy ognisku. Zamierzali rozejść się, ale ich jeszcze poprosił na chwilę. Znałem przyrodę wyspy i możliwości zdobywania tu pożywienia, więc sprawa pokarmu dla tak wielkiej ilości ludzi – czterdziestu jeden wszystkich razem – zaprzętała mi myśli.

–Zwierzyny nie ma tu tak wiele, by wystarczyła na po

karm – oznajmiłem. – Trzeba koniecznie zbierać owoce, dzikie

jarzyny, korzenie...

Będziemy je zbierali – oświadczył Manauri.

–Dla was to igraszka, boście tutejsi; ale towarzysze Matea chyba nie znają puszczy, bo z Afryki przybyli.

–To nic! – zawołał Manauri. – Przydzielę im jednego albo dwóch z naszych ludzi, pouczą ich... Zresztą żona Matea zna się dobrze na tych rzeczach, bo pochodzi z naszego szczepu!

–Nie chcę waszej pomocy! – zachnął się olbrzym. – Sami sobie poradzimy.

W tej chwili przybiegł speszony Wagura i powiedział mi do ucha, że strzelby nie mógł znaleźć, zginęła.

–Stała oparta o palmę – wyjaśniłem.

–Szukałem tam wszędzie dokoła palmy! Nie ma jej!

–Źle szukałeś!

–Chodź sam zobaczyć!

Poszedłem. Guldynki w istocie nie było. Ktoś mi ją zabrał. Nazwę to właściwiej: ukradł. Uczułem gorzki niesmak, byłem rozżalony.

Wróciwszy do koczowiska zawiadomiłem Manauriego o zgubie. Indianin zaraz przeprowadził

dochodzenie wśród swoich.

Nikt strzelby nie miał ani nie widział.

Udaliśmy się do Matea i prosto z mostu oświadczyłem mu, że zginęła strzelba.

–Wiem! – zuchwale łypnął oczyma. – Mam ją! Przynieśli mi. Zatrzymałem ją sobie!

–To moja strzelba, prawda?

–Wiem.

–No, i co? – zapytałem rozdrażniony.

Mateo zwrócił się do obecnych Indian biorąc ich na świadków.

**–Teraz sami widzicie, jaki on nasz przyjaciel! Powiada, że strzelb ma dużo. Sam wie, w jakich jesteście opalach i jak po
trzebujemy broni. A on chciałby mi ją odebrać... Nie, to teraz
moja strzelba!**

Opanowałem swe wzburzenie. Byłem znów spokojny. Spojrzałem na niego z ubolewaniem.

**–Mateo! – powiedziałem przyciszonym głosem, patrząc mu
przenikliwie w oczy. – Jesteś cudak i błąkasz się na złej ścieżce!**

**Wiem, że broń ci potrzebna. Ale co innego kradzież, a co innego ludzkie słowa. Gdybyś z
ludzkim słowem do mnie się zwrócił, na pewno bym nie odmówił.**

Widząc, że stroi buńczuczną minę, dodałem:

**–Zresztą co ci po tej strzelbie? Jest w niej proch na jeden strzał. Wystrzelisz raz i potem
koniec.**

–Może żądasz, żebym ciebie błagał na klęczkach? – zawarczał ze złością.

**–Nie żądam, Mateo!... A ponieważ, jak widzę, strzelby oddać mi nie chcesz, a wiem, że ci się
przyda, to dodam ci jeszcze prochu i kul z moich zapasów.**

**Wśród obecnych Indian i Murzynów rozległy się głosy uznania. Natomiast u Matea słowa moje
całkiem nieoczekiwany wywołały skutek. W przystępie zapalczywości zaiskrzyły mu się oczy i
olbrzym potrząsnął pięściami.**

–Patrzcie go, jaki dobrodziej! – krzyknął. – Ty mnie nie upokarzaj swoją szlachetnością, ty mnie nie ośmieszaj! Nie chcę twojego prochu! Nie chcę twojej strzelby! Udław się nią!

Zawołał do swoich, by mu broń przynieśli, i kazał mi ją wręczyć. Ludzie nieskoro to spełniali, a Manauri zaklinał go, by rozsądnie postępował i strzelbę przyjął, wszakże Mateo – nie i nie!

Jaśniało coraz bardziej. Rozszerzał się widnokrąg. Wlazłem na pobliską wydmy i zbadalem ocean. Dokoła, jak okiem sięgnąć, pustka. Pogoni nie było.

Na łódź Indian wsiadło tylko jedenaścioro, to znaczy kobiety z dziećmi oraz sześciu wioślarzy, reszta grupy razem z nami wybrała się pieszo. Mateo zamierzał opłynąć wyspę od północy, ale szczerze mu odradzał: droga przeciwną stroną, wschodnią i południową, była nieco krótsza, a przede wszystkim bezpieczniejsza, bo jakkolwiek pościg, jeśliby wyruszył za nimi, przyszedłby od północy, od wyspy Margarity. Olbrzym tylko uparcie potrząsał głową i mruknął, że popłynie mimo to północną stroną.

Gdy kobiety wsiadały na łodzie, pokazano mi żonę Matea. Była to młodziutka i niezwykle urodziwa Indianka, trzymająca w ramionach rocznego mniej więcej synka. Mateo z nadzwyczajną troskliwością, jakiej nigdy nie spodziewałbym się u tak opryskliwego człowieka, wziął od niej dziecko i pieczołowicie pomógł jej wsiąść do łodzi. Spojrzenia jego, gdy spoczęły na żonie i dziecku, przepojone były wyrazem miłości i oddania. Nie mogłem dość nadziwić się widokowi.

Manauri podszedł do mnie z zapytaniem, czyby nie zatrzeć śladów po koczowisku.

–Koniecznie – odparłem.

Wszyscyśmy, mężczyźni i chłopcy, za pomocą gałęzi doprowadzili w ciągu kilkunastu minut miejsce do poprzedniego stanu.

Kiedym później, krocząc już piaskiem wzdłuż wybrzeża, spojrział na morze, zauważyłem, że nie tylko wielka łódź Indian, lecz także obydwie łodzie grupy murzyńskiej płynęły na południe. A więc Mateo poszedł za moją radą.

Dziwny człowiek! – zadumałem się.

26. Cień z Margarity

Pomimo nie przespanej nocy nie było czasu na spoczynek. Nie łada czekała nas wszystkich praca. Nakarmienie dwudziestu pięciu gąb w naszych warunkach to nie fraszka.

Zaraz po wyciągnięciu potężnej łodzi w górę strumyczka, podczas przypływu morza, do czego wszyscy przyłożyli ręki, i ukryciu jej pod pnączami pobiegłem na pole kukurydziane osierocone od wczorajszego rana. Razem ze mną był Manauri; chciałem się przed nim pochlubić naszym dorobkiem.

Nie mylilem się. Wiele papug siedziało na dojrzewających kiściach i szelmy z rozkoszą wyżerały ziarna. Na ziemi baraszkowało stado czarnych ptaków, podobnych do wielkich kur. Jużem chciał szkodników przepłoszyć w diabły, ale Manauri powstrzymał mnie.

–Urządzimy obławę! – szepnął do mnie po hiszpańsku, com łącno zrozumiał po ruchach.

–Słusznie! – rzekłem tym samym sposobem.

Nie wychodząc z gąszczy, cichcem zawróciliśmy i pobiegli do swoich. Każdy porywał, co mu pod rękę popadło: ów luk i strzały, ów kij lub maczugę, ów dobył noża. Myśliwi łańcuchem zacaili się pod lasem na skraju pola, naganiacze pędzili od strony rzeczki. Szczęście dopisywało nam nadzwyczajne. Z papug, które z wrzaskiem wzbiły się w powietrze i odleciały, padły tylko dwie, celnie trafione z luków. Za to kurowate, uciekające na nóżkach, łatwo doganialiśmy i natlukli ich do dziesięciu. Odbywało to się wśród wesolych krzyków i śmiechu. Takie powodzenie braliśmy za dobrze wróżący początek.

Kobiety niezwłocznie jęły się oporządzania i gotowania ptaków i wkrótce smaczne podały nam śniadanie. Zajadając nie traciliśmy czasu i namyślali się, jak rozdzielić pracę. Ustaliliśmy tak: dwie partie myśliwych, jedna pod przewodnictwem Arnaka, druga Wagury, natychmiast pójdą nad Jezioro Obfitości w głąb wyspy tudzież na północ, w okolice Papuziego Gaju; dwóch rybaków, uzbrojonych w dzidy, wypłynie na tratwie na połów ryb, na morze do skał, przy których spaliła się hiszpańska brygantyna; najstarszy Indianin, około pięćdziesięcioletni, pozostanie w obozie i przy pomocy kobiet zbuduje szałas; najlepszy łucznik obejmuje straż na polu kukurydzianym; Indianin, który na Margarcie zajmował się ciesielką, poszerzy drugą tratwę i za pomocą siekiery wyciosa nowe wiosła; a ja...

Najwięcej na sercu leżała mi sprawa bezpieczeństwa i obronności. Chociażby nie było pościgu z Margarity, to przebijanie się przez ląd południowoamerykański, opanowany przez Hiszpanów, wymagało sporej przezorności. Mieliśmy w zapasie osiem zdatnych do użytku strzelb. Bezcenne to bogactwo należało mądrze wykorzystać. Osiem strzelb w pewnych dłoniach, a razem z naszymi jedenaście – to w tych warunkach niezwalczona potęga ognia. Trzeba było tylko pobudzić ją do życia, wyćwiczyć ludzi. Zwróciłem się Arnaka:

–Arnak, zapytaj ich, kto umie obchodzić się z bronią ognistą! Nie wszyscy z początku dobrze

zrozumieli pytanie.

–Kto już strzelał ze strzelby? – jaśniej postawiłem sprawę. Zgłosiło się trzech.

–Czy potraficie obejść się z bronią? Nabić, wyczyścić, dobrze wycelować?

–Potrafimy.

–Potrzeba mi jeszcze pięciu, których nauczę strzelania. Kto się zgadza?

Wszyscy się zgłosili. Wszyscy palili się do tej nauki. Posiadanie strzelby było marzeniem Indianina. Manauri wybrał czterech, sam był piąty.

Ponieważ zależało mi na tym, by bez straty czasu zabrać się do roboty, wypadło zmienić ustalony już poprzednio podział grup, osobliwie grup myśliwskich. Gdy wszyscy rozbiegli się do swej pracy, ja pozostałem niedaleko jaskini z ośmioma uczniami.

Podziwiałem zapal tych Indian. Znając beztroską gnuśność niektórych szczepów na północy, nasłuchawszy się do syta o ospałych tubylcach Ameryki Południowej, nie mogłem wyjść teraz ze zdumienia na widok skrzętności mych nowych towarzyszy. Otwierał się przede mną jakby odmienny świat ludzki, świeciło we mnie jakby nowe zrozumienie.

Nie wydało mi się prawdopodobnym, by okropności niewoli, jakie przeżyli ci ludzie, takich dokonały przemian w ich naturze. Niewola u okrutnych Hiszpanów raczej niszczyła wszystko, co w człowieku ludzkie, raczej upadlała. Tu natomiast napotykałem coś innego. Pragnienie wolności – oto niezwalczona w ludzkim sercu siła! Ci ludzie chcieli być wolni, dlatego ruszali się żywo, a oczy im błyszczały. Ujrzeli przed sobą drogę do wolności, mieli widzenie jasnego jutra i to ich napępniało zapalem, czyniło z nich nowych, krzepkich ludzi.

Jak ongiś, kiedym leżał ranny od jaguarowego pazura i rozmyślał o Arnaku i Wagarze, tak i teraz przypomniałem sobie moich rodaków na północy. I znowu wezbrał we mnie gorzki do nich żal. Ileż było tam ludzi zapamiętałych w nienawiści do Indian, i to nie tylko wśród zaciekłych purytanów. O, gdybyż ci zaślepięcy byli na moim miejscu i widzieli Indian Manauriego, uciekających do wolności!

W czasie nauki szczególny nacisk kładłem na umiejętność szybkiego nabijania strzelb i celowania tudzież ochrony prochu na panewce od deszczu, a później dopiero przystąpiliśmy do samych strzałów. Każdemu pozwoliłem strzelić dwa razy, najpierw przy użyciu nikłej ilości prochu, ażeby strzelca nie przerażała hukiem, następnie normalnym nabojem. Byli to gorliwi uczniowie i po kilku godzinach mordęgi coś niecoś pojęli. Trudno by ich nazwać wyrobionymi strzelcami, przecież mając ich stale pod okiem, można im było powierzyć strzelbę.

–Codziennie sobie poćwiczymy chociażby przez godzinę, ale bez strzelania. Musimy oszczędzać proch! – zapowiedziałem.

Ponieważ do zachodu słońca kilka było jeszcze godzin, Manauri wraz z paru ludźmi poszedł do lasu, by naciąć gałęzi i lian do luków oraz trzciny na strzały. Bardzo się z tego cieszył, bo przecież luki pozostały główną bronią naszej grupy i należało ich mieć jak najwięcej w dobrej jakości.

Będąc przez cały dzień bez przerwy w pobliżu jaskini, mniej więcej co godzinę wchodziłem na szczyt naszej góry lub posyłałem tam każdego, ktokolwiek znalazł się pod ręką. Ale morze błyszczało czyste i przyjazne; na ogromnej powierzchni nie było żadnego wrogiego znaku. Skrupulatnie zachowywałem wszelkie środki ostrożności poczuwając się do tego obowiązku i jako najdawniejszy wyspy mieszkaniec, i jako prawy człowiek, któremu szczerze zaufały istoty przez los tak smagane.

Pod wieczór łowcy zaczęli się schodzić. Zdobycz taszczyli rozmaity, bo były i zajączki, i ptaki wszelakie, a poza tym jaszczurki i nawet węże. Jagód i owoców przynieśli kilka koszy, których, niestety, mieliśmy zbyt mało. Za szczególny przysmak uchodziły czubki pewnych palm, ścięte powyżej drewnianej części pnia; i w istocie, po ugotowaniu wspaniale mi smakowały.

Rybacy, którzy popłynęli do Pięciu Skał, złowili tam niewiele ryb, kilka zaledwie. Za to mieli podniecającą przygodę z foką czy z podobnym stworem i mało brakowało, a przynieśliby moc mięsa. Trafili zwierza oszczepem i już go prawie mieli, jednak w ostatniej chwili się wyrwał.

Podczas wieczerzy omawialiśmy plan na następny dzień. Wyznaczyliśmy stały posterunek, czuwający na szczycie góry, a poza tym postanowiliśmy wysłać, obok zwykłych partii łowieckich, tratwę z kilkoma myśliwymi na połów żółwi po zachodniej stronie wyspy. Przy tej sposobności nasi mieli przekonać się, jak poradzi sobie Mateo i jego ludzie.

Ciekaw byłem szczegółów życia na Margaricie. Dowiedziałem się, że przebywało tam wielu Hiszpanów, którzy posiadali plantacje, lecz głównie żyli z połowu pereł. Wybrzeże morza miało skaliste dno, na którym trzymały się osobliwe małże wytwarzające perły; specjał tak cenny dla nielicznych, a tak przeklęty przez wielu. Nie każdą małżę zawierała perłę, setki ich należało wydobywać z głębi morza, by natrafić na jedną z kosztownym płodem.

Na nurków brano wyłącznie niewolników. Była to praca tak ciężka, że nawet najzdrowsi silacze po roku ginęli na rozdarcie płuc. Nurek w tych warunkach był skazany na niechybną śmierć, a życie przez kilka czy kilkanaście miesięcy upływało mu w nieludzkim umęczeniu.

Na skutek tej śmiertelności Hiszpanie na Margaricie stale mieli za mało niewolników, więc nieustannie urządzali łowy na ludzi dokoła całego Morza Karaibskiego, a silnych Murzynów kupowali za drogie pieniądze, gdzie tylko mogli. Przy tym wszystkim wyrobił się w nich jakiś obłąd okrucieństwa. Nad niewolnikami znęcali się na każdym kroku, przy lada sposobności. Wyszukane tortury sprawiały im chorobliwą przyjemność.

Gdy mi Indianie to wszystko opowiadali, miałem widocznie niedowierzającą minę. Zauważyli to i natychmiast pokazywali mi pokaleczone ciała, pocięte od biczów plecy, ręce z odrąbanymi

palcami, głębokie blizny na nogach, ramionach, na piersiach. Gdzie ich nie było...

Po raz pierwszy tak blisko zetknąłem się z potwornym światem niewoli. Istniało niewolnictwo i na północy, także w mej Wirginii jedni krzywdzili i dręczyli drugich, ale nie widział tego na własne oczy. Żyjąc w zachodnich lasach wśród wolnych osadników, niewiele dotychczas o tym myślałem. Teraz jakbym ostre otrzymał pchnięcie. Gdym patrzył na tych ludzi, nie mogło mi wejść do głowy, że innym służyć mieli wyłącznie za bydło robocze, że bezlitośnie ginąć mieli z czyjegoś tam rozkazu.

Owego wieczoru przy ognisku na mej Wyspie Robinsona po raz pierwszy w życiu z tak bolesną wyrazistością ujrzałem całą niesprawiedliwość panującą między człowiekiem a człowiekiem. I kto jej się dopuszczał, kto wprowadzał na świecie tyle okrucieństw?

–Czy chciałbyś posłyszeć – zwrócił się do mnie Manauri – jak zginął brat Matea?

.– Mówcie.

Brat Matea był nurkiem i niewolnikiem najbogatszego na wyspie Hiszpana, nazwiskiem Don Rodrigues, którego samo brzmienie przejmowało ludzi zgrozą. Pan jego stale żądał, by gorliwiej dobywał z morza muszle, ale nurek już nie mógł, bo dziesięć miesięcy pracował i był u kresu sił. Pan widząc, że wiele z niego już nie wyciśnie, a chcąc innym nurkom dać przykład odstraszący, skazał go na śmierć. Wyroku dokonać miały psy. Na Margaricie były wielkie psy, specjalnie tresowane. W dniu wyroku pan zaprosił kilku przyjaciół, Hiszpanów, spędził także wszystkich swych niewolników, nawet małe dzieci musiały być przy tym, i urządził krwawe widowisko. Na arenie kazał poszczuć na skazańca groźnego psa. Brat Matea bronił się przed bestią, jak mógł – chociaż wiedział i on, i wszyscy, że chwile jego były policzone – i trzymał się na nogach, nie dopuszczając rozjuszonego psa do swego gardła. Gdy Hiszpanie już dość nasycili się przerażeniem i rozpaczliwą obroną Murzyna, pan jego kazał wypuścić drugiego psa. Dwom psom nieborak musiał ulec. Podczas gdy opędzał się od pierwszego, drugi dopadł, powalił go na ziemię i rozszarpał mu gardło. Były to straszne psy, takie same jak ich panowie.

–Idźcie już na spoczynek! – poprosiłem Indian, gdy zapanowało milczenie. – Jutro czeka nas ciężka praca!... Pamiętajcie, że tu jesteście całkiem bezpieczni! Spijcie spokojnie!

Pomimo że im życzyłem spokojnego snu, sam długo się przewracałem, zanim zasnąłem. Gorzka strawa, jakiej zażyłem, podziałała, widać, nieco na nerwy.

27. Znak drapieżnego sępa

Nazajutrz wszyscy byli o świcie na nogach i po szybkim posiłku każdy wyruszył w swoją stronę. Udałem się w kierunku pola, by zobaczyć, czy szkodniki nocą nie grasowały na kukurydzy, gdy Indianin, czuwający na szczycie góry, zdyszany przybiegł do mnie i coś pośpiesznie prawil wskazując na północ.

–Hispanos! Hispanos! – rozumiałem tylko, ale i to mi wy
starczyło.

W lot wróciłem do obozu, już zaalarmowanego, i co żywo wspiałem się na stok góry w towarzystwie Indianina. Wysoko nie trzeba było iść – około pięćdziesięciu kroków ponad poziom morza.

–Tam! – wskazał towarzysz ręką.

Z północy dążył statek. Oddalony był jeszcze dziesięć do dwunastu mil, ale kurs trzymał prosto na nasze wybrzeże. W ciągu dwóch, trzech godzin mógł przybić do wyspy. Miał dwa ożaglowane maszty i był to, jakem się domyślał, szkuner, statek szybki, znacznie mniejszy niż pospolite na tych wodach brygantyny.

–Wszystkich ludzi zwołać! Myśliwych zawrócić! – zawoła

łem do Indianina, zapominając, że to nie Arnak ani Wagura, ro

zumiejący język angielski.

W obozie pozostało nas czworo dorosłych: Indianin, który mnie zawiadomił o statku, dwie kobiety i ja. Myśliwi wyruszyli w czterech partiach i każdą należało ostrzec: Arnak prowadził ludzi w głąb wyspy nad Jezioro Obfitości, Wagura na północ w okolice Papuziego Gaju, Manauri wziął tratwę i wypłynął na południe po żółwie, a rybacy na drugiej tratwie udali się znowu do Pięciu Skał, leżących o milę na północy. Gestami, wskazywaniem rękoma i podawaniem imion wyjaśniłem, kto do kogo ma biec, by go zawrócić z drogi, sam zaś wybrałem najzawilsze zadanie, bo pościg za Arnakiem w głąb wyspy. Myśliwi opuścili obóz przed mniej więcej kwadransem, więc spodziewaliśmy się wcześniej ich dogonić. Niestety, rybacy wyruszyli na długo przed brzaskiem i dawno już łowili przy Pięciu Skałach.

Popędziliśmy każdy do swego celu. Obydwie kobiety były stosunkowo młode i zdrowe w nogach, przeto nie zawiodły. Po jakiejś godzinie jedna przyprowadziła partię Wagury, druga – Manauriego, który płynąc niedaleko brzegu, w czas zauważył niewiastę dającą mu znaki. Kiedy starannie ukrywano tratwę w zaroślach nad strumykiem, wróciłem i ja z grupą Arnaka.

–Nie ma jeszcze rybaków! – zauważyłem z niepokojem.

Do nich pobiegł Indianin, strażnik na wzgórzu, a że był znakomitym pływakiem, jak mnie zapewniał ruchami, kazałem mu przepłynąć wpław do Pięciu Skał, oddalonych o pół mili od brzegu.

Obcy żeglarze na statku na pewno posiadali lunetę, przeto wszystkim zabroniłem pokazywania się nad brzegiem morza i w ogóle na otwartych miejscach, co osobliwie dotyczyło warty na górze. Ogniska pogaszono.

Dokonałem przeglądu broni. Jakżem rad był z tego, iż poprzedniego dnia nie zaniechałem pokazać strzelb tym kilku Indianom i że cokolwiek ich przyuczylem. Teraz każdemu z nich wręczyłem broń, przy czym najsilniejsi otrzymali ciężkie muszkiety, i kazałem im nabić strzelby. Wydzieliłem każdemu z osobna po porcji prochu i kul, dostatecznej na dziesięć strzałów. Po dokonaniu tej ceremonii oświadczyłem, że każdy winien pilnować swej strzelby tudzież amunicji jak oka w głowie i że powierzam mu je do czasu, dopóki nie zarządzą inaczej.

–Czy rybaków jeszcze nie ma? – dopytywałem się.

–Nie ma.

Manauri pchnął do nich dwóch szybko nogich junaków mających wyśledzić, co się stało z nimi oraz z wysłanym do nich Indianinem.

Nie ulegało wątpliwości, że szkuner – statek w istocie szkune-rem się okazał – miał na celu naszą wyspę. Przybliżył się na jakieś ćwierć mili do brzegu i stale żeglując w tej niewielkiej odległości szedł z północy na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża. Przywarci do głazów na stoku góry, widzieliśmy go dokładnie.

–Dopływa teraz do Pięciu Skał! – zauważył Arnak.

–Patrzcie! – zawołałem. – Spuścili główny żagiel.

–Czyżby zatrzymać się chcieli? – warknął Wagura.

–Chyba tak! – odrzekłem.

Nie. Nie zatrzymali się, jeno zwolnili biegu. Widocznie zależało im na tym, by móc bez pośpiechu przypatrywać się wyspie. Biorąc ich na lunetę rozpoznałem gęstwą ludzi stojących przy burcie i śledzących wytężonym wzrokiem naszą wyspę. Jeden z nich miał również lunetę. Tak, to był pościg Hiszpanów z Margarity! Staralem się ich policzyć. Chłopa było około piętnastu.

Nic po sobie nie pokazałem na zewnątrz, alem zadrżał w głębi serca. Kilkunastu uzbrojonych po zęby Hiszpanów, może jeszcze do tego rozporządzających sforą wściekłych psów, z łatwością mogłoby pokonać naszą gromadę, wprawdzie liczniejszą, wszakże o ile gorzej uzbrojoną. Jużem tak wielkich jak wprzódy nie pokładał nadziei w przydatności świeżo

upieczonych strzelców i kto wie, czy w tym stanie łuk nie byłby najodpowiedniejszą w ich ręką bronią. Z trosk tych zwierzyłem się obecnym na wzgórzu Manauriemu, Arnakowi i Wagurze.

–Ja myślę – odparł Arnak – że ci trzej, co już dawniej strzelać umieli, na pewno nas nie zawiodą.

–Ale tamci inni?

–Czy ja wiem?

–Co ty sądzisz, Manauri?

–Tych trzech w porządku. Inni – nie wiadomo.

–Więc w takim razie warto im wszystkim oprócz strzelb dać łuki?

–Z łuku każdy dobrze strzelać potrafi – potwierdził Manauri.

–A może jeszcze inaczej: strzelać będzie tylko nas sześciu, to jest tych trzech oraz Arnak, Wagura i ja, a tamci tylko nabijać strzelby i podawać!

–Tak w istocie jeszcze lepiej! – przyznali.

Statek tymczasem minął Pięć Skał i powoli podchodził do nas. Drugi, nie spuszczone żagiel coraz wyraźniej rysował się na tle lazurowego oceanu. W swej białości przypominał gołębia, aliści na tak niewłaściwe porównanie tylko się wzdrygnął i żałośnie uśmiechnął: to nie znak gołębia, ale znak drapieżnego sępa płynął, uosobienie czyhającej śmierci, widmo krwiożerczych ciemności! Statek szedł powoluteńku. W tym skradaniu się tyle tkwiło utajonej groźby, że nawet mnie, z daleka patrzącemu, mimo woli coś zapierało dech.

–Oni mogą mieć psy! – odezwałem się. – Ile macie zatrutych strzał?

–Będzie chyba trzydzieści.

–A trucizna z nich nie wywietrzała?

–Nie wiadomo. Trzeba wypróbować. Po chwili Arnak dodał z naciskiem:

–Oni mogą mieć psy, ale ludzie są gorsi!

–He?

–Przede wszystkim ludzi trzeba wybić, bo inaczej oni nas wytępią

–Słusznie...

Szkuner był teraz naprzeciwko góry, oddalony od samego brzegu niezmiennie o ćwierć mili, a od nas o niespełna pół mili. Przez lunetę żaden szczegół na pokładzie nie uszedł mej uwagi. Sprawdziłem jeszcze raz: było piętnastu Hiszpanów. Psów nie widziałem; jeśli były, to pochowane. Wszyscy wylegli na pokład i wciąż baczny wzrokiem obszukiwali wyspę. Po ich leniwych ruchach zmiarkowałem, że nic podejrzanego nie dostrzegli ani też nie zamierzali lądować z innych jakichkolwiek przyczyn. Ale gały wlepiali w nasze wybrzeże, aż strach!

Wraz z przesunięciem się statku na południe zelżało i nasze napięcie. Zeszliśmy na dół, na szczycie pozostawiając tylko dwóch Indian o najbystrzejszych oczach. Co godzinę mieli nam zdawać sprawę.

Trucizna na strzałach nie utraciła jeszcze swej mocy: zadraśnięty zajązek po kilku chwilach przestał żyć.

Nareszcie wrócili rybacy i wysłany do nich Indianin. Opowiadanie ich brzmiało niepokojąco. Statek zauważyli późno, gdy już był prawie pół mili od skał. Natychmiast rzucili się do ucieczki. Ażeby ich nie odkryto, sami płynęli w wodzie obok tratwy; nawet wystające głowy chowając poza nią. Nieznacznie ją popychali. W ten sposób dotarli do brzegu i tu ukryli tratwę i siebie wśród wystających z wody głazów.

–Toście skończone ciemięgi! – zgromił Manauri rybaków. – Żeby tak blisko do siebie dopuścić wrogów! Jak sądzicie, czy zobaczyli was? Tratwa to rzecz widoczna, rzuca się w oczy.

–Chyba nie widzieli. Na Pięciu Skałach leży wiele wodorostów wyrzuconych z morza. Szybkośmy zarzucili nimi tratwę. Wyglądała jak pływająca wysepka... Nie odkryli nas.

W obliczu niebezpieczeństwa Indianie nabrali wojowniczego wigoru, odezwał się w nich drzemiący duch wojaczki. Zapal do walki ze znenawidzonym wrogiem ogarnął całe obozowisko. Trzy grupy myśliwskie przeistoczyły się samoczynnie w trzy drużyny; wojowników pod wodzą Manauriego, Arnaka i Wagury. Nie nastroczało to trudności, bo wszyscy Indianie pochodzili z tego samego szczepu Arawaków, tak samo jak moi chłopacy. Co do Wagury, przezorny Manauri miał początkowo wątpliwości ze względu na jego młodociany wiek i zapytał mnie o zdanie.

–Brać go! – oświadczyłem. – Wagura już nie jest chłopacz

kiem, ma siedemnaście lat. W ostatnim roku zmężniał co się zo

wie! Jest rozważny. Można mu powierzyć zastęp.

Szkuner tymczasem szedł dalej na południe w tym samym jak do tej pory zwolnionym tempie. Atoli dotarwszy do wschodnio-południowego krańca wyspy nie zboczył na zachód, jak tego się spodziewaliśmy. Odbił się od naszych wybrzeży i z żaglami w całej pełni od nowa rozwiniętymi podążył na pełne morze, najpierw na wschód, później na południe, w kierunku stałego lądu.

–Kraży jak sęp! – zauważyłem. – Upewnia się, czy zbiegów nie napotka na morzu.

–Zobaczy, że nas tam nie ma, i może da nam spokój. Wróci na Margaritę! – ożywił się Manauri.

Płonna nadzieja! Statek przebijając się przez prąd morski dotarł do wód w pobliżu stałego lądu, ale potem zawrócił, stwierdziwszy, że morze puste, i znowu podpłynął do naszej wyspy. Przeszukiwanie jej południowego wybrzeża podjął w tym samym miejscu, w którym nas poprzednio opuścił. Zrozumieliśmy, że tym sposobem zamierzał opłynąć całą wyspę dokoła.

Na krążenie po oceanie statek stracił sporo czasu. Dzień miał się ku wieczorowi. Do zmierzchu brakowało jeszcze około dwóch godzin.

Szkuner dążył teraz w kierunku zachodnim, a więc tam, kędy Mateo i jego ludzie obozowali gdzieś nad brzegiem morza. Nie byli ostrzeżeni; nie mogli dotychczas zauważyć statku, bo siedł po wschodniej stronie wyspy. Prawdopodobnie nie baczyli na środki ostrożności.

Manauri w zupełności podzielał me zaniepokojenie.

–Trzeba ich uprzedzić! – oświadczył krótko.

Kiedym sumienniej rozważył położenie grupy murzyńskiej, zaniepokoilem się nie na żarty. W przybliżeniu wiedzieliśmy, gdzie Mateo stał obozem, bo Arnak dokładnie opisał mu Żółwi Cypel. Było tam źródło słodkiej wody, uchodzące do małej zatoki i nad tą zatoką niechybnie rozgościła się grupa Matea. Ale czy Hiszpanie, przepływając mimo, nie zajrzą właśnie do tego schronienia i nie odkryją murzyńskich łodzi? Jeśli pozostawiono je na brzegu, musiały wpaść Hiszpanom w oczy.

–Natychmiast ruszamy! – zawolałem. – Nie traćmy ani chwili czasu! Trzeba ostrzec Matea!

–Ruszajmy! Ale kto? – zapytał Arnak.

28. Odległy huk strzałów

Tak długo, jak hiszpański szkuner pływał po drugiej stronie wyspy, naszemu obozowi nic nie groziło. Wystarczało pozostawić tu nieliczną załogę. Natomiast na zachodzie, w razie wykrycia zbiegów, mogło dojść do starcia. Tam potrzebne były nasze siły.

Na pośpiesznie zwołanej naradzie, w której wszyscy mężczyźni wzięli udział, przedłożyłem plan działania, jakem go widział. Podałem pod ogólną rozagę myśl, żeby Manauri ze swą drużyną pozostał na miejscu z trzema strzelbami, a Arnak i Wagura wraz ze swymi ludźmi poszli ze mną na zachód. Marszem forsownym spodziewałem się dotrzeć w nocy do Matea wcześniej aniżeli Hiszpanie, którzy o zmroku niezawodnie staną na kotwicy.

Plan ten wywołał sprzeciw Manauriego. Był to, jak wspomniałem, mężczyzna w sile wieku, jeden z wodzów swego szczepu, człowiek odważny, ambitny i żądny czynu. Nie chciał pozostać w tyle, kiedy rozstrzygać się miały sprawy tak doniosłe.

–Tam zapewne dojdzie do walki, sam to twierdziłeś! – mó

wił dotknięty. – Jakżeś mógł sądzić, że będę siedział w obozie

z kobietami i dziećmi?

Uświadomiłem sobie nietakt, jaki nieopatrznie popełniłem, i wyrządzoną wojownikowi przykrość. Przeprosilem go serdecznie i wyluszczyłem okoliczności, na których osnułem mój plan:

–Możliwe, że dojdzie tam do walki, ale niekoniecznie! Wie

rzę, że uda nam się zawczasu ostrzec Matea i ukryć jego łodzie.

Natomiast Hiszpanie mają bardzo szybki statek i mogą tu wrócić

przed nami. Kobiety i dzieci nie powinny zostać bez opieki.

–Dlaczegoż by Hiszpanie mieli wracać akurat tu, do naszego obozu?

–Manauri, czyś dobrze przemyślał to, co rybacy dziś rano mówili? Statek dopłynął do nich przy Pięciu Skalach na pół mili, zanim go zauważyli i dali nura. A nuż Hiszpanie ich widzieli? Że nie puścili się zaraz w pogoń, to co? Może chcieli najpierw się przekonać, czy gdzie indziej na wyspie nie odkryją zbiegów, a gdy nie odkryją, czy nie mogą tu wrócić?... Ale mniejsza o takie możliwości... Dobrze, Manauri, pójdiesz oczywiście z nami, będzie nas społem trzy drużyny, ale jednak kogoś trzeba tu zostawić dla obrony.

Manauri z zadowoleniem przyjął moje wyjaśnienia, po czym zwrócił się do ludzi, kto na ochotnika chce pozostać. Nikt nie miał ochoty, wszyscy chcieli iść. Więc Manauri sam

wyznaczył czterech mężczyzn, w tym dwóch ze strzelbami. Miał u swoich wzięcie, słuchali go.

Strzelcom wydzieliłem po dwadzieścia naboju na strzelbę, zapasów żywności zabraliśmy na dwa dni – i nie zwlekając wyruszyliśmy. Dla każdej z trzech drużyn równomiernie rozdzieliło się strzelby tudzież zatrute strzały.

Rączym krokiem, pół chodem, pół biegiem, przemierzaliśmy piaski nad brzegiem morza, idąc gęsiego, zwyczajem Indian. Było nas szesnastu; tworzyliśmy długi łańcuch. Mieliśmy dziewięć strzelb, ja do tego zabrałem mój stary pistolet, zdatny do użytku.

Do zmierzchu przebyliśmy ładny kawał drogi. U źródła z czystą wodą odpoczęliśmy na chwilę i spożyli część zabranego posiłku. Przy tej sposobności poruszyłem sprawę, którą uważałem za zbyt ważną, by jej nie postawić jasno: kto kieruje wyprawą.

–To mi również na myśl przyszło! – wyrwał się Arnak. –

Ty!

–Nie ja! – zaprzeczyłem. – Po starszeństwie przywództwo

należy się Manauriemu. On jest naszym wodzem.

Manauri, przez godną chwilę milcząc, patrzył na mnie życzliwym okiem, potem w źrenicach jego zamigotały błyski żartobliwego szyderstwa:

–Ho, ho, jaki z ciebie chytrus! Czy uważasz, że aż tak musisz

lechtać moją próżność?

–Mówiłem całkiem poważnie! – odparłem.

Indianin zaśmiał się bezgłośnie.

–Ej, Janie, nie potrzebujesz mi się przypochlebiać! I bez tego-

ciebie lubimy jak brata!

Następnie zwrócił się do reszty Indian wskazując na mnie kciukiem:

–My na tej wyspie przebywamy od dwóch dni, on od przeszło roku. On zna tu każdy kąt. On w lasach swej ojczyzny był wielkim myśliwym. On nam dostarczył broni palnej. Kto poprowadzi nas najlepiej przeciw Hiszpanom? Powiedzcie!

–On! On! On! – huknęli zewsząd Indianie.

Manauri przybrał pozory strapionego człowieka, zmuszonego poddać się większości.

–Czy słyszysz?! – krzyknął do mnie. – Oni sami się wypowiedzieli! Chcą ciebie! Więc chyba nic nie masz przeciw temu?

–Nie – odpowiedziałem rozbawiony.

Zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, uważałem za konieczne dać kilka ogólnych wskazówek:

–Powtarzam jeszcze raz: według mego przekonania nie dojdzie do walki, bo Hiszpanie nie wylądują na wyspie. Ale gdyby z jakichś tam przyczyn jednak wylądowali, to pierwszym naszym zadaniem: być jak najdłużej w ukryciu, nie dać się rozpoznać. Jako doświadczeni wojownicy, sami wiecie, czym jest zaskoczenie wroga. Dlatego do walki, tak długo, jak można, użyjemy noży, pałek, luków, strzał zatrutych, a dopiero w ostateczności – strzelb.

Zapadała noc. Chmur nie było, więc liczne gwiazdy tropikalnego nieba nieźle rozpraszały ciemności. Kroczyliśmy bez mitręgi wzdłuż morza, drogą kilkakrotnie już przebytą przeze mnie, Arnaka i Wagurę. Godzina mijala za godziną, po gwiazdach mierzyliśmy czas. Około północy miesiąc wypłynął na niebo i stało się tak widno, że m polecił przypatrywać się morzu, azali nie ujrzymy statku.

Z gąszczu rozchodziły się ostre świsty świerszczy i zgrzyty innych owadów upojonych gorącą nocą; od morza dolatywał stłumiony szum fal; nedorzeczne a urzekające piękno palm kokosowych, zatopionych w srebrze księżyca, spływało na nas; do tego szybki nasz pochód w głuchym milczeniu – wszystko to wprawiało nas w senliwe jakieś oszłomienie. Musieliśmy stale wyrwać się z tej półświadomości, ażeby nie zapaść w sen na jawie.

Dawno już minęliśmy zatokę, przy której po raz pierwszy spotkałem się z dwoma chłopakami. Docieraliśmy do celu. Jeszcze mila, półtorej mili oddzielało nas od Żółwiego Cypla.

Nagle Arnak, kroczący na czele pochodu, przystanął tak raptownie, ażem wpadł na jego plecy.

–Cicho! – syknął ostrym szeptem do towarzyszy za nami. –

Cicho!! Stójcie!

Wszyscy przystanęli wsłuchani.

Po chwili doszedł nas z oddali podejrzany odgłos, rozbity echem. Grzmot jeden, drugi, potem przerwa, po ciszy znowu loskot. Nie ulegało wątpliwości: odległy huk strzałów. Przychodził z okolic Żółwiego Cypla.

–Wylądowali! – szepnął Arnak.

–Spóźnił się! – ktoś jęknął.

Wstrząs, jak gdyby nas samych dotknęło nieszczęście. Bo i dotknęło. Zawisło nad nami bliskie, bezpośrednie niebezpieczeństwo. Wcześniej, aniżeliśmy się spodziewali, zaskoczyła nas groźna chwila, która miała rozstrzygnąć o naszym losie.

Wciąż przed nami rozbrzmiewało echo pojedynczych, rzadkich strzałów. Nie trzeba było rozkazu. Pędziliśmy naprzód.

29. Narwaniec Raisuli

Strzelanina, rzecz dziwna, wciąż nie ustawała, choć strzelano z coraz większymi przerwami. A gdy bliżej będąc lepiej rozpoznawaliśmy odgłosy, dało się stwierdzić, iż pochodziły nie z jednego miejsca, lecz z kilku różnych stron. Wszystkie rozlegały się przed nami, wszakże raz dalej od nas, raz bliżej to wprost przed nami, to bardziej z prawa, jak gdyby z głębi wyspy.

Bieg nasz, na łeb, na szyję, nie miał celu; mógł zakończyć się fatalnie: rzuciłby nas zziajanych i niezdolnych do walki w ręce Hiszpanów. Kazałem zatrzymać się i odsapnąć.

–Co tam się dzieje przed nami? – zapytał Wagura.

Od dłuższej chwili strzały ucichły.

–Nie pojąłeś? – Arnak najeżył ku niemu brwi. – Gonią ich po całym lesie.

–Ludzi Matea?

–A kogo?

Któryś z Indian wysunął myśl, że może nie warto nam iść dalej, skoro grupa Matea wybita.

–A my co zrobimy? Wrócimy do obozu? – wzdrynąłem się.

–Wrócimy i ukryjemy się w środku wyspy.

–Czy grupa Matea cała wybita, to jeszcze pytanie! Może niejeden uciekł i chowa się w zaroślach. Trzeba by mu przyjść z pomocą.

Arnak żywo poparł moje stanowisko rzucając się na małodusznego ziomka.

–Człowieku, co ty chcesz? Myślisz, że ukryjesz się przed nimi? Na tej wyspie? Odnajdą ciebie!

–Nie dowiedzą się, że tu jesteśmy!

–Nie dowiedzą się? To nie wycisną przemocą zeznań z tych, których tam przed nami złapią?

Nie chciałem przedsiębrać żadnego kroku, dopókim nie był pewny zdania i poparcia wszystkich ludzi. Zwróciłem się przeto do nich z zapytaniem, co zamierzają czynić.

–Cofać się teraz to głupota! – odpowiedział Manauri. – Jedyna rzecz iść dalej!

–A twoi wojownicy? Czy wszyscy tak samo myślą?

–Wszyscy! – ktoś z tyłu huknął za innych.

–Nagle nadstawiliśmy ucha: dotarły do nas inne niż dotąd dźwięki. Pomimo przeróżnych szelestów i głosów, tak nieodłącznych od tutejszej parnej- nocy, wyraźnie odróżnili osobliwy jazgot. Przecież słuch nas nie mylił: było to ujadanie psów. Basowe, zażarte ujadanie wielkich psów.

–Mają psy! – przeszło po naszym oddziale jak mroźny po

wiew.

Jeszcze raz przypomniałem ludziom pouczenie dane wprzód, ażeby wpoili je sobie jak najgłębiej:

–Tylko łuki, oszczepy, pałki, noże! A strzelby jedynie na mój wyraźny rozkaz!... Hiszpanie nie powinni się domyślać, że je mamy!

–Janie! – zagadnął mnie Arnak. – A jak się porozumiemy, jeśli nas rozdziela a głośno wołać nie wolno?

–Masz łeb na karku, Arnak!... Słusznie, zapomniałem o znaku porozumiewawczym! Jaki wybierzemy?

Pewien gatunek świerszczy wydawał krótkie, bezustannie powtarzające się świsty: tss, tss, tss! Łatwo było je naśladować. Ostrzegawczym naszym hasłem stało się trzykrotne: tss owego świerszcza – na bliższą odległość, a głos czarnej kukulki: piąąą – na dalszą.

Pochód przez zarośla, pomimo że były kolczaste i obfitowały w agawy i kaktusy, odbywał się dość sprawnie. Nie był to zbity gąszcz, krzewy rzadko się łączyły, często ustępując miejsca jałowemu goliznom i polankom. Arnak znakomicie nas prowadził. Z zadowoleniem, co tam: z podziwem śledziłem jego zachowanie się. Nadziei, jaką w nim pokładałem, nie zawiódł w tej ciężkiej chwili.

Jasne światło miesiąca ułatwiało nam pochód, ale z drugiej strony wrogom mogło snadnie zdradzić naszą obecność. Gdzie tylko było możliwe, trzymaliśmy się cienia.

Psy szczekały przed nami to tu, to tam. Byliśmy coraz bliżej nich. Lada chwila mogły nas wywęszyć. Od nowa jęły mnie trawić wątpliwości. Wyciągnąłem tych ludzi na niebezpieczną wyprawę, ale czyniąc to, czy byłem w zgodzie z własnym sumieniem? Wciąż jak koszmar dręczyła mnie nikłość naszego uzbrojenia w porównaniu z tym, co mieli Hiszpanie. Czy nie była to wyprawa z motyką na słońce?

Spojrzałem uważnie na mych towarzyszy. Arnak na czele pochodu torował drogę. Na twarzy jego malowała się posępna odwaga i zawziętość, każdy jego ruch wyrażał siłę woli. Manauri miał w zaciśniętych ustach upór, jakiegom dotychczas nie widział u statecznego Indianina. Wagura ze srogim przejęciem wsłuchiwał się w odgłosy przed nami i już teraz wyciągniętą z

kolczanu zatrutą strzałę trzymał na cięciwie luku. Następny wojownik, któremu na imię było Raisuli, należał do owych trzech Indian obeznanych od dawna z bronią palną. Z przewieszonym przez plecy muszkietem, z lukiem, strzałami i palką w dłoniach szedł jak w natchnieniu. Pałającym wzrokiem przeszywał knieję, w której spodziewał się ujrzeć wroga. Dość! Pojąłem, że żadna siła nie powstrzyma tych ludzi. Szli naprzód, bo była to jedyna ich droga do wolności. Zawstydzilem się, zem na chwilę mógł wątpić.

Polana zajaśniała przed nami w księżycowej poświacie. Mizerną porośniętą trawą, miejscami nawet pokryta samym piaskiem, jak w wielu miejscach na wyspie, szeroka była tylko na dobry strzał z guldynki, za to znacznie dłuższa. Ciągnęła się prostym pasem prawie od samego morza tysiąc pewnie kroków w głąb wyspy. Zastanawialiśmy się, czy otwartą przestrzeń przekroczyć śmiało w poprzek, czy obejść ją dokoła, gdy w zaroślach po przeciwnej stronie rozległy się ostre trzaski gałęzi i bliskie poszczekiwanie psa.

–Idzie ku nam! – ostrzegał Arnak.

–Chowajcie się! – rozkazał Manauri szeptem.

Z chaszczu naprzeciw nas wybiegł na polanę nie pies, lecz człowiek. Potknął się, ale powstał i pędził w naszym kierunku. Poznać było, że gonił resztkami sił, kolana uginały się pod nim. Była to kobieta. Murzynka z grupy Matea.

Zaledwie dobiegła do połowy polany, z gąszczu wypadł za nią pies. W kilku susach dopędził ją i skoczył na nią z tyłu. Kobieta nawet nie krzyknęła, tylko padając wydała zduszony jęk.

Szybko jak błyskawica potoczyły się następne wypadki. Indianin z zastępu Wagury wyprysnął na polanę. Zanim psisko zdążyło wpić kły w kark kobiety, łucznik dopadł już do jego boku i z bliska wypuścił strzałę. Bestia, na wylot przeszyta, wściekle zacharczała, strzałę rozgryzła, ale bezwładnie upadła. Indianin porwał na pół przytomną kobietę i trzymając ją pod pachą, w potężnych skokach powrócił do nas.

Radosny szmer wynagrodził czyn śmiałka. Olbrzymie psisko ruszało się, ale widać było, że to ostatnie podrygi. Czworonożny postrach niewolników ginął! Raisuli, stojący za mną, popadł w szal. Coś z pasją wykrzykiwał. Zatkali mu usta rękami, przy-dusili go do ziemi, uciszyli.

–Co on wołał? – zaniepokojony nachyliłem się do Arnaka.

–Nic. Tylko to, że pies zabity. Cieszył się.

Nagle natężoną uwagę skupiliśmy na zaroślach po tamtej stronie polany. Znowu jakiś człowiek przebijał się przez gęstwinę. Zapewne pędził za psem. Co chwila gwizdał. Na skraju krzewów przystanął.

Pies jeszcze żył i ruszał głową. Człowiek zauważył go i pomknął na środek polany.

–Hiszpan! – ktoś w naszym oddziale zalkał z przejęcia.

–Cicho! – syknął Manauri.

Przybysz widząc leżącego bezwładnie psa wydał cichy okrzyk zdziwienia. Nachylił się nad zwierzęciem i odwrócił jego cielsko. Widocznie wtedy odkrył strzałę, bo gwałtownie się zerwał i na chwilę baczny wzrok zapuścił w naszą stronę.

Kilka strzał równocześnie z lekka zafurkotało w powietrzu. Chyba prawie wszystkie trafiły, bo odległość nie większa była niż trzydzieści kroków. Hiszpan upadł. Jedna strzała musiała mu przebić gardło. Chrapliwie rzęził konając.

Pierwej niżeliśmy zdolali narwańca powstrzymać, Raisuli wybiegł na polanę wymachując pałką i straszliwym uderzeniem rozbił Hiszpanowi głowę. Nie było to potrzebne, powalony pewnie już nie żył. Nie dość na tym. Indianinowi chyba triumf nad wrogiem zmącił zmysły. Raisuli, zamiast szybko wracać, pozostał przy poległym. Zaczął tańczyć dookoła niego jakiś obłądny taniec zwycięstwa. Zatracił poczucie rzeczywistości.

Staliśmy w niemym osłupieniu i patrzyli bezradni na niesamowite zjawisko. Arnak odłożył broń i gotował się do skoku, by ściągnąć go przemocą z polany. Nie zdążył. Z tamtej strony gęstwiny huknął strzał. Raisuli zatoczył się jakby w dalszym ciągu obłąkanego tańca i legł bez ruchu. Dostał śmiertelną kulę.

30. Ginie dwóch da/szych wrogów

Dwóch Hiszpanów wystąpiło na polanę. Strzelby trzymali w dłoniach; jednemu, jak mi się wydawało, z lufy jeszcze dymiło. Naszej obecności wcale się nie domyślali. Całą ich uwagę pochłaniały ciemniejące na środku błonia zwłoki. Dążyli prosto

w ich stronę. Tak dalece nie uświadomili sobie niebezpieczeństwa, jakie im groziło, że żywo i dość głośno nad czymś się rozwodzili, co brzmiało niby sprzeczka.

–Zapytaj Manauriego, o czym tak gadają – szepnąłem do

Arnaka.

Staliśmy blisko siebie, więc łatwo było porozumiewać się bez obawy, że usłyszą nasz szept. Po chwili Arnak tchnął mi do ucha:

–Manauri mówi, że jeden drugiemu czyni wymówki, bo źle strzelił.

–Przecież trafił! Raisuli zabity.

–Tak, ale ten, co strzelał, miał tylko ranić w nogi, a nie zabijać.

–Ach, chodzi im o niewolnika żywego.

–Ano!

–To może tych innych nie zabijali?

Napawało to pewną nadzieją, że strzały, które dotychczas słyszeliśmy, niekoniecznie oznaczały śmierć ludzi Matea. Wszakże nie było czasu na rozmyślanie.

Dwaj Hiszpanie przystąpili do zwłok i widzieliśmy, jak zdrętwieli. Teraz dopiero rozpoznali leżącego towarzysza. Przyskoczyli, unieśli go; zobaczyli, że Hiszpan nie żyje.

Należało działać jak najspieszniej i załatwić się z nimi, dopóki nie oprzytomnieli.

–Arnak! – przynagliłem. – Czas!

–Wiem – skinął chłopak głową.

Szybkie, ściszone słowa, krótkie rozkazy. Kilku najlepszych łuczników naciągnęło łuki i na dany przez Arnaka znak strzeliło.

Skutek, niestety, nie był taki, jakiegom się spodziewał. Tylko jeden Hiszpan padł na miejscu ledwie wydając cichy jęk. Natomiast drugi spostrzegłszy, co się święci, zerwał się do uciezki. Otrzymał dwie strzały, ale – jakeśmy się później przekonali – żadna nie była śmiertelna. Teraz pędził jak dziki w stronę zarośli i krzyczał jak opętany.

Zrozumiał niebezpieczeństwo, odgadł bliskość uzbrojonego przeciwnika. Gdyby zdołał

zawiadomić swych towarzyszy o tym, o czym wiedział, mogło to stać się naszą zgubą. Wszystko zawisło od tej jednej chwili. Od tego, czy uciekający dotrze do gęstwiny.

Walił przez polanę wielkimi susami. Błyskawicznie przyłożyłem broń, wziąłem go na muszkę. Choć noc, przecie miesiąc rozsiewał jakieś światło. Całą duszę włożyłem w celność oka. Widziałem jego plecy w podskokach, raz powyżej muszki, raz poniżej. Był pięćdziesiąt kroków od nas, sześćdziesiąt. Ile miał jeszcze do zarośli? Piętnaście susów, dziesięć?

Zatrzymałem oddech. Lufę muszkietu prowadziłem za nim odpowiednio do jego ruchów, to wznosząc ją, to zniżając. Gdy uciekający osiągnął w podskoku punkt najwyższy, a muszka siedziała na jego plecach, tuż pod lewą łopatką, pociągnąłem za cyngiel. Grzmot, fontanna ognia, szarpnięcie kolby w ramię. Poprzez błysk zdawało mi się, że dostrzegłem u niego gwałtowny ruch rąk, ale gęsty dym całkiem zakrył mi widok.

–Leży! – śpiewnie krzyknął Wagura. – Padł! Ściąłeś go!

Przebrzmiało echo strzału, w uszach przestało szumieć. Dym

się rozwiął. Teraz i ją go widziałem. Nie ruszał się, był zabity. Leżał o kilka zaledwie kroków od ciemnej ściany zarośli.

–Czy huk nas nie zdradził? – przybliżył się do mnie Arnak.

–Dlaczegoż by? Kto tam w lesie odróżni, że to była moja strzelba, a nie jednego z nich? – uspokoilem go.

–Ale Hiszpan krzyczał!

–Krzyczał, z tym istotnie gorzej! Na pewno go słyszeli.

–Musieli go słyszeć! Darł się jak diabeł! – potwierdził Wagura.

–Ale i to nie zaszkodzi! Dopóki nas nie zobaczą, nie będą wiedzieli, o co krzyżącemu chodziło.

–Trzech ich zginęło! – zachichotał Wagura. – Tych trzech mogło nas zobaczyć, ale już nie żyją!

–Właśnie! To nasza przewaga!

Po moim wystrzale cisza zaległa polanę i nic nie ruszało się na skraju chaszczy po tamtej stronie. Spokój, jaki nastał, wydawał się trochę niesamowity, ale nie było nic w nim nienaturalnego: słyszeliśmy ujadanie psów i nawet jakby wołanie ludzi, jednakże brzmiało to dość daleko, może pół mili od nas, może więcej. Widocznie główny nurt pościgu potoczył się w inną stronę lasu, nie w naszą.

Ukrywanie się przed wrogiem było w istocie wielką naszą siłą i należało utrzymać ten stan jak najdłużej. Leżące na polanie zwłoki tudzież ślady potyczki mogły nas zdradzić. Trzeba było je usunąć. W tym sęk, że nie ufaliśmy ciszy; a nuż za tamtym krzewami krył się nieprzyjaciół i czyhał na nas? Pogadałem z Manaurim i chłopakami. Wszyscy zgodnie oświadczyli się za natychmiastowym działaniem.

–Obejrzyj brzeg polany przez lunetę! – poddał Arnak.

Przez szkła cień w gąszczu pod krzakami i drzewami nie stanowił już jednej bezkształtnej plamy, lecz rozszczał się na jaśniejsze i ciemniejsze części i smugi. Wiatru nie było, listowie spoczywało w zupełnym bezruchu. Knieja ukrywała nieodgadnioną tajemnicę, tchnęło od niej niewiadomą zasadzką i groźbą, w jej głębi dojrzał nasz los, ale skraj gęstwiny w tej chwili wydawał się bezpieczny. Nic podejrzanego nie zauważyłem.

–Do dzieła! – zawołałem.

Tymczasem Manauri i Arnak wyznaczili poszczególnym ludziom zadania: tym przyniesienie zwłok, tym zabranie strzał i zdobytej broni, tym czuwanie ze strzelbą nad ogólnym bezpieczeństwem.

Nabilem pośpiesznie muszkiet i zajęłem stanowisko wśród strzelców.

–Czy psa także przynieść? – zapytał Arnak.

–Naturalnie!

–A gdybyśmy zajęli tamten brzeg polany? – Wagura rzucił myśl.

–Po co? Żeby łatwiej wpaść im w ręce? Polana jest dla nas jak wał ochronny. Z tej strony dla nas bezpieczniej.

Manauri dał znak i ludzie wyskoczyli z ukrycia. Żadnej przykrej niespodzianki nie doznaliśmy. Tak dziarsko gromada się uwinęła, że nie upłynęło i pięciu minut od czasu, kiedym wystrzelił do Hiszpana, a polana była znowu pusta jak od niepamiętnych wieków, zwłoki zaś ukryte daleko za naszą linią.

Skraj gęstwy tonął w niezmaconej ciszy, przerywanej tylko jednostajnym sykiem świerszczy i cykad. Ciepła noc księżycowa

roztaczała cały przepych tropikalna i zapewne pobudzałaby do ła-godnej zadumy, gdyby zapach krwi, szczekanie od czasu do czasu psów nie mąciły sztucznego spokoju i nedorzeczej sielskości.

31. Walka z psami

Do świtu było jeszcze daleko. Na niebie pojawiały się rzadkie zrazu, kłębiaste chmurki, które na krótki czas zakrywając miesiąc powodowały ciemności. Po dojmujących wzruszeniach potyczki nastął względny spokój.

Korzystając z wytchnienia zwróciłem się do Manauriego jak zwykle za pośrednictwem Arnaka:

–Gdzie uratowana Murzynka? Indianin wskazał głową w tył.

–Czy daleko stąd? – spytałem.

–Nie

–Nie wiesz, czy odzyskała przytomność?

–Nie wiem.

–Chodźmy do niej.

Zabraliśmy ze sobą Arnaka polecając ludziom pozostałym pod zwierzchnictwem Wagury na brzegu polany szczególną czujność podczas naszej nieobecności.

–To sto kroków, nie dalej – wyjaśniał Manauri.

Po drodze Arnak podszedł do mnie i dopytywał się o me plany.

–Plany? – odrzekłem. – Nic się nie zmieniły.

–To znaczy, że co?

–Idziemy na ratunek Matea.

–Więc pójdziemy dalej? Nie pozostaniemy na polanie?

–A jakże! Tylko przedtem pogadamy z Murzynką. Może nam

wyjaśni to i owo.

Murzynka siedziała na ziemi, oparta plecami o pień niewielkiego drzewa. Skoro usłyszała zbliżające się kroki, powstała raptownie, jak gdyby do ucieczki. Ale poznawszy nas, zaraz się uspokoiła.

–Dolores, jak się miewasz? – Manauri powitał ją przyjaź

nie po hiszpańsku. – Czy lepiej ci?

–Lepiej – westchnęła kobieta.

–Czy nasi ludzie dali ci jeść?

–Dali.

Dolores ujrawszy mnie zaczęła drzeć na całym ciele.

–Uspokój się, głupia! – Manauri rzekł dobrodusznie. – To nasz dobry przyjaciel. On uratuje Matea.

–Mateo zabity – szepnęła Murzynka.

–Co ty mówisz? Czyś tego pewna?

–Pewna. Widziałam, jak go zasiekli.

–Gdzie to było?

–Tam...

Urwała, nie mogła dalej mówić. Obezwładniło ją wspomnienie strasznych chwil. Manauri potrząsał łagodnie jej ramionami zaklinając, by się opanowała i nie zabierała nam czasu.

Dolores miała trzydzieści ponoć lat, jak mnie zapewniał Indianin, ale wyglądała na pięćdziesiąt: wieloletnia niewola tak ją zniszczyła. Porwana z Afryki jako dziecko, znała tylko język hiszpański. Hiszpanie nadali jej imię, oni też obarczając ją nieludzką pracą ponad siły wytoczyli z niej młodość.

Jakoż kobieta wnet wróciła do przytomności i odpowiadała nieco trzeźwiej. Wypadki, które odtworzyć zdołaliśmy według jej zagmatwanych słów, taki miały przebieg: Mateo ze swą grupą, idąc za naszą radą, rozłożył się obozem w pobliżu Żółwiego Cypla. Ostatniego wieczoru ognisko ich paliło się jak zwykle niedaleko wybrzeża, a mniej więcej w godzinę po zachodzie słońca wszyscy poszli spać. Nikt nie zauważył statku, który musiał zjawić się o zmierzchu na widnokręgu, natomiast Hiszpanie bez trudu odkryli blask ogniska. Wylądowali gdzieś niedaleko cypla i zbliżali się do śpiących. Wszakże jeden z zabranych psów przedwcześnie zaskomlał i zaalarmował obóz. Zanim oprawcy podbiegli, ludzie z obozu umknęli w zarośla. Najgorzej miały kobiety z małymi dziećmi. Chcąc odwieść od nich pogoń, Mateo z trzema czy czterema towarzyszami stawiał czoło nacierającym i cały ich impet wziął na siebie. Obrońcy mieli tylko pałki i oszczepy; przeciw nim były rozjuszony psy i moc Hiszpanów z rapierami, dzidami, strzelbami. Mateo i towarzysze bronili się zaciekle i długo, widocznie wróg chciał ich pojmać żywcem, i zanim ulegli przemocy, reszta grupy mogła daleko rozproszyć się po lesie. Dolores podczas ucieczki wcześniej straciła swoich z oczu i biegła samopas, wciąż przed siebie. Strzelali

do niej dwukrotnie, ale bez szkody. Gonili – zmyliła ich. Wreszcie dopadła do polany, gdzie dogonił ją pies i gdzieśmy przyszli jej z ratunkiem.

–Az czego wnosisz, że Mateo nie żyje? – zapytałem.

–Przecież wszyscy Hiszpanie rzucili się na niego! Widziałam wyraźnie, kiedym się obejrzała. Był otoczony.

–Mogli go ranić tylko, mogli go wziąć żywcem.

Ale Dolores stanowczo przekonana była o śmierci Matea, jak również tych trzech czy czterech obrońców walczących przy jego boku, lubo nie miała wyraźnego na to dowodu.

–Hiszpanom zależy na żywych niewolnikach, nie na zabi

tych – zauważył Manauri.

Arnak uczynił niecierpliwy ruch ręką i oświadczył:

–Dopóki nie przekonamy się o jego śmierci, ja wierzę, że

jeszcze żyje!

Każdy z nas pragnął, ażeby Mateo żył i, wbrew głosowi rozsądku, nikt nie chciał dopuszczać myśli o jego śmierci. Wielką wśród ludzi życzliwością i przyjaźnią cieszył się zadzierzysty olbrzym.

–Niezależnie od tego, czy Mateo żyje, czy nie żyje – oznajmiłem – jego ostatnia walka i poświęcenie świadczy o tym, że jest to prawdziwy bohater.

–Mateo zawsze miał mężne serce! – zapewniał Manauri.

Lekki trzask chrustu od strony polany przerwał naszą rozmowę. Dostrześliśmy mgliste zarysy zbliżającego się szybko człowieka.

–To swój! – szepnął Arnak.

Był to jeden z Indian czuwających na brzegu polany. Przybiegł z doniosłą wiadomością, którą podawał z ożywieniem. Arnak pośpiesznie mi ją przetłumaczył:

–Ludzie przeszli przez polanę... Są na naszej stronie.

–W którym miejscu?

–Jakie czterysta kroków na prawo od nas, tam, ku środkowi wyspy.

–Hiszpanie? Czy mieli psy?

–Psów nie mieli.

–Ilu ich było?

–Czterech, pięciu.

–Oho!

Była to wieść zatrważająca. Znaleźliśmy się w kleszczach. Mieliśmy wroga przed sobą i kogoś, kogo należało uważać również za wroga, za sobą. Tych czterech, pięciu na naszych tyłach mogło tego zalać nam sadła. Należało usunąć ich jak najszybciej, chociażby przy użyciu broni palnej.

Wracając co żywo, acz uważnie i bez szmeru, do naszej grupy, wydawałem stłumionym głosem polecenia Manauriemu i jego zastępowi powierzyłem pilnowanie nadal polany na dotychczasowym stanowisku, podczas gdy Arnak i Wagura tudzież ich ludzie mieli iść za mną. Muszkiety o długich lufach, nieprzydatne w gęstwinie, zamieniliśmy na guldynki nabite siekańcami. Mimo to łuki, dzidy i noże – trzy znakomite kordelasy wpadły nam w ręce po zabitych Hiszpanach – pozostały główną naszą bronią.

–Gotowe? – rzuciłem chłopakom.

–Gotowe! – odrzekli.

Trudne przypadło nam zadanie. Przeciwnik znajdował się w nieprzejrzanym chaszczach, gdzieś niedaleko przed nami, może o kilkaset kroków, ale dokładnie nie wiadomo było gdzie. Należało przypuszczać, że on tak samo jak my czujny wyteżał słuch i wzrok, a przecież musieliśmy nie tylko podejść do niego, ale i zaskoczyć tak zmyślnie, iżby nikt żywy nie wy dostał się z walki.

Z początku szliśmy brzegiem polany. Chmura zakryła miesiąc, co było nam na rękę. Wszyscyśmy zamienili się w ucho i w oko. Cisza przed nami była zupełna, przeciwnik niczym nie zdradzał swej obecności.

Po przejściu dwustu mniej więcej kroków Arnak, który zawsze torował nam drogę, nienacka przystanął. Podniósł ostrzegawczo rękę, zasluchany. Doleciało nas szczekanie psa. Zbliżało się stamtąd, skąd tych pięciu przybyło. Wkrótce usłyszeliśmy trzask łamanych w biegu gałęzi. Nie było wątpliwości: pies, nie: dwa psy sadziły przez krzewy śladem ludzi, którzy przedtem przekroczyli polanę.

–Czyżby ich goniły? – szepnął Wagura.

Psy z rzadka wydawały krótkie, warkliwe poszczeki, znamienne dla ogarów będących na

świeżym tropie zwierzyny. Gdy przebiegły przez polanę, o jakie dwieście od nas kroków, nosy miały przy ziemi. Wyraźnie węższąc, pędziły po śladach owych pięciu ludzi.

–Gonią ich! Nie ma dwóch zdań! – stwierdziłem.

Na szczęście obydwaj psy, zajęte pościgiem tamtych, nas nie wytropiły. Wpadły do gąszczu po naszej stronie i wkrótce wstrząsnęło puszcza ich zażarte ujadanie.

–Dogoniły ich! – wybuchnął Wagura.

–To są nasi Murzyni! – ucieszył się Arnak. – Psy ich osaczęły.

–Na pomoc im! – zerwał się Wagura.

–Czekaj – powstrzymałem go. – Za psami mogą przybiec Hiszpanie.

–Więc co robić?

–Arnak! Ty zacznij się ze swymi ludźmi w miejscu, gdzie psy przebiegły polanę.

–Dobrze, Janie!

–Żebyś żywej duszy nie przepuścił!

–Czy mogę strzelać z guldynek?

–Możesz, ale dopiero w ostateczności! Lepiej załatwić się cichą bronią!

–Rozumiem!

Psy zdawały się odchodzić od zmysłów, z tak oszalałą furią wyprawiały wrzaski.

–Wagura! My do nich! Pędźmy!

Skoczyliśmy na przelaj, przebijając się przez ostępy. Już nie zważaliśmy na to, że nas usłyszą. Dzikie ujadanie psów wciąż rozdzierało powietrze.

–Rozszarpia ich, zanim dopadniemy! – huknął do mnie Wa

gura w biegu.

–Zważaj na jedno! – ostrzegłem go.

–Na co?

–Nie strzelać z broni palnej!

–Tylko z łuku?

–Tak.

Pędziło nas sześciu czy siedmiu. Niepodobna było zablądzić, głos ogarów wskazywał nam drogę. Wnet dobiliśmy do celu. Murzyni stali zbitą masą, przywarci plecami do pnia przysadzistego drzewa, jakie tu rosło, i opędzali się kijami od rozjuszonych zwierząt.

Dotarliśmy nakilkanaście od nich kroków, a jeszcze nikt nas nie spostrzegł. Walka całkowicie pochłaniała uwagę ludzi i zwierząt. Widząc, że bezpośrednie niebezpieczeństwo nie grozi napadniętym, Indianie spokojnie przygotowali się do zajęcia dogodnych stanowisk. Walczących otoczyli półkolem w odległości dziesięciu zaledwie kroków. Chodziło o to, ażeby przypadkiem nie trafić w ludzi.

–Ho! – głośno krzyknął Wagura, gdy wszyscy byli gotowi,

a luki napięte.

Psy jakby piorunem rażone zamilkły, zamarły w ruchu. Były to potężne psiska, dogi, silniejsze niż wilki w lasach północnoamerykańskich. Jeden z nich, spostrzegłszy nowego wroga, zje-żył sierść na karku i zamierzał skoczyć na najbliższego Indianina. Trzy strzały – w pysk, w kark i w pierś – powaliły go na miejscu. Drugi pies stchórzył i chciał czmychnąć. Ale porywając się wpadł na ostatniego w półkolu Indianina. Uderzony pałą w łeb, oszołomiony, dostał kilka równocześnie strzał i tak samo szybko jak pierwszy padł nieżywy.

–Dobra robota! – ucieszyłem się.

Opisać zdumienie i wstrząs Murzynów, gdy zamiast Hiszpanów pojawili się przed nimi obrońcy! Uratowanych było pięcioro. Trzech Murzynów i owa młoda Indianka, żona Matea. W ramionach trzymała swego synka, który darł się wniebogłosy.

–Wrzeszczy, więc żyje! – stwierdziłem z cierpkim humo

rem. – Ale błagam was, uspokójcie go, jeśli wam życie mile!

Dajcie mu jeść!

Okazało się, że ani Indianka, ani Murzyni nie mieli okruszyny pożywienia.

–Czy macie wy co? – zwróciłem się do Indian.

Zapasy żywności pozostawiliśmy u Manauriego, wszakże któryś z Indian miał w woreczku słodkie owoce.

–Dawaj sam tu! – zawołałem. – Chyba dziecku nie za szkodzą!

Od pewnego czasu świecił miesiąc, stało się widniej. Podeszedłem do Indianki i podałem jej owoc. Ponownie uderzyła mnie niezwykła jej uroda, rysy twarzy – pełne słodkiego wdzięku pomimo cierpienia i wyczerpania. Gdym przyjrzał się dokładniej dziecku, omal nie krzyknąłem z zatrwożenia: twarzyczka jego ociekała krwią. Nie dziwić się, że tak beczalo.

–Co jemu? Ranione? – zapytałem.

–Tak, panie – szepnęła matka. – Na czole.

Widniała tam głęboka i długa kresa, z której wciąż sączyła się krew.

–Od czego to?

–Kolce krzaków rozdarły...

Na szczęście miałem na sobie koszulę wypraną poprzedniego dnia. Była to zdobycz z płonącej brygantyny hiszpańskiej. Niewiele się namyślając wydarłem z niej rękawy, pociąłem je w pasy i umiejętnie obwiązałem główkę dziecka. Mówię z pewną samochwałą: umiejętnie, bom użytecznego tego kunsztu nauczył się nieźle jeszcze w lasach Wirginii.

Opatrzony chłopczek niebawem przestał płakać, a gdy dostał owoc do żucia, buzię jego rozpogodziło zadowolenie co niemiara. Dotknąłem palcem jego bródki: uśmiechnął się.

–Czy widzisz? – zerknąłem wesolo ku jego matce. – On nie boi się mnie!

–Ja też nie! – odparła cicho i spokojnie.

W jej wielkich źrenicach malowało się uczucie wdzięczności, ale zaraz oczy kobiety zasłyły chmurą, na czole wystąpiła zmarszczka.

–Gdzie Mateo? – wydarło jej się.

Chwilę zastanawiałem się, jak jej odpowiedzieć. Spojrzała na mnie przenikliwie. Zapytała:

–Czy zabity?

–Nie wiadomo! – odrzekłem. – Prawdopodobnie nie zabity.

–Gdzie jest?

–Dokładnie tego nie wiemy. Trzeba ci wiedzieć, że Mateo to wielki bohater, możesz być dumna z niego!

–Panie, mów jaśniej.

–Mateo rzucił się na Hiszpanów! Ażeby wam ułatwić ucieczkę, powstrzymywał ich i zaciekle z nimi walczył...

–To zginął?

–Nic nie wiadomo. Są raczej poszlaki, że żyje.

–Żyje?

–Tak, zapewne żyje. Dostał się do niewoli...

Indianka jęknęła. Wiadomość ta napelniła ją nieopisaną zgrozą, ażem pożałował mych nieostrożnych słów. Kurczowo przycisnęła dziecko do siebie.

–Zamęczą go na śmierć! – szepnęła z głuchą goryczą.

Ująłem ją mocno za ramię.

–Jak jej na imię? – zwróciłem się do Wagury tłumaczącego naszą rozmowę.

–Lasana.– odparł chłopak.

–Lasana! – rzekłem dobitnie. – Musisz nam ufać! Nie spoczniemy, dopóki zbirów nie zniszczymy lub sami nie zginieemy. Jeśli Mateo żywy, będzie wolny.

Obydwie oswobodzone niewiasty – Lasanę i Dolores – chciałem posłać pod ochroną dwóch Murzynów do obozu przy mej jaskini, trzeciego zatrzymując przy sobie jako przewodnika. Ale oni temu się sprzeciwiali: wszyscy Murzyni żądali broni i chcieli walczyć razem z nami, a Lasana postanowiła pozostać w pobliżu. Prosiła, by jej dać łuk i nóż, a sama się obroni. Gdzie rozgrywały się losy ich istnienia, tam było jej miejsce.

Z jej postawy biła niepoślednia stanowczość i odwaga. W końcu pozwoliłem pozostać kobietom w ukryciu nad morzem, o przeszło pół mili od polany, a trzech Murzynów wcieliłem do zastępów.

32. Porażka

Krótką naradą, jaką po powrocie do Manauriego odbyliśmy przy udziale nowych sojuszników, niewiele istotnego nam wniosła. Sądząc, że podczas napadu Hiszpanów jedyny ratunek leżał w ucieczce, trzech Murzyni razem z kobietami i innymi pierzchli z obozu natychmiast po alarmie i lubo słyszeli jakieś wołanie

Matea, nie rozumieli, że to wezwanie do walki. W zaroślach pogubili się: tylko oni trzech i Lasana biegli nadal kupą.

–Ile Hiszpanie przywieźli psów? – zapytałem.

Tego dokładnie nie wiedzieli, w każdym razie przypuszczali, że więcej niż trzy.

–Czy potraficie podprowadzić naszą grupę do obozu, w którym was zaskoczyli Hiszpanie?

–Potrafimy.

–Pójdziemy tam! Jeśli Mateo żyje i trzymają go gdzieś uwięzianego, to chyba właśnie w tym miejscu, gdzie go pojмали.

Murzyni nie umieli strzelać z łuku ani ze strzelb, za to dobrze rzucali oszczepem, więc kazałem dać każdemu z nich oprócz noży i palek po dwie włócznie. Najstarszy, imieniem Miguel, podszedł do mnie z zakłopotaną miną i zapytał, czy może prosić o coś ważnego.

–Słucham! – spojrzałem nań życzliwie.

–My trzech... – wskazał na siebie i swoich dwóch towarzyszy, ale zawahał się, niepewny, jak mówić dalej. – Nas trzech... Rozumiesz, panie!

–Nic nie rozumiem! – zachęcałem go uśmiechem.

–My w głupim położeniu... My nie tchórze!... Wierzaj nam!... My naprawdę nie rozumieliśmy wołania Matea!

–Nikt do was o to żalu nie ma i mieć nie będzie! – zapewniłem go.

–Nam wstyd, że on zginął, a my uciekliśmy

–Trudno! Tak wypadło!

–My chcemy to naprawić!

–Naprawić? Jakim sposobem?

–Wyróżnić się w walce! Każ nam zrobić coś ważnego! Poślij nas tam, gdzie niebezpiecznie!

Teraz z kolei ja z kłopotliwym wzruszeniem patrzyłem na przejętego Miguela i jego towarzyszy. Wzruszał mnie prosty odruch rycerskości, której w tym człowieku nie zdołało zabić długoletnie upokorzenie ciężkiej niewoli. Czyż nie utwierdzało to wiary w ludzkość, czyż nie napawało ufnością do wszystkich, bez względu na kolor ich skóry?

Był to lotny odprysk mej myśli, niedozwolony w tej naprężonej chwili. Szybkiem się opamiętał i wrócił do rzeczywistości.

–Posłać, gdzie będzie niebezpiecznie? – powtórzyłem słowa Miguela. – To myślisz, że tu bezpiecznie?... Mów ciszej, bo nie wiadomo, czy tam, za tym krzakiem, nie czai się wróg! Tu każdy z nas bez wyjątku wszystko musi dać z siebie!

–Ale pozwól nam przecie...

–Miguel, każdy może się wyróżnić, byle sposobność! Nie ma między nami wyjątków!... Jest to walka na śmierć i życie! Wróg okrutny, bezlitosny! Rozszarpie nas, jeśli popełnimy najmniejszą nieostrożność... Był tu między nami taki, który chciał się wyróżnić! Raisuli. Naraził siebie i nas! Zginął! Hiszpanie zastrzelili go na naszych oczach!

–My nieostrożni nie będziemy, panie!

–Dobrze, Miguelu! Pamiętaj, że pierwszą naszą zasadą – nie pokazywać się wrogowi! Hiszpanie jeszcze do tej chwili nie wiedzą, że tu jesteśmy, i tym nad nimi górujemy!

Znowum się złapał na niepotrzebnej gadatliwości. Dość tej rozmowy z Miguelem, czekały nas pilniejsze zadania, ważniejsze mieliśmy na głowie troski.

Czy w istocie Hiszpanie jeszcze się nie domyślali, że tu jesteśmy? Psy, które pędziły w naszym kierunku, nagle milkły, ludzie dążący za nimi przepadali bez wieści. W ostatniej godzinie zginęło z naszej ręki trzech wrogów i tyleż psów. Czy nie obudziło to czujności i podejrzenia reszty ich towarzyszy?

Od dłuższego czasu głęboka cisza zalegała puszcę. Szczekanie psów zupełnie ustało. Trudno było opędnąć się przeczuciu, że w tych zamilkłych nagle ostępach rodziło się niebezpieczeństwo, zawisłe nad nami blisko i złowieszczo.

Wtem przyczółgał się do nas Indianin z prawego skrzydła. Oznajmił, że usłyszał coś podejrzanego z tamtej strony polany. Mianowicie, jak gdyby zaskomlenie psa, trzymanego na smyczy, a niecierpliwie wydzierającego się naprzód.

–Czy nie myliłeś się? – obrzucił go twardym spojrzeniem Manauri.

–Wszyscy obok mnie słyszeli! – zapewniał Indianin.

Przyłożyłem lunetę do oka. Było ciemno, miesiąc skrył się za chmury. Mimo to zauważyłem jakiś niewyraźny ruch w przeciwnych zaroślach, o jakie sto kroków na prawo od nas.

–Uważajcie! – nakazałem.

Długo nie trwało, a stamtąd oderwała się skulona postać i miarowym biegiem przecinała polanę. Pochwyciłem ją w lunetę. Rzut oka wystarczył, by biegnącego poznać po odzieży.

–Hiszpan! – powiadomiłem towarzyszy.

Przebiegł na naszą stronę polany tylko ten jeden. Jeśli znajdowało się tam więcej Hiszpanów, to wysłali widocznie zwiadowcę, mającego wybadać, co się dzieje w tej części kniei.

–Trzeba go natychmiast sprzątnąć! – szepnąłem.

–Ja! – Miguel porywczo nachylił się ku mnie. – Ja go biorę na siebie!

–Znakomicie! – zgodziłem się. – Ale nie ty sam! Idźcie razem w trójkę!

–Dobrze.

–Pamiętaj, że to ich szpieg. Z takim niełatwa sprawa! Baczny i dobrze uzbrojony!

–Postaramy się!

–I nie zapominajcie o zasadzie: załatwić się w ciszy!

Po ich odejściu pozostaliśmy na dotychczasowym stanowisku, uważnie pilnując polany, czy kto jeszcze jej nie przekroczy. Nikt się nie pojawił.

Zdławiony, krótki charkot obwieścił cichy dramat, jaki rozegrał się w głębi krzewiny. Wkrótce wrócili Murzyni z zadowolonymi gębami.

–Udało się! – prychnął Miguel i ułożył przede mną na ziemi zdobytą strzelbę i pistolet nie zapominając o woreczkach z prochem i ołowiem

–Świetnie! Dziękuję wam!

–A to dla mnie! – rzekł i pokazał ładny, obosieczny nóż.

Kiwnąłem mu głową na znak zgody.

–To nasz czwarty nóż! – zachichotał Wagura i za pośrednictwem Manauriego zwrócił się do Miguela:

–Ale czyście go na pewno zakatrupili?

W tej chwili ostre szczekanie w pobliżu przeszło powietrze targnąwszy nasze nerwy. Dwa psy wyskoczyły z gęstwiny z tego samego miejsca, z którego uprzednio wyszedł Hiszpan. Ale zwierzęta nie podążyły jego śladem, jeno pędziły na ukos polany, wprost na nasze stanowisko. Widocznie od dawna już nas wywęszyły.

–Strzały! Zatrute strzały! – syknął Arnak do Indian.

Ukrywaliśmy się nie na samym brzegu polany, jeno dla większego bezpieczeństwa – o kilka lub kilkanaście kroków w głębi zarośli. – Zaledwie psy dotarły do pierwszych krzaków, wściekłym ujadaniem dały znać, że doskoczyły do zwierzyny. Naraz, rażone wielu strzałami, żałośnie zaskowyczały i padły, ale nastąpiło to o kilka chwil za późno: byliśmy odkryci.

Wtedy popełniłem gruby błąd, pierwszy w tej wyprawie. Wiedząc, że Hiszpanie, będący w pobliżu, poszczuli psy i że zwierzęta dokładnie zdradziły im miejsce naszego pobytu, powinienem był rozkazać natychmiastowy odwrót. Nie uczyniłem tego. Pozwoliłem na to, by najpierw kilku Indian chyłkiem zebralo strzały wyrrywając je z zabitych psów.

–Szybciej! – naglilem.

Nagle tuż naprzeciwko nas, z tamtej strony polany, olśniewające błyski rozdarły ciemności i powietrzem wstrząsnął huk kilku strzałów. Padło ich osiem, może dziesięć, prawie jednocześnie, niemal salwą. Pod gradem ołowiu zaszumiały krzewy, wśród których się schroniliśmy. Strzelby wroga nabite były siekańcami.

Leżąc na ziemi, uczulem gorące uderzenie w lewą łopatkę. Na szczęście, pocisk poszedł bokiem, drasnawszy mi tylko skórę. Z prawa i z lewa rozległy się zduszone okrzyki i jęki zranionych towarzyszy.

Spodziewałem się, że po salwie Hiszpanie uderzą do szturm. Ale, widać, niezbyt sobie ufali. Z dymu, jaki zasłonił tamtą część polany, nikt się nie wyłaniał.

–Czy strzelać do nich z guldynek? – zapytał Wagura.

–Nie! – gwałtownie zaprzeczyłem. – Nie strzelać! W żaden sposób!... Wszyscy cofnąć się cichaczem o sto kroków od polany! Zdrowi niech zabiorą rannych! Dalej, rażno!

Okazało się, że prócz mnie było pięciu rannych, w tym jeden, z postrzałem w głowę, w stanie beznadziejnym, stracił przytomność, gdy odnoszono go w tył.

–Co z psami zrobić? – zwrócił się do mnie Arnak. – Chyba zabierzemy je...

Postanowiłem do końca trzymać się zasady niepozostawiania za sobą żadnych śladów. Hiszpanie mogli domyślać się wielu rzeczy, ale im mniej o nas wiedzieli, tym lepiej. Do tej pory błakali się w niepewności, kim był i jaką bronią władał ich przeciwnik.

Odbiwszy się od polany o przeszło sto kroków, przystanęliśmy. Wystawione na wszystkie strony czaty donosiły, że o wrogu nie było widu ni słyhu. To nas zaniepokoiło, gdyż nasuwało przypuszczenie, że Hiszpanie w ciszy coś knują nowego. Polecilem zebrać się i opuścić miejsce. Tymczasem ranny Indianin skonał. Pogrzebano go obok Raisuliego. Trupy Hiszpanów i psów rzucono w taki gąszcz, że i za jasnego dnia nie znalazłby ich diabeł. Rannym, również i sobie, nałożyłem jakie takie opatrunki. Jednego z nich, niezdolnego do walki, odesłaliśmy na tyły do kobiet.

Ruszyliśmy w stronę morza, wyprzedzani o kilkadziesiąt kroków przez zwiady. Było nas od nowa szesnastu, bo doszło trzech Murzynów. Broni mieliśmy więcej niż wprzód.

Co mnie w tej chwili najwięcej pocieszało, to ochota ludzi. Porażka nie odebrała im ducha. Pałali chęcią walki i zemsty. Poznawalem po tym urodzonych wojowników, obytych z wojaczką.

33. Zapach prochu i krwi

Po dojściu do morza przeszliśmy na drugą stronę polany i jej skrajem ostrożnie posuwaliśmy się ku miejscu, gdzie byli Hiszpanie, którzy tak skutecznie posiekli nas ogniem. Ale już ich tam nie zastaliśmy. Gąszcz był pusty.

–Dokąd by poszli? – zasępił się Arnak.

–Nie mam pojęcia! – burknąłem.

Kazałem przywołać do siebie Murzyna Miguela.

–Czy dokładnie wiesz, jak prowadzić nas do waszego obozu? – badałem go.

–Wiem.

–Ale tak, żeby po drodze możliwie nie zetknąć się z Hiszpanami.

Miguel namyślał się. Podsunąłem mu:

–A gdyby skradać się krzakami blisko morza?

–Tamtędy chyba najpewniej! – uznał.

Skierowaliśmy się znowu ku wybrzeżu. Dla sprawniejszej gotowości bojowej poleciłem dwóm zastępom podkładać się w odstępie kilkudziesięciu kroków obok siebie, podczas gdy trzeci zastęp miał kroczyć nieco w tyle jako odwód.

Niebawem prawa kolumna, przy której i ja byłem, natknęła się na zwłoki leżące wśród krzewów. Umówionym znakiem, trzykrotnym sykiem, powstrzymaliśmy cały pochód. Gdy miesiąc wyjrzał zza chmur, rozpoznaliśmy Murzynkę, pogryzioną widać przez psy i pociętą na domiar czymś ostrym. W pobliżu leżały zwłoki trojga dzieci, równie szkaradnie rozszarpane.

Wzdrygnąłem się. Jedno tylko miałem na to słowo:

–Bestie!

Pośpiesznie grzebiąc w ziemi zabitych wszyscyśmy mieli jedną i tę samą myśl: oto los, jaki czekałby nas, gdyby Hiszpanom udało się wziąć nad nami górę.

Od polany do obozu było dobre pół mili. Przebyliśmy już więcej niż połowę przestrzeni, gdy przed sobą zoczyliśmy podejrzany ruch. W wielkiej cichości kilku Hiszpanów torowało sobie drogę w tym samym co i my kierunku. Świecił wciąż miesiąc, więc doskonale widzieliśmy ich postacie w odległości około dwustu kroków.

–Dogońmy ich! – zapalił się Wagura.

–Jesteśmy zbyt blisko obozu – odrzekłem.

–Raz dwa ich wybijemy! Pędźmy!

–Wagura, nie! Walka w tych warunkach nie odbyłaby się-bez wrzawy.

–Wrzawa czy nie wrzawa, łącno ich wytluczemy!

–W pobliżu mogą być inni i spaść nam na kark! Nie można!

–Można!

Zapewne widok zwłok Murzynki i dzieci wyprowadził chłopaka z panowania nad sobą, bo nie chciał słuchać. Zamieszanie, jakie wywołał, w czas zauważył Manauri, który podszedłszy do nas dowiedział się, o co chodzi. Na szczęście wódz silnie trzymał w garści swych ludzi. Kilka ważkich słów tchnął do ucha Wagury i chłopak bez szemrania ustąpił, troszkę zawstydzony.

Hiszpanie tymczasem zniknęli nam z oczu. Obawiając się jakiej zasadzki wysłałem za nimi dwóch zwiadowców, natomiast reszta nas poszła dalej, nieco innym niż dotychczas szlakiem, bliższym wybrzeża. W ten sposób od strony morza byliśmy całkiem kryci, a z przodu, z prawego boku i z tyłu ubezpieczały nas patrole.

Gdym spojrzał w lewo, na wschód, niebo, nasiąkłe tam ołowianą poświatą, zapowiadało rychły brzask, lubo na wyspie noc jeszcze panowała w zupełności. Nagle zdałem sobie sprawę, że w ciągu następnej godziny nieodwołalnie rozstrzygnąć się muszą nasze losy i że dojdzie za kilkanaście czy kilkadziesiąt minut do walnej rozprawy. Powietrze było ciche, bez wiatru, i fale ledwo pluskały o brzeg, a miesiąc, który przetoczył się na zachód, promienie słał z ukosa.

Na morzu wpadł nam w oczy ciemny kształt. To szkuner stał przed nami na kotwicy, nie dalej niż o dwa do trzech strzałów muszkietowych od brzegu.

–Stoi akurat naprzeciwko obozu – mruknął Miguel.

Słysząc już było niewyraźne odgłosy dochodzące z obozu

przed nami.

–Wydaje mi się – rzekłem do Murzyna – że Hiszpanie rozłożyli się w tym samym miejscu co wy.

–Ano! – potwierdził.

Pomimo napięcia uśmiechnąłem się do siebie z zadowoleniem. Roztropność trzymania się w ukryciu wydawała owoce: wróg wciąż nie zdawał sobie sprawy, z kim na wyspie ma do

czynienia, i zachowywał się swobodnie jak w zwykłym obozie.

Lubo czas naglił, a gwiazdy na niebie traciły blask, nie wolno nam było pominąć niczego, co zapewniało pomyślny obrót rzeczy. Przede wszystkim należało dokładnie rozpoznać położenie, więc odkładając strzelby udaliśmy się w piątkę na zwiady: Manauri, Arnak, Wagura, Miguel i ja.

Okolica wciąż porośnięta była kolczastą krzewiną, która jednak rzedła w miarę podchodzenia do obozu. Grunt stawał się tu kamienisty, a im bliżej do morza, tym karłowatsza pokrywała go roślinność wśród coraz liczniejszych głazów. Nawet brakowało tu palm kokosowych, nieodłącznych gdzie indziej na wyspie ozdób pobraża.

Na otwartym miejscu stał obóz Matea. Widniały tu jeszcze szczątki trzech szałasów, wzniesionych przez Murzynów, a rozwalonych na skutek wypadków ostatniej nocy.

Wobec braku osłony, bliżej niż na sto kroków nie dało się podejść. Oddział Hiszpanów, który kilka minut temu kroczył przed nami, właśnie powrócił do obozu i z widocznym podnieceniem opowiadał swe przeżycia kilku towarzyszom, którzy byli tu już przedtem. Przy rozpalonym ognisku gotowano jakiś posiłek.

–Ilu ich jest? Liczmy! – odezwałem się.

Liczył każdy z nas. Było ich jedenastu albo dwunastu.

–To chyba wszyscy! – rzekłem. – Czterech poległo, więc razem szesnastu. Tylu mniej więcej widzieliśmy na szkunerze.

–A czy warty nie zostawili na statku? – Wtrącił się Wagura.

–Prawdopodobnie tak. Tym bardziej należy przypuszczać, że w tej chwili mamy tu przed sobą wszystkich razem. Więcej ich chyba nie ma!

Była to ważna okoliczność. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mieliśmy nikogo w lesie za naszymi plecami.

–Czy widać jakieś psy?

–Nie, psów nie odkryliśmy. Mieli ich zatem tylko pięć i wszystkie zginęły.

Hiszpanie byli niezwykle ożywieni. Niestety, staliśmy zbyt od nich daleko, ażeby Manauri mógł zrozumieć, o co się sprzecjali. Zresztą z ich gestykulacji nietrudno było odgadnąć. Jedni, wzburzeni, prawili coś o niebezpieczeństwie, – inni im nie dowierzali.

W końcu kilku z nich powstało i odeszło nieco na bok.

Wyteżyliśmy wzrok, a serca żywiej nam zabiły. Tam na ziemi leżeli związani ludzie. Jednego z

nich Hiszpanie podnieśli.

–Mateo! – zacharczał Miguel.

Miguel mylił się. To nie był Mateo, lecz inny Murzyn z jego grupy.

Hiszpanie zarzucili go pytaniami. Gdy nie odpowiadał, przywlekli go bliżej do ogniska.

Dotychczas siedział tam w kucki młody człowiek, wyróżniający się bogatszym ubiorem, niezawodnie ich dowódca, bo wszyscy zwracali się do niego z szacunkiem. Spojrzałem nań przez lunetę. Był to młodzieniec, liczący może nie więcej niż lat dwadzieścia, o czarnym, wąskim wąsiku, a licu tak gładkim i regularnym, że w pierwszej chwili mógł go wziąć za ładną dziewczynę, gdyby nie wąsik.

Młodzieniec powstał. Z ogniska wyciągnął palącą się gałąź. Z okrutnym uśmiechem, jakiego bym nigdy nie zdołał skojarzyć z tak pięknym na pozór obliczem, przybliżył się do związanego Murzyna i jął podpalać mu ciało przytykając płonąca główńię to do jego policzków, to do brzucha i pod pachę.

Uświadomiłem sobie niebezpieczeństwo, jakie nam zagrażało: wróg chciał z jeńca wymusić zeznanie o nas. Gdyby mu się to udało, bylibyśmy odkryci.

–Nie ma czasu do tracenia! – gwałtownie oderwałem lunetę

od oka.

Towarzysze sami widzieli, co się w obozie dzieje, i zrozumieli położenie. Niewielem potrzebował słów na wyjaśnienie planu, jaki sam się narzucił:

–Pędźcie po ludzi i jak najszybciej do mnie! Otoczmy Hiszpanów tak, żeby nikt nie przedostał się do zarośli! Tu, przy mnie, będzie Arnak ze swym zastępem! Tam, z prawej strony – Wagura, z lewej – Manauri! Wszyscy jednocześnie na nich uderzymy na dany znak! Krzyknę albo wystrzelę...

–Dobrze! – złowieszczo parsknął Wagura.

–A nie zapominajcie o mej strzelbie! – rzuciłem im na odchodnym.

Pozostałem sam z Miguelem. Hiszpanie nadal przypalali ciało nieszczęsnemu Murzynowi, srogo i natarczywie nad nim wykrzykując. Potem młodzian kazał przyprowadzić drugiego jeńca i jeszcze gorsze zadawał mu tortury: wypalał mu całą twarz.

Ów drugi nie miał tyle wytrzymałości co pierwszy i zaczął krzyczeć.

Obejrzałem się: Indian jeszcze nie było! Powietrze nasiąkło szarością; glazy przed nami uwypuklały się, krzaki obok nas nabierały barw. Dotychczas odróżniałem w twarzy Miguela

tylko białka oczu na tle zupełnie czarnej plamy. Teraz coraz dobitniej występowały w niej poszczególne rysy. Świtało!

Miguel mamrotał pod nosem hiszpańskie słowa pełne rozpaczliwego zniecierpliwienia. Tam przy ognisku wszyscy Hiszpanie otoczyli zbitą masą przesłuchiwanego Murzyna. Zapanowała wśród nich cisza: z takim przejęciem słuchali słów jeńca.

Gdyby do nich teraz wypalić – pomyślałem sobie – to kilkoma strzałami można by wy tłuc do nogi całą bandę.

Hiszpanie ciekawych dowiedzieli się nowin od torturowanego, bo zawrzało u nich jak w ulu. Niektórzy zerwali się i pobiegli do broni ustawionej opodal w kozły. Inni gorączkowo naradzali się, co czynić. Truchlałem na myśl, że zbiorą się i pójdą w las. Wtedy nie tylko że ominęłoby nas zwycięstwo, ale wątpliwe, czy obronilibyśmy własną skórę.

Szelest za nami. Arnak. Za nim jego ludzie. Kamień spadł mi z serca.

–Gdzie Wagura? – wykrztusiłem.

–W drodze na swoje miejsce, tak jak mu kazałeś.

–Aha!

–Tu masz dwa muszkiety i guldynkę.

Wagura, przeznaczony na prawe skrzydło, miał najdalej do swego stanowiska i trzeba było odczekać dobrą chwilę, zanim dojdzie do celu.

Nawet sekundy miały teraz znaczenie i mogły rozstrzygnąć o powodzeniu lub klęsce.

O błogosławioną gadatliwość Hiszpanów! Stojąc przy ognisku, nieustannie rozprawiali wymachując rękoma, a gęsto zastanawiali się i spoglądali na niebo, jakby w wyczekiwaniu pełniejszego brzasku. Już było tak jasno, że gdym dla próby wziął na muszkę pięknego młokosa, gagatek dobrze na niej siedział.

Gdyby to byli doświadczeni myśliwi z kresów wirginijskich, dawno by już z bronią w ręku zajęli obronne stanowiska lub poszli na wroga. Natomiast Hiszpanie w swej bezdennej pysze nie mogli pojąć, że miast znaleźć zastraszonych niewolników potknęli się na wyspie o zorganizowanego przeciwnika. Marudzili.

–Czy Wagura już doszedł? Jak sądzisz, Arnak? – spytałem.

–Już dawno!

Słowa te zabrzmiały jak wyrok na Hiszpanów. Wybierałem wzrokiem cel, do którego strzelić, dając Indianom umówione hasło, gdy w obozie powstało poruszenie. Hiszpanie wreszcie coś

postanowili i ci, którzy mieli już broń w pogotowiu, szybko ruszyli na lewo od nas, ku stanowisku Manauriego.

–Arnak! – szepnąłem. – Krzyknij na całe gardło.

Sam wziąłem na cel pierwszego z Hiszpanów, oddalonego od nas o jakie osiemdziesiąt kroków. Grzmiący okrzyk chłopaka zatrzymał ich wszystkich w miejscu. Chwila starczyła, by strzał z muszkietu celnie trafił. Zanim rozszerzył się dym, zobaczyłem padającego wroga.

Z trzech stron rozległ się huk wystrzałów i wrzask Indian. Sięgając po zapasową broń, muszkiet i guldynkę, starałem się ogarnąć wzrokiem całe pole.

Niestety, ogień Indian nie odniósł skutku, jakiego się spodziewałem. Czy to źle celowali, czy – co prawdopodobniejsze – odległość była zbyt wielka, dość że nikt oprócz przeze mnie trafionego nie padł na miejscu. Było może kilku łżej rannych, przecież reszta Hiszpanów nie tknięta uszła kulom.

Po oddaniu strzałów nasi rzucili się jak huragan wprost na wroga. Hiszpanie zaledwie ochłonęli z pierwszego przerażenia, już zaczęli strzelać. Ale strzelali w popłochu, zbyt popędliwie. Oni również chybiali. Mimo to wyrządzili nam szkody. Dwóch, trzech Indian padło. Potem Hiszpanie odrzucili strzelby, sięgnęli do szpad i pistoletów.

Razem z innymi wyskoczył z ukrycia Arnak. Jak szalony szedłem za nim, ledwom go dogoniłem. Gwałtownie chwyciłem go za kark.

–Stój! – huknąłem. – Zostań tu!!

–Dlaczego? – odkrzyknął z pasją.

–Zostań!!

Zatrzymał się, zdumiony srogim wyrazem mych oczu. Nie było czasu na wyjaśnienia. Podałem mu guldynkę.

–Bierz! – zawołałem. – Nabita. Wskazałem na pole walki.

–Pilnujmy ich z daleka! Żeby który nie uciekł do zarośli!

–Oaa! – krzyknął Arnak na znak, że zrozumiał. Niepowodzenie strzelb Indianie gruntownie odrobili strzałami

z łuku. Łuk był ich niezawodną bronią. Łuki rozstrzygnęły walkę tego dnia.

Z wściekłym krzykiem i niepowstrzymanym impetem dopadli do wroga otaczając go z trzech stron. Nie mieli ochoty nabijać się na jego szpady. Z odległości kilkunastu kroków wypuścili strzały. Zabójcze strzały: trzech, czterech Hiszpanów z jękiem obsunęło się na ziemię. Reszta widząc klęskę podała tył. Jedni uciekali w stronę morza i tych nie sposób było gonić. Drudzy usiłowali przebić się do lasu. Daremnie. Doganiały ich strzały, dopędzali ich wojownicy. Gdzie dopędzali, tam pałą, nożem, dzidą płatali, cięli, kluli. Ten i ów z pierzchających odwracał się rozjuszony, by szpadą przebić prześladowcę, wszakże ginął: zwycięski szal ponosił mścicieli, ich zapalczywości nic się nie oparło.

Rzężenia umierających, jęki ranionych, przekleństwa walczących, kłęby dymu i kurzu zasłaniające pole, ostry zapach prochu i krwi – wszystko to tworzyło nieopisany zamęt. Pokażny Hiszpan, niepostrzeżony w zgiełku, wymknął się z ciżby i co sił wrywał w stronę gąszczu. Był, widać, nie raniony, pędził na złamanie karku. Nikt go nie ścigał.

–Arnak! – krzyknąłem do chłopaka pokazując mu ucieka
jącego. – patrz!

Arnak kilkoma potężnymi susami skoczył naprzód, zabiegając Hiszpanowi drogę. Był o czterdzieści mniej więcej kroków. Wypalił z guldynki. Trafił. Hiszpan zwałił się z nóg wznecając tuman kurzu. Chłopak podbiegł do niego. Dał mi z daleka znak, że wszystko w porządku.

Jeszcze jeden chciał dać drapaka. Ale zanim wziąłem go na cel, Miguel wyprysł za nim i tęgim rozmachem rzucił dzidą. Ostrze jej wbiło się głęboko w plecy uciekającego. Hiszpan padł jak długi.

34. Pogrom Hiszpanów

Rad, że m zaoszczędził strzału z muszkietu, żywo pokiwałem ręką Miguelowi wieszając mu zwycięstwa, ale Murzyn nie miał czasu na wytchnienie. Podniecony, wskazywał w stronę morza i wołał:

–Tam uciekli! Tam uciekli!

Przypomniałem sobie, że kilku Hiszpanów zmykając przed strzałami nacierających Indian dążyło ku wybrzeżu.

–Za nimi! – wrzeszczał Miguel. – Nie wypuścić ich!

I pierwszy ruszył pędem. Inni biegli za nim.

Walka w obozie już wygasła. Na polu nie było żywych Hiszpanów. Rannych dobijano, nikt nie uszedł do zarośli.

Podczas gdy ranni Indianie przecinali więzy skrępowanym Murzynom, wszyscy, którzy nie ponieśli uszczerbku, runęli nad morze. O jakie sto kroków od obozu trzech uciekających Hiszpanów dopadło do łódki i z obłądnym pośpiechem zepchnęło ją na wodę. Gdy dotarliśmy do brzegu, tamci wiosłowali już poza zasięgiem naszych strzelb.

Płynęli przez małą zatoczkę, która przy ujściu do morza zwężała się do kilkudziesięciu kroków. Z jednej strony owej cieśniny wznosiły się niewysokie skały, przeciwległa zaś strona była płaska i piaszczysta.

Wszyscy nasi pędzili ku skałom. Wszakże Manauri bystro ocenił położenie i część Indian skierował na przeciwległą, płaską stronę cieśniny, ażeby łódkę wziąć w dwa ognie.

Hiszpanie wyprzedzili nas o kawał drogi. Wiosłowali jak opętani, ażeby do cieśniny dotrzeć przed naszym przybyciem. Z początku zdawało się, że zamiar swój przeprowadzą. Aliści wiosłować w wariackim pośpiechu nie dało się długo. Wnet osłabli i coraz o cięższej łódka posuwała się naprzód.

Gdy pierwsi Indianie dostali się na skałę, Hiszpania właśnie mijali cieśninę, o jakie pięćdziesiąt kroków od brzegu. Zamigotały w powietrzu pierwsze strzały wypuszczone z luków. Dwóch zapalczywych Indian skoczyło do wody, by dopłynąć do wroga. Pociski, jak to zauważyłem biegnąc, celnie wpadały do łodzi.

Hiszpanie dokładali rozpaczliwych wysiłków. Chcieli oddalić się od kaducznej skały, atoli nieopatrznie podpłynęli pod drugi brzeg cieśniny. Tu tymczasem dotarła już zacięta pogoń – wojownicy wysłani przez Manauriego.

Rozległ się huk wystrzałów. Hiszpan wypalił do pływaków z pistoletu. Któryś z Indian na

piaszczystym brzegu miał guldynkę, widać, jeszcze nie wystrzeloną. Zmierzył się, chwilę celował, dał ognia. Charchot i spustoszenie w łodzi. Siekańce jak sierpem ścięły wioślarzy. Spotkał ich los, na jaki zasłużyli.

Kiedym dobiegł do skały, łódź przyciągano już do brzegu. Na jej dnie leżeli Hiszpanie. Jeden z nich był owym pięknym młodzieńcem. Podczas wyrzucania zwłok z łodzi okazało się, że przebiegły młodzian był zaledwie lekko ranny i tylko udawał nieżywego. Indianie poznali go i dostali szału. Chcieli go natychmiast zatłuc, ale temu stanowczo się sprzeciwił.

–Czemu go bronisz? – doskoczyli do mnie, zażarci.

Zastawiłem Hiszpana własnym ciałem. Oni, rozwścieczeni, szorstko chwycili mnie za ramiona i przemocą usiłowali odciągnąć.

–Arnak! Wagura! – ryknąłem na chłopaków.

Arnak dopadł do mnie. Wagura był po tamtej stronie cieśniny.

–Co się dzieje? – przerażenie odbiło się na jego twarzy.

Arnak końcem łuku pchnął najbliższego wojownika tak silnie,

że tenże puszczając mnie potoczył się jak pijany. Równocześnie chłopak wykrzyknął po arawasku szereg ostrych słów. Nakazywały prawdopodobnie szacunek dla mnie, bo wojownicy, lubo z ociąganiem, odstąpili o kilka kroków. Wszakże nie dali się zafukać i gniewnie wskazując na młodego Hiszpana, żądali jego śmierci.

–Czemu nie chcesz, żeby go zabili? – zwrócił się do mnie Arnak.

–Muszę z niego wpierw wydobyć języka! Dobrze byłoby dowiedzieć się, jakie zamiary mają ludzie na Margaricie. Może planują drugą wyprawę?

–Masz słuszość, Janie! Ale później pozwolisz go zabić?

–A niech go tam diabli biorą! Róbcie z nim, co chcecie...

Arnak wytłumaczył Indianom moje w stosunku do jeńca za

mysły, wszakże u rozjątrzonych szaleńców niewiele znajdował posłuchu. Teraz dopiero wyszła na jaw przyczyna ich wzburzenia i niesforności: ów młodzian był synem okrutnego bogacza na Margaricie, Don Rodriguesa, tego, który publicznie kazał zagryźć psom nieszczęsnego brata Matea – i sam, równie nieludzki i zły jak ojciec, odznaczał się okrucieństwem w stosunku do niewolników.

Manauri, na szczęście, nieco uśmierzył gorące głowy, przyrzekając, że Hiszpana nie minie

sprawiedliwa kara. Więc ludzie na razie go poniechali. Związali mu ręce i nogi i rzucili z powrotem do łódki, a dwóch powiosłowało do obozu.

Po przejmujących wzruszeniach i ogromnym wysiłku ostatnich godzin spłynęło na nas wielkie odprężenie. Dziwna owładnęła nami słabość. Chwilami nie chciało nam się wierzyć, że odnieśliśmy zwycięstwo i że srogi wróg już nam nie zagraża. Ale wystarczyło spojrzeć na obóz u końca zatoki, gdzie stoczyła się rozstrzygająca walka, by powrócić do rzeczywistości.

Staliśmy wciąż jeszcze na szczycie skały. Z zaciśniętymi pięściami śledziliśmy szkuner. Dawno już podniósł kotwicę i rozwinął żagle. Wschodziło właśnie słońce: zerwał się poranny wietrzyk. Lekki podmuch wyduł żagle i smukły statek ruszył. Nie było mowy, by dogonić go łodziami stojącymi w zatoce.

Spojrzałem na szkuner przez lunetę. Było tam tylko dwóch Hiszpanów, nie więcej. Uwijali się żwawo, jak sparzeni ukro-pem, jeden przy żaglach, drugi przy sterze.

–Ucieka statek! – stwierdził ponurym głosem Arnak. – Gdyby był w naszych rękach, łatwo przewiozłby nas wszystkich na stały ląd!

–Ano, tym dwom się udało!

Atoli w ich ucieczce widziałem przyczynę większego dla nas niepokoju. Nie zatailem swych myśli przed Arnakiem i Manaurim:

–Ci dwaj Hiszpanie popłyną oczywiście na wyspę Margaritę. Tam wszystkich zaalarmują i za dwa, trzy dni zwali się tu taka siła zbirów, że w mig nas wykończą... Jest tylko jeden dla nas ratunek!

–Wiem.

–No?

–Uciekać na stały ląd!

–Otóż to! Nie wolno nam tracić ani chwili czasu! Mamy cztery łodzie i dwie tratwy!...

Obydwaj Indianie byli tego samego co i ja zdania. Arnakowi oczy zaświeciły się twardym blaskiem.

–Jedno rozumiem! – wycedził. – Nasza walka o życie jeszcze się nie skończyła.

–Nie! – przyznałem mu.

35. Zdobywamy szkuner

Powróciwszy do obozu, przede wszystkim zajęliśmy się oswobodzonymi Murzynami. Było ich trzech, srogo pokiereszowanych, ale przy życiu; czwarty, niestety, nie żył: Mateo. Hiszpanie strasznie znęcali się nad jego ciałem i całkowicie rozplatali mu głowę, aż nie sposób było go poznać i nań patrzeć. Ponieważ spodziewałem się lada chwila przybycia do obozu jego żony, po którą posłałem, kazałem zwłoki Matea czym prędzej pogrzebać, ażeby młodej kobiecie zaoszczędzić okropnego widoku.

Brakowało jeszcze dwóch Murzynów. Manauri wysłał w gąszcz kilku Indian do przeszukania okolic i w istocie znaleziono ich zwłoki. Mieliśmy zatem pewność, że nikogo żywego, zabłąkanego w gęstwinie, nie pozostawimy za sobą.

Podczas gdy Indianie przygotowywali dwie łodzie do wyjazdu – na łodziach zamierzaliśmy przewieźć rannych do mej siedziby na wschodnim wybrzeżu wyspy – przeprowadzałem badanie jeńca w obecności Manauriego, Arnaka i Miguela. Ileż bezczelności, cynizmu i zuchwalstwa było w młodocianym wyrodku! Na me rzeczowe pytania odpowiadał jeno niewybrednymi złorzeczeniami i plugastwami. Znowum nie wychodził ze zdziwienia, jak z tych kształtnych ust mógł bryzgać stek takich obrzydliwości.

Czupurność jego nie miała granic. Gdym zwrócił mu uwagę, żeby grzeczniej odpowiadał człowiekowi, który, bądź co bądź, od niechybnej uchronił go śmierci, tylko parsknął szyderczo. Nie mieściło mu się w zarozumiałym łbie, że ktokolwiek mógł nasta-wać na jego życie.

–Chyba zwariowałeś! – rzekłem z całym spokojem. – Spójrz na trupy twych towarzyszy.

–Phi oni!... Nie zapominaj, kim ja jestem!

–Kim jesteś?

–Synem gubernatora! Nikt z tych niewolników nie śmie mnie tknąć! A ty, parszywy zdrajco naszej rasy, pierwszy będziesz wisiał!

Miałem wielką ochotę wymierzyć łobuzowi policzek, ale powstrzymałem się w czas.

–Więc myślisz, że syn gubernatora jest nietykalny?

–Tak! – wykrzywił twarz z pogardą.

Dziwna twarz! Nawet w tym wykrzywieniu niewiele straciła z niesamowitego powabu. Co za osobliwe zjawisko: ohydny demon w powłoce anioła!

–Mylisz się! – oświadczyłem.-Życie twoje wisi na włosku.

Młodzian zaśmiał się bezczelnie.

–Jutro przybędą tu ludzie, którzy; was, hołotę, nauczą, kto tu panem, a kto wisieć będzie na gałęzi...

–Jacy ludzie?

–Jacy, nie wiesz? Z Margarity.

–Dlaczegoż by mieli tu przybyć?

–Czyś ślepy? Czyś nie widział naszego statku, jak odpływał? Co myślisz, dokąd poszedł, hę?

Więc na tym budował tę pewność siebie! Ufność nie całkiem płonną i uludną, pomimo że nie znał mych planów co do swej przyszłości. Mianowicie postanowiłem bronić jego życia za wszelką cenę, chociażby wszyscy Indianie sprzysięgli się przeciwko mnie – a bronić, oczywiście, nie dla jego pięknych oczu, ale dla naszego bezpieczeństwa. Był synem wybitnego Hiszpana, nie ulegało to wątpliwości, więc trzymanie go żywego w naszym ręku jako zakładnika mogło oddać nam nieoszacowaną przysługę w razie najścia na wyspę zgrai z Margarity. Mogło stać się kluczem do naszej wolności.

Podczas tych przesłuchów gromkie rozległy się okrzyki od strony morza. Biegło stamtąd kilku Indian.

–Statek! – wołali. – Statek!

Jużeśmy myśleli, że o wilku mowa, a wilk tuż, i że Hiszpanie z Margarity płynęli z odsieczą, ale nie to było źródłem poruszenia. Przeciwnie, nowina nad wyraz pomyślna.

Rano, o wschodzie słońca, powstał na morzu wietrzyk, aliści trwał nie dłużej niż pół godziny i potem zupełnie opadł. Wielka nastąpiła na morzu spokojność. Bywały nieraz takie chwile dokoła wyspy, jeno nie przeciągały się na dłużej niż godzinę, dwie, około południa zawsze mocny zrywał się wiatr.

Szkuner nie zdołał odpłynąć nawet mili, kiedy cisza obezwładniła jego żagle i zatrzymała go na miejscu. Zakotłowało się w naszym obozie. Wieść o unieruchomieniu statku zbudziła słuszną nadzieję, że jednak go jeszcze dosięgniemy. Kto żywy łapał za byle jaką broń i na łeb, na szyję walił do łodzi.

Wśród ogólnego zapału i zgiełku nie należało tracić głowy. Skrzyknawszy Arnaka, Wagurę i Manauriego taki wyłożyłem im plan: weźmiemy obydwie łodzie, którymi oddział Matea tu przybył, i na większej ustawię się ja z Arnakiem, na mniejszej – Wagura. Wszyscy zdrowi Indianie i Murzyni będą wiosłowali z wyjątkiem nas trzech. Tylko my trzech będziemy strzelali, dlatego ręce nie śmia drżeć. Zabierzemy wszystkie dalekonośne muszkiety i żeby niosły dalej, więcej damy im prochu, a nabijemy jedne kulami, inne siekańcami.

–Czy inni wcale nie mają zabrać broni? – zapytał Wagura.

–Niech zabiorą, nic to nie zaszkodzi, byleby nam trzem nie przeszkadzali w celowaniu.

–Tak! – zawołał Arnak. – Dokładnie celować – w tym rzecz!

Manauri wyraził całkowitą zgodę i natychmiast objął komendę nad wioślarzami. Rozmieszcili ich na obydwóch łodziach, sam siadając przy sterze większej. W tym czasie nabijaliśmy od nowa broń. Muszkietów zabieraliśmy osiem, przy czym na pierwszy ogień miały iść te, których celność już dobrze znaliśmy.

–Zabierzemy także małą łódź, należącą do szkunera! – poleciłem.

–Czy dla któregoś z nas, strzelców? – zapytał Arnak.

–Nie. Po prostu dla zmylenia uwagi Hiszpanów.

Trzech ludzi załogi starczyło do tej łódki.

Wyruszyliśmy. Wioślarze tęgo robili wiosłami, woda po bokach jeno przyskała. Stałem na dziobie łodzi. Arnak na rufie. Po opuszczeniu zatoki wypłynęliśmy na pełne morze, spokojne jak jezioro w dzień pogodny. Tylko gdzieniegdzie powstawał na chwil kilka wąty powiew i łuszczył miejscami powierzchnię wody, ale Wprędce konał. Szkuner stał jak na kotwicy. Żagle zwisały mu flakowato.

Skoro Hiszpanie nas spostrzegli, jeśli biegać po pokładzie jak narwani, to ruszając żagle, to przesuwać jakieś sprzęty. Widziałem przez lunetę, że szykowali muszkiety.

Podpływaliśmy szybko. Wioślarze sprawnie pracowali. Pot lał im się z ciała strugami. Gorąco robiło się wielkie. Niewola stargała im mięśnie, nadwątlila ich zdrowie. Byli wycieńczeni, ale teraz rozstrzygająca chwila dodawała im niespodziewanych sił.

Zbliżyliśmy się na ćwierć mili do statku. Na morzu wciąż cisza. Już nie ulegało wątpliwości, że celu dopniemy, a szkuner nam nie ujdzie. Dwaj Hiszpanie broniąc się mogli zadać nam straty, owszem; przecież ostateczne zwycięstwo nam przypaść musiało.

Porozumiałem się oczyma z Arnakiem i jeszcze raz kazałem mu przypomnieć wioślarzom zasadę zachowania się: gdy przyjdzie do strzelania, wyciągnąć wiosła z wody, schronić się na dnie łodzi i nie ruszać się.

Szkuner miał na dziobie wysoką burtę zasłaniającą go od fal, natomiast rufa była niska i bez ochrony. Wobec tego zachodziliśmy statek od tyłu. Hiszpanie, przewidując ten manewr, ustawili na rufie dwie skrzynie, za którymi się ukryli.

–Uważaj! – zawołałem do chłopaka. – Użyję małego podstępu, może dadzą się nabrać.

–Ciekawym, jakiego? – zapytał Arnak.

–Obsypię ich siekańcami ze zbyt wielkiej odległości. Może wyprowadzę ich z równowagi i oni również wystrzelą. Nie będą już mieli czasu do nabijania...

Tak też uczyniłem. Na jakie dwieście kroków od rufy szkunera dałem ognia z muszkietu, celując wysoko ponad głowy przeciwnika. Widzieliśmy, jak siekańce trzasnęły po żaglach i pokładzie statku.

Chwyciłem drugi muszkiet i zmierzyłem się jak gdyby do ponownego strzału, czego nie wytrzymali podnieceni Hiszpanie. Strzelili zbyt pochopnie. Kule ich poszły nisko, jak przewidywałem. Uderzyły w wodę o kilkanaście kroków przed nami.

–Wiosłujcie! Rażno! – krzyknąłem do Indian. – Teraz na nich!

Kilka mocnych uderzeń wiosel przybliżyło nas do statku na dogodną odległość.

–Uwaga! – zawołałem. – Będę strzelał!

–Ja też? – zapytał Arnak.

–Tylko wtedy, gdy cel widoczny.

Wioślarze zaczęli się na dnie łodzi, płynącej dalej własnym rozpędem. Szła gładko jak po stole, ani krzywą nie chybotwała się.

Hiszpanie mieli zapewne tylko te dwie strzelby, z których wypalili, bo chroniąc się za skrzyniami, skwapliwie nabijali je od nowa. Spoza ukrycia czasem było ich widać, wszakże raz czubek głowy, raz łokieć, raz nogę, i to tylko na mgnienie oka. Zaledwieśmy brali coś na cel, już nam z widoku niknęło. Przeciwnik pomimo pośpiechu miał się na bacności.

Aliści jeden z nich więcej niż dotychczas wystawił tył. Zanim zdążył schować się za skrzynię, w lot wygarnąłem do niego, celując w koniec kości pacierzowej. Kula celnie uderzyła. Rozległ się wrzask. Raniony, nie panując nad sobą, odsłonił głowę. Jeszcze jeden huk wystrzału, tym razem ze strzelby Arnaka, i przeciwnik legł śmiertelnie trafiony.

Tymczasem drugi Hiszpan, korzystając z zamieszania, wypalił. Miał szelma siekańce. Celował widać we mnie, ale dostało się moim sąsiadom. Pomimo że leżeli na dnie łodzi, dwóch odniosło rany w plecy. Przeciwnik miał teraz wystrzeloną broń, więc myślałem szturmem wziąć statek. Ale nie doszło do tego. Ponownie padł z tamtej strony strzał. Widocznie Hiszpan użył nabitej strzelby poległego towarzysza. Na szczęście o chwilę wcześniej wygarnął do niego Wagura z drugiej łodzi i lubo chybił, tamten w gorączce też spudłował.

Podczas tej pukaniny straciłem orientację, jakim przeciwnik jeszcze rozporządzał ogniem. Woląłem tedy iść na pewnego. Więc nie spuszczać oka ze szkunera, strzelaliśmy za każdym

razem, jeśli tylko wróg choć odrobinę wychylał się spoza skrzyni. W ten sposób całkowicie unieruchamialiśmy przeciwnika i liczyli na to, że prędzej czy później przetrąci go nasza kula.

Nie wiem, ile tak minut czyhaliśmy pukając raz po raz, gdy rozstrzygnięcie przyszło z całkiem innej strony. Zajęci walką, zapomnieliśmy na śmierć o małej łódce i jej trzech wioślarzach. Nikt na nich nie baczył. Wielkim kołem cierpliwie okrążyli szkuner i podczas gdyśmy na sobie całą skupiali uwagę Hiszpana, oni od dziobu podpłynęli pod statek i cichcem wspięli się na burtę. Jakeśmy się zdumieli, a nawet przerazili, gdy usłyszeliśmy na szkunerze okrzyk wojenny trzech Indian, rzucających się na przeciwnika. Mieli łuki, mieli dzidy. Rozprawili się z nim w mig

Szkuner był nasz.

Czy da się opisać moją radość, co tam – upojenie tak dziwne, że aż obezwładniające, kiedym wkraczając na pokład hiszpańskiego statku uświadamiał sobie całą doniosłość owej chwili? Podchodziłem do wiernych druhów, Arnaka, Wagury, Manauriego i reszty Indian, i wzruszony ścisnąłem im dłonie.

–Zwyciężyliśmy! – tylko cicho rzekłem do nich.

–Droga otwarta! – oświadczył Arnak ogarniając wzrokiem południowy widnokrąg, kędy wylaniała się zamglona linia stałego lądu.

–Tak, teraz otwarta!

Kilku Indian, nauczonych sztuki żeglarskiej w czasie niewoli, pozostało na pokładzie, by z chwilą zerwania się wiatru przeprowadzić szkuner bliżej obozu, reszta zaś siadła do trzech łodzi i na nich wracała.

36. Sąd

Gdy wplynęliśmy do zatoki, Manauri dał mi znak, że chciałby ze mną rozmawiać na osobności, jedynie w towarzystwie Arnaka jako tłumacza, więc zaraz po wylądowaniu poszliśmy na bok.

–Powietrze się oczyściło – zaczął wódz – nie ma już przeszkód przed nami. Jak myślisz, kiedy opuścimy wyspę?

–Jak najwcześniej. Za dwa, trzy dni.

–A może jeszcze rychlej? Czy nie obawiasz się najścia nowych ludzi z Margarity?

–Obecnie jeszcze nie. Ale później, za tydzień, za dziesięć dni odsiecz niewykluczona.

–7- Więc im rychlej stąd odpłyniemy, tym lepiej dla nas?

–Niewątpliwie.

Spojrzałem na Manauriego badawczym wzrokiem, bom nie wyobrażał sobie, ażeby odwoływał mnie na stronę dla omówienia czasu odjazdu. I zgadłem. Chodziło o życie młodego jeńca.

–Tyś przedtem bronił go – rzekł Manauri patrząc mi w oczy z jakąś szczególną zaciętością – bo chciałeś z niego wydostać wiadomości o Margaricie. On ciebie i nas obrażał i nic nie powiedział. Czy uważasz, że teraz będzie inaczej i on coś powie?

–Trzeba by spróbować.

Manauri przymrużył oczy i z niewzruszonym uporem potrząsał głową.

–Nie, Janie! Nie ma co próbować, on nic nie powie! Zresztą

to już nieważne!... Zabijemy go!

Po raz pierwszy na tej wyspie Manauri wypowiedział coś z taką stanowczością. Niezawodnie walki ostatniej nocy odniosły jeszcze inne zwycięstwo, nie tylko orężne: zabijały w nim niewolnika, wyzwalały wodza.

Oznajmiłem mu, o czym już przedtem myślałem, mianowicie, że młodego Hiszpana należałoby trzymać jak najdłużej jako zakładnika.

–Jako zakładnika?

–Tak jest.

–Czy sam nie mówiłeś przed chwilą, że wyruszymy w ciągu dwóch, trzech dni, a w tym czasie

wróg nas nie najdzie?

–W naszych warunkach może zaskoczyć nas niespodzianka, a dobry wódz przewiduje wszystkie możliwości.

Manauri miał raczej łagodny, dobroduszny wyraz twarzy, jednak w tej chwili rysy jego stwardniały, jak gdyby ciosane z kamienia.

–Dobry wódz liczy się nade wszystko z tym, co myślą i mowią jego wojownicy. Dlatego, Janie, jedno jest tylko wyjście: zabić trzeba jeńca.

–Czy nie uważasz, że będzie to coś w rodzaju morderstwa?

–Nie. Natomiast uważam, że nie powinieneś w ten sposób mówić.

–Mam na myśli dobro wszystkich...

–Morderstwa? – dotknięty Manauri podjął to słowo. – To wymierzenie sprawiedliwości nazywasz morderstwem? Nie, Janie! Nad jeńcem złożymy sprawiedliwy sąd. Zdanie wypowiedzieć będzie mógł każdy, także i ty, jeśli chcesz, w jego obronie, ale sprawiedliwości musi stać się zadość.

Potem dodał z przekąsem:

–Przecież także biali ludzie sprawują sądy, tylko to, cośmy u nich widzieli, dalekie było od sprawiedliwości.

Czegóż ja się tak użerałem o młodego Hiszpana czyniąc wrażenie, że zbrodniczego wyrzutka darzę wyjątkowymi względami? Wszakże nie jego chciałem bronić, jeno naszego bezpieczeństwa!

Podczas walki o obóz zginęło dwóch Indian i jeden Murzyn. Pochowaliśmy ich obok Matea. Nad grobem olbrzyma usypaliśmy wysoki kopiec oddając hołd niezwykleму człowiekowi. Sam do tej pracy wielce przyłożyłem ręki, ażeby widziano, że nie miałem doń żalu. Jego uzasadnioną niechęć do białych ludzi do-brzem rozumiał.

W miarę wzbijania się słońca ku górze, wzrastał wiatr. Około południa szkuner przyplłynął przed zatokę i zarzucił kotwicę. Wszyscy z wyjątkiem trzech wartowników znaleźli się w obozie. Manauri natychmiast zarządził sądenie jeńca.

Opodal obozu stało samotne, niewysokie drzewo, pod którym rozłożyła się nasza gromada. Obok mnie z każdej strony zasiedli chłopacy, Arnak i Wagura. W pobliżu rzucono pod krzaki

związanego Hiszpana. Młodemu pyszałkowi, przeczującym, na co się zanoszą, zrzęda mina i zuchwalec już nieobrzucal nas przekleństwami. Milczał przygnębiony.

Manauri w krótkich słowach przytoczył kilka jego zbrodni wobec niewolników na wyspie Margaricie i zażądał od obecnych, by wypowiedzieli się co do jego losu. Wszyscy bez wyjątku, zdrowi i ranni, mężczyźni i kobiety – było ich dwie: Murzynka Dolores i wdowa po Mateo, Indianka Lasana – oświadczyli się jednogłośnie za śmiercią Hiszpana.

Potem Manauri skierował wzrok w moją stronę i poprosił mnie jako ostatniego, ażeby i ja zabrał głos.

–Na co ci moje zdanie?! – zawołałem. – Przecież wszyscy żądają jego śmierci, więc stanie się to, czego większość pragnie. Moje zdanie tu zbędne!

–Mylisz się, Janie! Twoje zdanie jest dla nas bardzo ważne.

–Nie rozumiem dlaczego!

–Dlatego, Janie, że przede wszystkim tobie zawdzięczamy zwycięstwo nad Hiszpanami! Dlatego, Janie, że cenimy twoje męstwo i rozwagę! Dlatego, Janie, żeś nasz druh i przyjaciel! A także i dlatego, żeś tej samej rasy co on, przeto najlepiej go osądzisz.

–Więc czego ode mnie żadasz?

–Masz powiedzieć, czy młody Hiszpan zasłużył sobie na śmierć, czy nie.

–Zasłużył! – oświadczyłem bez wahania.

Gdy Arnak przetłumaczył obecnym moją odpowiedź, wszyscy ogromnie się ucieszyli i nie wiedzieli, jak wyrazić swą radość. Kazałem ich uciszyć i oznajmiłem, że mam jeszcze coś do powiedzenia.

–Mów, proszę!

–Młody Hiszpan zasłużył sobie na śmierć i śmierć z naszej ręki go nie minie. Ale nie powinien zginąć teraz, nie tu.

–Jeno kiedy, gdzie?

–Jeno później, po szczęśliwym przybyciu do waszej ojczystej wsi.

Na te słowa zerwał się istny huragan sprzeciwu. Nie, oni żądali jego natychmiastowej śmierci! Taka była nienawiść w ich sercach, tyle w nich piołunu i żółci, że jak szaleńcy pienili się przeciw jakemukolwiek głosowi rozsądku i gniewnie odrzucali myśl o zakładniku. Zrozumiałem, że burzy tej nie da się poskromić. Sprawa natychmiastowej śmierci jeńca była przesądzona.

Zaledwie umysły się uspokoiły, gdy nowa wybuchła sprzeczka dokoła kwestii, jaką śmiercią ma zginąć skazany. Wielu żądało zastosowania różnych wyszukanych tortur, ale w końcu większość zgodziła się na wkopanie Hiszpana żywcem do mrowiska, ażeby mrówki powoli zżarły go na śmierć.

Manauri rzucał ku mnie niespokojne spojrzenia spostrzegłszy, jak zbladłem z oburzenia.

–Słuchajcie! – krzyknął wódz do ludzi. – Trzeba wyszukać dla niego inną śmierć! Tak nie można.

–Dlaczego nie?! – huczeli. – Można! Mrowisko! Tylko mrowisko!

–Nie! – zaprzeczył Manauri. – Śmierć w mrowisku trwa wiele godzin, a nam brak czasu na czekanie. Musimy wcześniej stąd odpłynąć!

Zaniechano myśli o mrowisku, bo argument wodza przekonał wszystkich: nie można było odpłynąć przed upewnieniem się o śmierci Hiszpana, a to wiele by trwało godzin. Więc znowu zastanawiano się, na jakie męki wziąć młodego zbrodniarza, ale wtedy dość już miałem obrzydliwej gadaniny. Zerwałem się na równe nogi i palnąłem piorunem:

–Nie, nie będzie tortur! Nie będzie mąk! Gdy uczciwy czło

wiek musi zabijać, to zabija bez udręki! Tak też zginie Hiszpan!

Jaka wybuchła burza, jak ludziom zaiskrzyły się oczy! Alem zaciął się i nie myślał ustępować ani kęsiek. Gdy gębacze nieco ucichli, grzmotnąłem w nich:

–Żądam od was uczciwości! Tylko zwyrodniałe bestie znęcają

się nad bezbronnymi! Jeśli chcecie być moimi przyjaciółmi, do

magam się od was godnego zachowania. Jeśli chcecie, abym do

chował wam przyjaźni, bądźcie uczciwymi wojownikami! Na

bierzcie rozumu! Zastanówcie się nad tym, co mówię! To ostatnie

moje słowo!

Obydwaj chłopcy i Manauri dzielnie mi pomagali, wszakże kilku zajadłych zapaleńców obstawało przy swoim i jeszcze innych podjudzało przeciwko nam.

Sprawę postawiłem na ostrzu noża, chociażby skutki nastąpiły najzgubniejsze dla mnie.

Natenczas nagła zapanowała cisza. O głos poprosiła kobieta. Owa młoda, dorodna Indianka, wdowa po Mateo, Lasana, zbliżyła się nieco do mnie i wskazując w moją stronę, jęła do nich coś

mówić. Nad innymi górowała swym zniewalającym opanowaniem i urokiem, a głos miała głęboki i mocny, śpiewny, nabrzmiały miłym dźwiękiem.

–Co ona prawi? – szepnąłem do Arnaka.

–Że słuszość jest po twojej stronie... Że mają ciebie słuchać, że ona, żona Matea, tego stanowczo wymaga... Że hohoho...

–Co: hohoho? – spytałem po cichu.

–Janie, czego my się dowiadujemy o tobie?

Arnak spojrział na mnie z ukosa i co rzadko u niego bywało, drwiący uśmieszek przeszedł mu po twarzy.

–Toś ty taki, Janie? – poparł go Wagura.

–Jaki? Może wreszcie mi powiecie, hultaje?

–Ona powiada, żeś ty wielki człowiek... Że przyjaźń takiego wyjątkowego człowieka należy wysoko sobie cenić... Że...

Nie byłem pewny, czy chłopacy kpili sobie ze mnie, czy nie.

W każdym razie słowa Indianki silne wywarły na słuchaczach wrażenie i przelamały opór wicherzycieli. Wdzięczny kobiecie, podziękowałem jej z daleka uśmiechem.

Następnie wszystko odbyło się gładko i snadnie. Uradzono powiesić Hiszpana na tym samym drzewie, pod którym odbywał się sąd. Przecięto mu więzy u nóg, podprowadzono go pod konar i na szyję zarzucono sznur z liany.

Oczy stanęły mu w słup ze strachu, chciał coś krzyknąć. Gdy zawisł i wnet skonał, a na twarzy jego wstrętnej nastąpiła zmiana: rysy, tak dotychczas piękne i ponętne, po śmierci nasiąkły odrażającym wyrazem okrucieństwa – uczucia, które widocznie przesycalo całą jego ohydną istotę, gdy żył.

Scena ta przygnębiająca mogła wyrzeć wrażenie, aliści należycie zrozumiałem jej sens: nie była to zwykła zemsta dwudziestu kilku pokrzywdzonych Indian i Murzynów, lecz słuszną samoobrona uciśnionych.

37. Odnalazłem człowieka

Po dokonaniu owego przykrego aktu przewieźliśmy naszych rannych z obozu na szkuner i wyruszyli w drogę wzdłuż wyspy. Wiatr szedł z północy, więc płynąc zrazu na wschód mieliśmy go z lewej burty, a potem z przodu. Szkuner był zwinny i zwrotny, żagle miał dobrze ustawione, więc nieźle szedł pod wiatr, krzyżując. Trzy łodzie przycumowaliśmy do jego rufy.

W godzinach popołudniowych zawitaliśmy w okolicę mego siedliska i stanęli o ćwierć mili od brzegu, naprzeciw góry. W jaskini wszystko zastaliśmy w porządku. Indianki ucieszyły się naszym powrotem i niezwłocznie przyrządziły nam posiłek, a rannych opatrzyły.

Wszystkich zdrowych ludzi zwołałem na krótką naradę i ponownie zadałem im pytanie, kiedy mamy opuścić wyspę.

–Jak najwcześniej! odrzekł Manauri. – Choćby jutro rano!

–Dobrze, jutro rano wyruszymy! Dziś do zachodu słońca brak jeszcze trzech godzin, a pracy mamy huk!

Przede wszystkim należało zebrać kukurydzę z pola. Co prawda na szkunerze znaleźliśmy obfity zapas prowiantu, przecie byłoby szkoda porzucać tyle dojrzałej kukurydzy, której od wielu tygodni strześliśmy jak oka w głowie.

Wszyscy hurmem zabraliśmy się do zbioru i wkrótce wypełnili kilkanaście koszy złotym ziarnem.

Inna sprawa. Posiadaliśmy teraz cztery szalupy, flotyllę aż nadto zasobną. Co zrobić z największą łodzią, która, ciężka, na pewno utrudniałaby tylko ruchy szkunera? Uradziliśmy pozostawić ją na wyspie, ale żeby nie uległa szybkiemu zniszczeniu, zaciągnąć do jaskini i tu kamieniami zasklepić.

Tuż przed zachodem słońca wspólnymi siłami przetaszczyliśmy łódź do jaskini. Kiedyśmy, zaiste w pocie czoła, dokonali dzieła, światło dzienne jeszcze nie szczyło. Więc wpadłem na pomysł, by zostawić po sobie pamiątkę i na burcie łodzi wyryć nożem swe nazwisko. Podczas tej czynności wezbrało we mnie, dojrzałym mężczyźnie, śmieszne wzruszenie. Z rozrzewnieniem patrzyłem na swój nóż myśliwski, jedyną pozostałość z lasów Wirginii, i dzierżąc w dłoni wyszczerbione, spracowane, kochane narzędzie myślałem o wielkiej zasłudze tak wiernego przyjaciela. Ileż razy zawdzięczałem mu życie w ciężkich chwilach pierwszego okresu na wyspie?

Na burcie łodzi głęboko wyryłem słowa: JOHN BOBER, wsze-lakom zaraz potem się zmitygował: dlaczego John, a nie Jan?

Ale już stało się, nie można było poprawić, więc dodałem słowo: POLONUS. Pod nazwiskiem

wyrznięm rok: 1726.

Podczas wieczerzy Manauri z uroczystą miną poprosił nas o chwilę uwagi. Zwracając się do Murzynów wyraził wątpliwość, czy samotnie żyjąc na stałym lądzie dadzą sobie radę i nie wpadną znowu w ręce Hiszpanów. Wobec tego zaofiarował im nie tylko gościnę i opiekę w indiańskiej wsi, ale również włączenie ich do szczepu Arawaków na równych prawach z innymi. Murzyni przyjęli jego słowa z wielką wdzięcznością.

Następnie Manauri zwrócił się do mnie i zapewnił, że szczep wszelkiej udzieli mi pomocy, potrzebnej, bym dostał się szczęśliwie na wyspy niedaleko ujścia rzeki Orinoko, zamieszkane przez Anglików. Potem dodał:

–Ale jeśli mam ci powiedzieć od serca, to wolelibyśmy, żebyś pozostał u nas jak najdłużej w gościnie, a nawet na całe życie! Przyjaźni, szacunku ani pokarmu nie zabraknie ci u nas, Janie!
...

Serdecznie mu podziękowałem za życzliwe słowa i za zaproszenie.

Ostatniego dnia pobytu na wyspie zbudziliśmy się na długo przed świtem i zaczęli przewozić na szkuner rzeczy oraz rannych. Broń palną, jaką posiadaliśmy, postanowiłem darować Indianom po przybyciu do wsi, więc ze szczególną troskliwością uważałem, aby nie uległa uszkodzeniu i pozostała w dobrym stanie. Mielśmy blisko trzydzieści muszkietów i guldynek z wielkim zapasem prochu oraz ołowiu – potęgę, która należycie wykorzystana, mogła stanowić o istnieniu i wolności Arawaków na wiele, wiele lat. Arnakowi i Wagarze, najlepiej świadomym znaczenia takiej broni, powierzyłem nad nią pieczę.

Kotwicę podnieśliśmy dopiero koło południa, kiedy wzmógł się wiatr. Kierunek obraliśmy wprost na wschód, ażeby jak najdłużej płynąć z dala od stałego lądu i nie dostać się w przeciwny prąd. Opuszczało wyspę razem osób trzydzieści, życiem przyplaciło najazd Hiszpanów jedenaście istot, w tym jedna kobieta i troje dzieci. Ciężko okupiliśmy drogę do wolności.

Na statku staliśmy, Arnak, Wagura i ja, oparci o burzę, wpatrzeni w oddalającą się wyspę, Wyspę Robinsona, jak ją kiedyś nazwałem.

Przeżyliśmy na niej przeszło czterysta dni, znojných i napiętych, dni zawziętej walki z niemocą, ze zwierzem, z człowiekiem, dni niemal bez wytchnienia, a pełnych ciężkiej pracy, trudu i żaru, czasem nawet zwątpienia. Jakaś mozolna lubo zwycięska droga poprzez gmatwaninę wypadków, równie zawitych i kolczastych jak te zarośla na wyspie. Ale czy daremna była ta droga, czy próżnom przedzierał się przez gąszcze, czy tylko góle wyniósł życie z tych zmaganiań?

O nie!

Żegnając palmy zachodzące w błękit, śledząc topniejącą w oddali górę, z której tyle razy po

próżnicy wypatrywałem ratunku od morza – nie przeklinałem wyspy, że mnie więziła. Nie przeklinałem, bom odpływał bogatszy, szczęśliwszy. Na bezludnej wyspie, rzecz dziwna, odkryłem wielki skarb, odkryłem człowieka w sobie i człowieka w bliźnim. Właśnie tu ze ślepych oczu spadły mu łuski uprzedzeń do ludzi innej rasy; tu wzbogaciłem serce doświadczeniem nowych przyjacieli.

Nie, bezludnej wyspie nie złorzeczyłem!

Ktoś cicho podszedł do nas i stanął obok mnie. Lasana. Jedną rękę przyciskała dziecko do siebie, drugą oparła tak jak my na poręczu burty. Chwilę patrzyła w kierunku wyspy, potem wzrok zwróciła ku mnie. Wydawało mi się, że w jej czarnych wielkich oczach wyczytałem ciepło.

Położyłem rękę na jej dłoni. Indianka nie cofnęła jej.

Digitalizował „Bodziokb”

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2008-09-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/